

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



3

(35) 2003

O konkursach na ratusze we Lwowie i Krakowie ♦ O Górze św. Jacka i Gimnazjum Urszulanek ♦ O kościele św. Anny i jego proboszczu ♦ Londyńczyk opowiada o podróży do Lwowa ♦ Rozmowa z T. Bojko ze Stryja ♦ Wiersz i proza J. Masióra ♦ Słownik ♦ Wiadomości ♦ Książki

NIECH ZAKWITNĄ WSZYSTKIE KWIATY

W „Cracovia-Leopolis” staramy się pisać o rzeczach poważnych. Nasz temat to utracona Mała Ojczyzna, jej chlubna przeszłość i wkład w naszą ogólnonarodową kulturę, a także terażniejszość. Staramy się też coś robić, by powstrzymać zagładę polskości i nie zerwać więzów z tymi, którzy tam zostali, i tymi, którzy rozproszyli się po wszystkich kontynentach. I – tak czy inaczej – pomagają. Bo nasi Rodacy, których jałtańska granica wbrew ich i naszej woli odcięła od Macierzy, takiej pomocy potrzebują. I materialnej, i duchowej; czasem nie wiadomo – co ważniejsze. Bywa, że i nieraz potrzebują obrony.

O tych właśnie aktualnych sprawach – nie tylko o czasie minionym i spuściznie – staramy się także pisać. Pisać poważnie, nie wtykając nosa w mniej chlubne sprawy, których nigdy i ngdzie nie brakuje. Tego unikamy.

Czasem jednak trzeba napisać o czymś n i e p o w a ż n y m. Tym badziej wtedy, gdy to, co niepoważne – staje się poważne, ale w całkiem innym wymiarze. Wtedy, gdy to, co niepoważne, zagraża sprawie i ludziom. Powiedzmy otwarcie: rzeczy niegodnych nigdy nie chcieliśmy eksponować. I jeszcze teraz się od tego powstrzymamy. Trudno jednak pominąć sprawę, która już stała się głośna.

Jest tajemnicą poliszynela, że między Zarządem Towarzystwa Kultury Polskiej we Lwowie a kilkoma licznymi i mocnymi środowiskami polskimi we Lwowie i Ziemi Lwowskiej, istnieją zadawnione i chyba narastające – choć o dość zmiennym natężeniu – nieporozumienia (mówiąc delikatnie). Problemy zaostrzyły się w kilku ostatnich latach na tle rzekomej *niesubordynacji* owych środowisk, a w sprawę włączył się nowy prezes Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” Samborski, który – jak doniosła „Gazeta Lwowska” (8/03* z 20 IV 03) – odbył z prezesem TKPZL ze Lwowa wizytację *niepokornych* oddziałów. W relacjach GL można było wykryć dość czytelną presję na miejscowych działaczy – niektórych niezwykle zasłużonych – w intencji bezwzględного podporządkowania się „centali”. Sprawa się rozniosła, a w „Rzeczpospolitej” (z 4 VI 03) ukazał się artykuł Andrzeja Kaczyńskiego zatytułowany *Scalić lub obalić*. Artykuł wywołał zrozumiałą burzę we Lwowie i Warszawie, a cały niemal numer 10/03 „Gazety Lwowskiej” został poświęcony tej aferze. Znalazło się tam kilka tekstów (również przedrukowano – z prawnego obowiązku! – artykuł A. Kaczyńskiego), m.in. relacja z konferencji prasowej, zwołanej natychmiast w Warszawie przez Fundację PPNW, ale nade wszystko wypowiedź prezesa Emila Legowicza, w której zostali *obluzgani* wszyscy, którzy mu się – w jego mniemaniu – narazili. Najbardziej osobliwe i humorystyczne jest również „tknięcie” naszego kwartalnika. Oto co napisał Legowicz:

*Szczególnie bolesnym tematem jest krakowski oddział TMLiKPW, gdzie redaktor biuletynu [!] „Cracovia–Leopolis”, były prezes TMLiKPW w Krakowie ani razu nie napisał na łamach swego pisma o działalności Zarządu Głównego TKPZL, już nie mówiąc o pomocy charytatywnej w okresie świąt dla osób najbardziej potrzebujących, a także wsparcie naszej organizacji. Za to były wymieniane na łamach biuletynu wszystkie podmioty [!] naszej organizacji, które się przyczyniły i pomagały ww. osobom. Jednak nie zabrakło w każdym kwartalniku celowo *n i e e t y c z n y c h i s p r y t n y c h* [podkr. nasze] *chwytów pod naszym adresem*.*

Jest faktem, że o TKPZL we Lwowie mało piszemy. A dlaczego? Uważamy, że lepiej nie tykać... Jest też faktem, że sporo piszemy o innych „podmiotach” (jak je nazywa prezes), bo miło pisać o oddziałach i organizacjach, w których dzieje się wiele ciekawych i dobrych rzeczy. Czy to źle?

Rozbawiło nas zwłaszcza ostatnie zdanie cytowanego fragmentu. Mamy propozycję dla p. Legowicza: proszę nam – w chwili wolnego czasu – wyszukać owe *celowo nieetyczne i sprytne chwyt*y (sami nie znaleźliśmy), a my je niezwłocznie przedrukujemy *na naszą wieczną hańbę*. W nagrodę prześlemy panu torbę kanoldów.

(dokończenie na III stronie okładki)

FELIETON O LUDZIACH STAMTĄD III

*J*akkolwiek znałam i przyjaźniłam się z Kornelem Filipowiczem przez wiele lat (jak obliczyłam, było tych lat prawie czterdzieści, od 1951 roku aż do jego śmierci w 1990), dopiero teraz, kiedy zabrałam się do pisania tego felietonu, zorientowałam się jak trudno jest mi go jednoznacznie zdefiniować. Przedwojenny socjalista, nigdy nie zaakceptował powojennego ustroju Polski. W czasach kiedy jego koledzy socjaliści robili kariery w PRL, Kornel – co tu dużo mówić – nędzował. Więzień obozów hitlerowskich, pierwszy nawiązał kontakty z niemieckim tłumaczem literatury polskiej Dedeciusem, a co dla nas najważniejsze – tarnopolanin, który nigdy nie zatracił swojego wschodniego akcentu. Tym bardziej, iż przybywszy do Krakowa, wszedł do rodziny Jaremów, pochodzących z Sambora (jego żoną była Maria Jaremińska).

Znakomity pisarz, zwłaszcza nowelista, nigdy nie szukał sławy ani poklasku. Jego proza może najlepiej odzwierciedlała to, co nazywamy wewnętrznym obrazem człowieka: to, co mówił o świecie, było pisane z dystansem, a równocześnie z chęcią zrozumienia każdego człowieka. Przy tym był obdarzony swoistym poczuciem humoru, trafnie oceniającym sytuację, lecz nigdy złośliwym. Oczywiście natychmiast rozeznaliśmy się jako „ludzie stamtąd”, a nasza przyjaźń przetrwała wiele katastrof, i tych osobistych, i tych dotyczących naszej polskiej doli. I muszę jeszcze dodać, iż tak naprawdę to Kornel miał postawę – w zachowaniu i sposobie bycia – zubożałego szlacheckiego kresowego, który zawsze pamięta o swojej godności, nigdy nie zbacza z raz obranej ścieżki i patrzy na świat okiem doświadczonego życiem mędrca.

Barbara Czałczyńska

Na I stronie okładki:

WŁADYSŁAW IV WAZA (1595–1648), król 1632–1648. Starając się o wzmocnienia państwa na zewnątrz i dążąc do rozprawy z Turkami planował – niedoszłą do skutku – szeroką rozbudowę fortyfikacji wokół Lwowa. Za jego czasów powstała we Lwowie Szkoła Rycerska (1633) oraz Arsenał Królewski (obok kościoła Dominikanów). Przebywał we Lwowie wielokrotnie, tu podejmował hospodara wołoskiego Mohyłę i posłów rosyjskich. W czasie jednego z pobytów we Lwowie związał się z Jadwigą Łuszkowską, zw. Jadwiszką ze Lwowa; ich nielegalny syn nosił nazwisko hr. de Vaseau.

JAN KAZIMIERZ WAZA (1609–1672), król 1648–1668. W czasie najazdu szwedzkiego w 1655 r. osiadł we Lwowie, tworząc zeń czasowo faktyczną stolicę kraju; wydawał uniwersały, organizował wojsko oraz założył mennicę, która działała w okresie walk ze Szwedami. W 1656 r. (1 IV) złożył słynne Śluby, które odegrały wielką rolę w mobilizacji sił narodu do walki z najeźdźcą. W 1661 r. (20 I) podniósł lwowskie kolegium oo. Jezuitów do rangi akademii z tytułem uniwersytetu (co wywołało protesty Akademii Krakowskiej), z dwoma na razie fakultetami: *artium* – filozofii, matematyki i fizyki, oraz *scientiarum* – teologii dogmatycznej i moralnej (w przyszłości dojdą prawo i medycyna). Jan Kazimierz był do końca życia mocno związany ze Lwowem.

Piotr Marek Stański

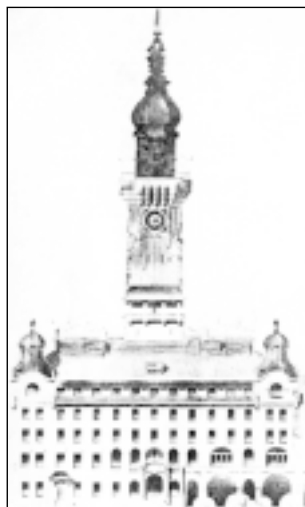
DWA MIASTA – DWA RATUSZE

U progu XX wieku w niedługim odstępie czasu zbiegły się inicjatywy władz obydwu galicyjskich metropolii – stołecznego wówczas Lwowa oraz historycznie królewskiego Krakowa – aby o kształcie architektonicznym ich siedzib rozstrzygnęły rozpisane w tym celu konkursy. Obydwa skierowane były wyłącznie do twórców polskich, pochodzących z trzech ówczesnych zaborów.

Stary ratusz lwowski powstawał stopniowo pomiędzy wiekami XIV i XVII. I tak w sierpniu 1489 roku uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowe skrzydło z wieżą zegarową zaszczylił swą obecnością królewicz Jan Olbracht. Kolejne pożary pustoszyły jednak wznoszoną budowlę, tak że doprowadzona ona została do końca dopiero w 1619 roku wraz z postawieniem 58-metrowej wieży, ufundowanej przez burmistrza Marcina Kampiana, a wykonanej przez Andrzeja Bemera. Wieńczył ją wizerunek lwa, obracającego się zgodnie z kierunkiem wiejącego wiatru. Wejścia natomiast już od 1591 roku strzegł kamienny lew, wykuty przez wspomnianego Bemera, a w 1874 r. przeniesiony na Wysoki Zamek, gdzie stanął obok sztucznej groty. Od czasu szwedzkiego „potopu” budynek ratusza za-

czął się chylić ku ruinie, czego ostatecznym przyczyną stało się w 1826 roku zawalenie wieży, grzebiącej pod gruzami kilka osób.

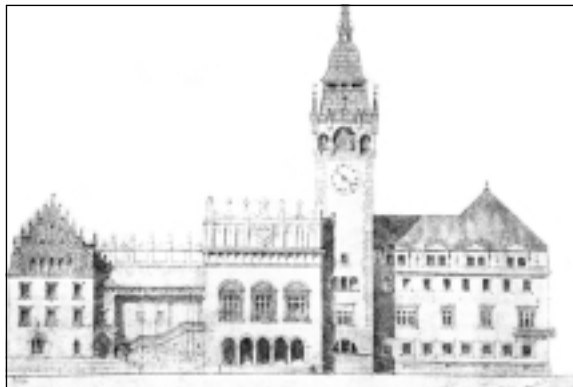
Postanowiono wtedy, że powstanie całym nowym gmach. Rok później wmurowano kamień węgielny, ale dopiero w październiku 1835 r. poświęcono i przekazano do użytku gotowy budynek, którego projektanci – Józef Markl i Franciszek Trescher junior – nadal mu znamiona klasycystyczne. Charakterystycznym elementem jego nieco koszarowej sylwetki była licząca tym razem 65 metrów wysokości wieża. Nowa siedziba władz miejskich poważnie ucierpiała w niespokojnych czasach Wiosny Ludów, kiedy w listopadzie 1848 roku buntujące się miasto zbombardowane zostało ze stoków cytadeli przez rozlokowaną tam austriacką artylerię gen. Hammersteina. Usuwanie wyrządzonych wtedy szkód zajęło trzy lata. Jednakże niezbyt foremna bryła magistratu, przezwanego wkrótce *szpetną skrzynią austriacką* ze *szpetniejszym jeszcze kominem*, nie dawała spokoju lwowianom, rażąc ich wyczucie estetyczne. Zaczęto zatem, zwłaszcza od czasu ustanowienia galicyjskiej autonomii, przemyśliwać nad sposobami jej ulepszenia. I tak w 1907 roku zrodziła się idea zorganizowania konkursu na



Projekty przebudowy ratusza lwowskiego na Rynku.
Praca S. Pajzderskiego oraz praca T. Stryjeńskiego i F. Mączyńskiego

opracowanie projektu przebudowy niefortunnego ratusza. W następnym roku ogłoszono wyniki. I nagrodę przyznano Romanowi Bandurskiemu, absolwentowi miejscowej Politechniki. W jego zamyśle ta prestiżowa dla miasta budowla przybrać miała wygląd, w którym można byłoby rozpoznać ducha polskiego renesansu. Wskazywać na to miała attyka, obiegająca obiekt na wysokości trzeciego piętra. Ponadto w czterech narożnikach planował umieszczenie posągów czterech polskich władców, szczególnie związanych z historią grodu nad Pełwią, a więc Kazimierza Wielkiego, Władysława IV Wazy, Jana Kazimierza i Jana III Sobieskiego. O wiele dalej szedł w swych pomysłach warszawianin Józef Handzelewicz, laureat II nagrody. Zamierzał on nadać ratuszowi cechy niemieckiego renesansu, występujące w architekturze tego rodzaju gmachów w Klodzku czy czeskim Libercu (niem. Reichenberg). III nagrodę otrzymał poznańczyk Sylwester Pajzderski, nawiązujący do elewacji ratusza w swoim rodzinnym mieście, wyróżnienia zaś podzielili między sobą Ignacy Kędzierski i Józef Piątkowski ze Lwowa oraz tandem krakowski – Tadeusz Stryeński i Franciszek Mączyński, mający już na swym koncie przebudowę miejscowego Teatru Starego. W ich ujęciu budynek uzyskać miał wybitnie secesyjny charakter, podczas gdy dominująca nad nim wyniosła wieża przywołała na myśl zamojską.

Ci ostatni cztery lata wcześniej zdobyli też III nagrodę i dwa tysiące koron w konkursie na projekt ratusza w Krakowie. W podwawelskim grodzie należało go jednak zbudować od podstaw, albowiem z poprzedniego, gotycko-renesansowego, wznoszącego się niegdyś na Rynku, ostała się jedynie wieża, do której Austriacy w drugiej połowie XIX wieku dobudowali odwach (we Lwowie postawiony i do dziś zachowany na placu św. Ducha). Również na placu św. Ducha, tyle że w Krakowie, stanąć miała nowa siedziba miejscowego magistratu, a konkretnie między ulicą św. Marka (pod młot miał więc pójść m.in. zabytkowy Dom pod Krzyżem, obecnie Muzeum Teatralne) a budynkiem Teatru Miejskiego, od 1909 r. noszącego imię J. Słowackiego. Zresztą twórcę tego ostatniego obiektu – Jana Feintucha Zawiejskiego – pełniącego wówczas funkcję miejskiego



architekta, poproszono o przygotowanie własnej propozycji poza konkursem, którego jedno z kryteriów zakładało zamknięcie inwestycji w sumie nie przekraczającej miliona koron. Jury pod przewodnictwem Juliusza Lea, wiceprezydenta miasta, zapoznawszy się z 23 dopuszczonymi pracami, postanowiło nie przyznać I nagrody, a dwiema równorzędnymi drugimi w wysokości 3500 koron uhonorować Sławomira Odrzywolskiego i Alfonsa Gravier'a. Pokłosie konkursu stanowiła publiczna wystawa. Największe uznanie zyskała na niej wizja Odrzywolskiego, łącząca cechy stylowe gotyku i tzw. krakowskiego renesansu. Podkreślano ponadto, że jego obiekt harmonijnie wkomponuje się w istniejącą zabudowę. Najlepiej wymóg ten spełniał, a zarazem najwięcej czerpał z miejscowej tradycji architektonicznej Władysław Ekielski, profesor Szkoły Przemysłowej i redaktor naczelny opinotwórczego w swoim środowisku „Architekta”. Według niego przyszły ratusz składać się miał z kilku wyodrębnionych segmentów. Sąsiadujący z kościołem św. Krzyża wieńczył gotycki szczyt, podczas gdy pozostałe zaopatrzone zostały w renesansowe attyki,

Projekty nowego ratusza w Krakowie przy pl. św. Ducha.
Praca J. Zawiejskiego oraz praca W. Ekielskiego

(dokończenie na s. 30)

Lwów rozsiadł się na wielu wyniosłościach, a ich wysokość względem najniżej położonego punktu miasta sięga prawie 80 metrów. W zabudowie miejskiej nie jest to mało. Określano je jako *w z g ó r z a* – przykładem Wzgórza Wuleckie, albo liczne *g ó r y* – Zamkowa z Kopcem Unii Lubelskiej, Piaskowa, Kortumowa, Stracenia (inaczej Hycla), Kadecka, Wronowskich – z Cytadela, Wilcza i św. Jacka. Takie ukształtowanie terenu przydaje owemu miejscu szczególnego piękna i czaru.

Te wyraźne akcenty terenu przyrównywano niegdyś do podobnej lokalizacji Wiecznego Miasta, a papież Sykstus V, nazywając Lwów *urbs catolicissima*, uzupełnił herb miasta, tak iż figurujący w nim od dawna lew dzierży w prawej łapie misę z trzema pagórkami.

Górze św. Jacka wspominam w sposób szczególny, jako że mieszkałem tam we wczesnych latach trzydziestych, przy ul. Hetmana Jana Tarnowskiego. Nie wiem jaka była przyczyna nazwania tej Góry imieniem sympatycznego świętego, kojarzonego – też nie wiem dlaczego – z pierogami. W najbliższej okolicy nie było kościoła lub nawet kaplicy pod takim wezwaniem, a nazwa sąsiedniej ulicy pochodziła raczej od Góry – nazywanej potocznie Jacka Górą – a nie na odwrót. Szczegółność tego miejsca odkryto w sensie urbanistycznym już z końcem XIX wieku, o czym świadczy występująca tam zabudowa w postaci dużych kamienic czynszowych, zwłaszcza w dolnej części ulicy, oraz licznych bogatych willi, już na szczycie wzniesienia. Przyczynę lokalizacji tych drugich należy upatrywać w pięknym położeniu wśród pierwotnej wówczas, a nawet i później, zieleni, z bardzo rozległym widokiem. Szczególnie ładne położenie miały wille nad stromym, wysokim, południowym stokiem.

Wspomniana ulica stanowi jakby kręgosłup komunikacyjny, wznosząc się ostro kilkoma zakrętami od ulicy Zielonej, przemianowanej około 1938 r. na ul. generała Rozwadowskiego. Nie bez przyczyny oczywiście, ale ta dawna nazwa miała też swoje uzasadnienie. We wczesnych latach 30. początkowa gęsta, obustronna zabudowa ulicy starymi, dostojnymi czynszówkami rozluźniła się nieco za skrzyżowaniem jej z ul. św. Jacka, gdzie stromizna stawiała się szczególnie, sama ulica wykonywała zaś długi łuk w prawo, a dalej jeszcze większy

Adam Trojanowski

MOJA GÓRA ŚW. JACKA

w lewo, i wreszcie prostowała się, kończąc swój bieg już poziomo, wśród gliniastych pól, niedaleko ulicy umownie w tej części zwanej Górną Zieloną.

Kamienica, w której mieszkałem z rodzicami, miała numer parzysty, a mianowicie 64, i zgodnie z lwowską zasadą – spotykaną także na krakowskim Podgórzu – stała po prawej stronie ulicy. Przypuszczam, że taki sposób numeracji domów pochodził z czasów administracji austriackiej z początków XIX w., podczas

gdy Kraków został ponumerowany w tym samym czasie za Rzeczypospolitej Krakowskiej (przed rokiem 1846). Podgórze, pod ówczesną nazwą Josephstادت, nie należało po rozbiorach do Wolnego Miasta Krakowa, lecz do austriackiej Galicji. Pozostałe jeszcze przy tej ulicy wolne parcele uległy w latach międzywojennych zabudowie. W ten sposób swobodne dojście do dawno tam istniejących schodków, stanowiących skrót do ul. św. Jacka, zostało zachowane przez swasty pasaż w nowo zbudowanej kamienicy.

Do tej właśnie kamienicy przeniósł swój sklep pan Michał Górski, zaopatrujący nas już wcześniej w artykuły spożywcze w przyziemnym sklepiku, nieco wyżej, po prawej stronie ulicy. Później, w ramach naturalnego rozwoju godziwej i uczciwej firmy, przeniósł się ostatecznie na ulicę św. Mikołaja, ale nasz kontakt z tą firmą trwał nadal. Ot, co znaczyła solidność kupca z jednej strony i zaufanie kupującego z drugiej. Panu Michałowi pomagała w sklepie przemiła małżonka, narodowości rumuńskiej.

Pewną konkurencją dla pana Górskiego na Górze św. Jacka stanowiły, jeszcze przed

jego przeprowadzką, dwa sklepy, znajdujące się w górnej – tej już prostej – części ulicy Tarnowskiego, a mianowicie sklepy panów Guza i Makarskiego. *Notabene*, pan Makarski pojawił się po wojnie w Krakowie, jako doskonały kierownik sklepu „Przełom”, w miejscu dawnej firmy Hawelka przy Rynku Głównym. Niedaleko sklepu Górskiego znajdowała się w przyziemiu pracownia tapicerska pana Zygmunta Stinzinga, który prowadził pod gołym niebem, na chodniku – zwanym wówczas trotuarem – gręplowanie zawartości starych materaców oraz wyścielanych mebli. Powodowało to oczywiście dość istotne, na szczęście doraźne, zaburzenia ekologii. Jeszcze niżej, po tej samej stronie ulicy, znajdowała się mała pracownia szewska niejakiego Kardasza, którego mój ojciec posądział o nacjonalistyczne ukraińskie ciągoty i bojkotował go jako rzemieślnika.

Właścicielem naszej dwupiętrowej kamienicy był pan Schreyer, posiadający także dość słabo egzystującą wówczas cukiernię. Mieściła się ona – z werandą i parasolem – na początku ulicy św. Mikołaja, naprzeciw sklepu z łózkami firmy Procko i Syn, obok prywatnej szkoły M. Kistryna. Później kamienicę odkupił dentysta, pan Zauderer, u którego zostawiłem dość dużo własnych zębów, a rodzice stosownych pieniędzy. Po wojnie spotkałem go w Krakowie, gdzie nadal działał w swojej profesji.

Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze, zajmując cztery pokoje z przynależnościami. Zgodnie z ówczesnymi, mało praktycznymi zasadami architektonicznymi, kuchnia nie mogła być ulokowana od frontu. Skutkiem tego nasze pokoje od ulicy nurzały się w północnym mroku, a kuchnia, tak jak i sypialnia rodziców, tonęła w pełni słońca. Z tej strony, czyli od południa, był duży balkon, z którego rozciągał się wspaniały widok. Sięgał od leżących w wschodzie wzgórz i pół Górnej Zielonej, poprzez Snopków, Żelazną Wodę, Laudę oraz tzw. Plac Powstańcowy, aż do wież kościoła św. Elżbiety. Na wprost widoczne były dwie wysokie wieże Radiostacji Lwów, bursa pani Boberskiej oraz rotunda Panoramy Racławickiej. W pogodne noce letnie odbywały się loty samolotów 6. Pułku Lotniczego na Skniłowie i wte-

dy wieże były oświetlane czerwonymi światłkami ostrzegawczymi.

U podnóża wysokiego stoku, opadającego stromo na południe, znajdowało się wtedy kilka dużych cegielni, pozyskujących surowiec na miejscu. Cały proces technologiczny, od mieszania masy glinianej, przez formowanie i ustawianie cegieł celem wysuszenia na słońcu, układanie w zadaszne *murki*, aż do wypalania w dużych piecach z bardzo wysokimi kominami, odbywało się wyłącznie ręcznie. Wszystko to można było obserwować z naszego balkonu. Cegielnia nazywała się „Enka”, sąsiednia zaś „Stella”. Liczne, nieoświetlone, ale nagrzane komory pieców stanowiły schronienie dla bezdomnych, którzy spędzali tam zimy wraz z rodzinami. Działo się to za milczącym pozwoleniem żydowskich właścicieli i przymrużeniem oka przez władze.

Nieco w lewo była lodownia, naziemna piwnica, obłożona grubą warstwą darni i zacieniona licznymi drzewami akacjowymi. W ziemie zbierano tam lód pochodzący z sąsiedniego stawu, zwanego Szteletówką. Lód był przeznaczony dla celów przechowalnictwa, wyrobu lodów i chłodzenia napojów. W lecie docierał do naszego mieszkania upojny zapach kwiatów akacji, któremu towarzyszył intensywny rechot żab ze Szteletówki. Przed nami przebiegała z zachodu na wschód ulica Snobowska, a za nią prawie równoległa – gen. Dwernickiego. W drugiej połowie lat 30. cegielnie zostały zlikwidowane, a na ich miejscu powstało szybko duże osiedle z zupełnie nową ulicą gen. Hauke Bosaka, dochodząca do ul. 22 Stycznia.

Z prawej strony Góry św. Jacka, czyli od zachodu, była nieutwardzona droga, która umożliwiała nieco kłopotliwe, ale krótkie dojście z ul. św. Jacka do Snopkowskiej. Wiodła poprzez sztucznie chyba wykonany wąwóz. W jego charakterystycznie uwarstwionych, popielatych złożach znajdowali się skamieniałe belemnity, zwane popularnie *strzałką piorunową*, oraz krystaliczne wykwitły gipsu. Wąwóz oddzielał wzgórze, na których rozciągały się ogrody i sady przynależne do klasztoru ss. Urszulanek, znajdującego się wraz z przynależnymi budynkami szkolnymi przy ul. św. Jacka. Właśnie ku temu budynkowi zbiegały stromo sympatyczne schodki, mile przez wszystkich

tamtejszych mieszkańców wspominać ze względu na ich praktyczność i wygodę. Stanowiły one najkrótsze połączenie dla ruchu pieszego z willowym osiedlem przy Czereśniowej i Oficerskiej, a także poprzez ul. św. Jacka z ulicą Jabłonowskich, i dalej ku śródmieściu. [...]

Tam, gdzie ul. Tarnowskiego prostowała się i osiągała płaski szczyt, następowało rozgałęzienie w lewo, i tam zaczynała się ul. Krasińskiego. Była ona zabudowana przeważnie starymi willami w ogrodach. Na samym środku wspomnianego rozgałęzienia ulic stała duża willa o obcej nazwie „Hertha”, zamieszkała prawie w zupełności przez lokalnych Niemców, osiadłych we Lwowie od pokoleń. W pewnej części byli to mennonici, wygnani ze swych pierwotnych miejsc zamieszkania w Niemczech, Holandii i Szwajcarii.

Obie ulice były oświetlone typowymi wtedy lampami gazowymi, które zapalał latarnik, tajemnicza postać, uwijająca się wieczorami szybkim krokiem od latarni do latarni. Długim kijem otwierał przygaszony na dzień dopływ gazu. Czasami musiał podpalać na końcu tego kija palnik spirtusowy, by zapalić lampy zgaszone przez zawieruchy. Wczesnym rankiem wykonywał czynności odwrotne. Dopiero później zaczęło się pojawiać automatyczne zapalanie ciśnieniowe, a rola latarnika sprowadziła się do regularnego czyszczenia szkieł latarni w dzień oraz wymiany azbestowych koszyczków.

Obie ulice były obsadzone szpalerami dorodnych klonów, których gałęzie rzucały na fasady budynków niepokojące cienie podczas jesiennych szarug, przygaszających chwilami słabe światło gazowe, tworząc swoisty nastrój smutnej jesiennej nocy.

W naszym sąsiedztwie mieszkało kilku towarzyszy moich ówczesnych zabaw, z których najbliższy był mi wtedy Leszek Sławomirski, syn aptekarza w Tarnobrzegu, o zaskakującym dla mnie wtedy imieniu – Otmar. Leszek miał kilku wyraźnie starszych braci, przeto miał we mnie najlepszego kompana do zabaw w Indian. W tej samej kamienicy mieszkał także mój koleżka nazwiskiem Domosławski, syn bodajże inżyniera budowlanego, związanego z budową dużej kamienicy naprzeciw mego miejsca zamieszkania.

Kierownikiem tej budowy był p. Dominik Wuchnowicz. Z zaciekawieniem obserwowałem, jak wzniesienie tej budowli odbywało się wyłącznie trudem rąk i pleców oraz nóg robotników. Najcięższe było noszenie cegieł na stelażach drewnianych, noszonych na plecach. Każdorazowo wnoszono ponad 20 cegieł. Ciężar ten noszono aż na najwyższe kondygnacje, chodząc po chybliwych, drewnianych pomostach.

Nieco niżej, niedaleko schodków, mieszkał w nowoczesnej kamienicy inny współnik do zabaw, Leszek (?) Olszewski, który przybył do Lwowa z Gdańska, co czyniło go osobą szczególnie atrakcyjną, bo zagraniczną. Gdzieś w okolicy rozgałęzienia ulic na szczycie góry mieszkał Romek Müller, narodowości niemieckiej. Chodziliśmy razem do szkoły im. Konopnickiej, a potem do VIII Gimnazjum. Losy wojny rzuciły go w świat, dopiero niedawno odnalazł mnie listownie z RFN po przeczytaniu posłanej mu przez rodzinę książki J. Janickiego *Towarzystwo Weteranów*, w której znalazł moje wspomnienie o nim. Teraz jesteśmy w stałym kontakcie listowym.

Jako bardzo dobrego kolegę ze szkoły powszechnej, a potem z sowieckiej szkoły średniej, wspominam Jurka Horwatha, syna wysokiego urzędnika lwowskiego kuratorium. Przed wojną uczył się w Korpusie Kadetów we Lwowie, a zginął w czasie oblawy NKWD w 1944 r. Po odnalezieniu jego pierwotnej, bezimiennej mogiły, został pochowany na cmentarzu w Łubnie koło Dynowa.

Przy ul. Krasińskiego, na samym jej początku z lewej strony, mieszkał w dużej willi kolega szkolny Zdziszek Arnold, razem ze swoją matką, bodajże wdową. Raz zbesztła mnie okropnie na ulicy jako demoralizatora jej syna i groziła ukamienowaniem cegłami, przygotowanymi na budowę naprzeciw kamienicy, w której mieszkałem. Nie wiem, czy na to zasłużyłem, więc tym bardziej się tej energicznej pani wystraszyłem. Ze Zdziszkiem zetknąłem się na krótko po wojnie na Politechnice Krakowskiej, poczem zniknął mi zupełnie z oczu.

Nieco dalej mieszkał, ale po prawej stronie, starszy kolega z VIII Gimnazjum, Władek Różycki. Był synem polonisty, profesora tegoż gimnazjum. Władek był wprawdzie wyraźnie starszy ode mnie, ale łączyły nas zbiórki w I Lwowskiej Drużynie Harcerskiej, do której mnie wprowadził – a także jego domowe laboratorium chemiczne. Sąsiadem państwa Różyckich był wysoki rangą oficer, bodajże płk Kończacki. Zachwyił mnie swym oficerskim sznytem, a szczególnie nienagannie błyszczącymi butami z cholewami.

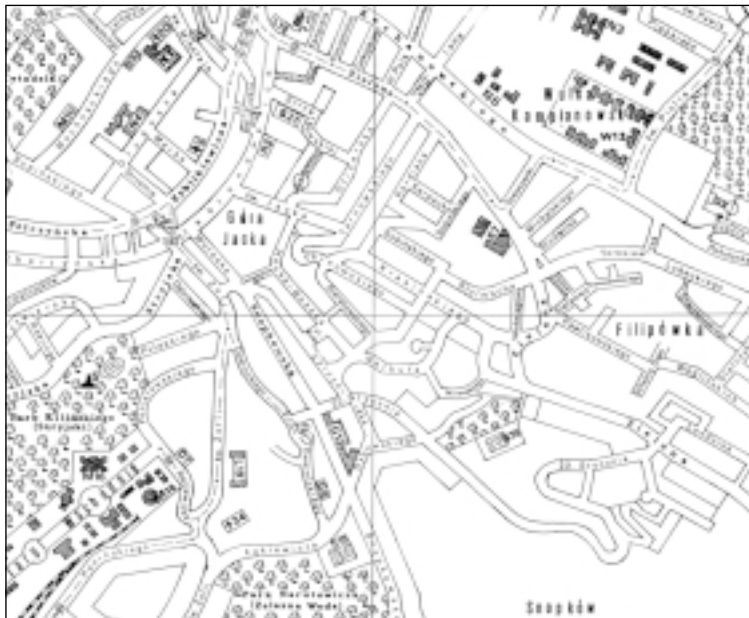
Za sprawą Władka Różyckiego zbliżyłem się do kręgu braci Fulińskich, synów profesora Politechniki Lwowskiej, właściciela ładnej, dużej willi na końcu ul. Tarnowskiego z jej prawej strony.

Jego synowie byli znacznie starsi ode mnie, ale pewien kontakt miałem z najmłodszym z nich, Wojtkiem. Oczywiście kontakt ten polegał przede wszystkim na podziwianiu – często przez płot – wyczynów sportowych wspomnianych braci, z udziałem Władka Różyckiego, a także syna profesora Mozołowskiego oraz niejakiego Hawalewicza, zwanego Hawajko, zamieszkałego w niedalekiej bursie przy ul. Stelmacha. Duże boisko od strony południowego stoku było przez cały sezon widownią przeróżnych gier, skoków, rzutów i biegów. Pamiętam, że ci chłopcy imponowali mi swoimi „kolcami”, czyli butami sportowymi, o jakich mogłem tylko marzyć.

Lokatorami willi państwa Fulińskich była rodzina profesora Leona Chwistka, logika, filozofa, matematyka i malarza – teoretyka formizmu. Widywałem go często, kiedy wolnym krokiem, wydymając charakterystycznie policzki, wspiął się mozolnie ku swemu mieszkaniu. Miał bardzo ładną i zgrabną żonę, zawsze uśmiechającą się życzliwie do spotykanych przechodniów. Była siostrą sławnego matematyka Hugona Steinhausa. Córka ich, Alina, zbliżała się wtedy do wieku maturalnego, i mnie w ogóle – ze zrozumiałych względów – nie zauważała. Ja ją natomiast zapamiętałem jako osobę rosnącą i energiczną, zgrabną i ładną brunetkę, gładko uczesaną „na bok”, schludnie ubraną w obowiązujący mundurek gimnazjalny.

Powyżej mnie mieszkał Bubi Seifert, niewiele starszy ode mnie młodzian potężnej budowy, zawsze dumnie wyprężony, który drażnił mnie noszonymi do krótkich spodni wysokimi, białymi skarpetami. Takie wtedy nosili ostentacyjnie Niemcy sudeccy, pozostający pod wpływem hitlerowskiego przywódcy Heinleina. Miał to być ich widoczny symbol przynależności narodowej. Bubi pojawił się w Krakowie po wojnie jako mistrz brydża, ale potem go już nigdy nie spotkałem.

Z Góry św. Jacka można było zejść w dół w kierunku ul. Górnej Zielonej, stromo tam opadającą ulicą Stelmacha, pozostawiając z lewej strony budynek Bursy Męskiej z dużym boiskiem oraz Szkołę Powszechną im. św. Zofii. Ulica ta była mało uczęszczana i tam mogłem z powodzeniem uprawiać



zimą zjazdy sankami. U dołu znajdował się duży budynek Akademii Weterynarii, gdzie mieszkały z jej profesorem dwie córki, oczywiście mnie także nie zauważające, Niemczyckie.

Kończąc moje wspomnienia nie mogę nie przywołać charakterystycznej postaci „nawiedzonego” Ciulama, zamieszkującego w stajni firmy przewodzkowej Ludwika Zawadzkiego przy ul. Oficerskiej, na wysokości Gimnazjum Strzałkowskiej. Zнали go tam wszyscy za sprawą jego ubierania się w damskie fatałaszkę, wypowiedania się naiwnie wierszowaną mową, a przede wszystkim jego nieustającego humoru i dobroci.

Górę św. Jacka w późnych latach 30. zamieniłem, jako miejsce zamieszkania, na Kwiatkówkę, ładne osiedle willowe pod tamtejszymi piaskownikami, w bliskości Lasku Węglińskiego. Tak więc do czasu wojny pozostałem w tej samej, pięknej okolicy, a Górę św. Jacka oglądałem codziennie, maszerując przez górki koło kąpieliska Zielone Oko – wtedy już do VIII Gimnazjum.

Post scriptum Redakcji:

W poprzednim wspomnieniu tego samego Autora pt. „Wuj Klaudiusz” (CL 3/02) zabrakło głównych dat, dotyczących życia K. Filasiewicza. Obecnie je uzupełniamy: urodzony 1879 w Tarnopolu, zmarł 1968 w Gliwicach.

MOJE GIMNAZJUM NA GÓRZE ŚW. JACKA 1928–1932

Poniższa relacja, spisana przez p. dr med. Alinę z Weignerów Chwalibogowską, zamieszczoną dziś pod Warszawą (wcześniej przez lata w Katowicach – patrz CL 1/99), wzbogaca przede wszystkim naszą wiedzę o lwowskich (i w ogóle wschodniomałopolskich) szkołach, które po kolei omawiamy, ale i o Górze św. Jacka, opisanej na poprzednich stronach.

Gimnazjum i Dom Zgromadzenia ss. Urszulanek we Lwowie mieściły się w trzech dawnych czynszowych kamienicach przy ul. św. Jacka 12, 14, 16. Klasztor i szkoła były usytuowane na tzw. Górze św. Jacka. W szkole tej uczyłam się w latach 1928–32. Opłaty miesięczne były wysokie i dla dochodzących uczennic wynosiły 60, a potem 70 zł miesięcznie. Dyrektorką Gimnazjum była w latach 1928–29 m. Paula Winiarska, a od roku 1929 m. Elżbieta Łubieńska.

Był tam ogród pełen drzew owocowych, krzewów, a na wierzchołku uprawiano grządki jarzynowe. Korzystały z tego ogrodu pensjonarki, a także pozostałe uczennice w czasie przerwy. Czasem w lecie odbywały się tam lekcje.

W pierwszym budynku mieszkały pensjonarki, tzn. uczennice pozostające w trakcie roku szkolnego w internacie. Każda miała łóżko i szafkę, oddzielone płóciennymi, białymi parawanami. Ponieważ nigdy tam nie byłam, nie wiem jak wyglądało zaplecze gospodarcze, toalety, łazienki i jaki był program dnia.

W owych latach każda szkoła średnia w mieście miała swoje mundurki. U nas obowiązkowe były brązowe buty i pończochy, granatowa plisowana spódnica i bluzka z marynarskim kołnierzem, wykończonym dwoma białymi paskami, szerokości 1 cm. Płaszcz obowiązkowo granatowy oraz granatowy берет z wpiętą odznaką „U” w wianuszku listków. Przy wejściu często stała jedna z sióstr i kontrolowała ubranie uczennic, a zdarzało się, że za niewłaściwe ubranie, np. zbyt krótką spódnicę lub cienkie pończochy, uczennica musiała wracać do

domu. Mundurek zawsze należało nosić, a na uroczystości czy święta odmiana była biała bluzka z marynarskim kołnierzem, z dwoma granatowymi paskami.

Strój gimnastyczny był również urozmaicony i z dzisiejszego punktu widzenia bardzo śmieszny: sukienka ciemnoniebieska z układaną spódniczką, paskiem oraz kwadratowym wycięciem na szyi i krótkimi rękawkami do łokcia. Długość sukienki była do kolan, a pod sukienką obowiązkowe – w tym samym kolorze i z tego samego materiału co suknia – szerokie szarawary, też do kolan. Sukienka miała przy dekolcie i rękawkach dwa białe paski. Ćwiczenia odbywały się dwa razy w tygodniu w sali gimnastycznej wyposażonej w drabinki i materace. Znamienne dla owych lat było małe uprawianie sportów, a należenie do jakichkolwiek stowarzyszeń, nawet harcerstwa, było źle widziane przez naszą szkołę.

Nasze gimnazjum miało tzw. prawa państwowe i matura uprawniała do studiów wyższych. We Lwowie oceniano najwyżej pod względem poziomu państwowe gimnazjum Królowej Jadwigi, a po nim Urszulanek, gimnazjum M. Strzałkowskiej oraz wiele innych szkół prywatnych i zakonnych, np. Sacre Coeur. Wszyscy nauczyciele gimnazjum Urszulanek, w tym również zakonnice, byli po studiach uniwersyteckich, niektórzy już nawet wykładali w szkołach wyższych.

Klasy liczyły przeciętnie 20 uczennic. Pomieszczenia klasowe były zaadaptowane z pokoiów mieszkalnych, bardzo skromnie wyposażone. Niektóre klasy były przechodnie do innych klas. Na II piętrze jedna sala miała nowoczesne ławki i pulpity. Pro-

wadziły tam wąskie, drewniane schody. Na II piętrze była także duża kaplica. Ten dość prymitywny wygląd szkoły nie odpowiadał kierunkowi wychowawczemu; szkoła była apolityczna i mimo że prowadzona przez zakonnicę, nie było żadnego przymusu religijnego. Obowiązkowa spowiedź i komunie święta były trzy razy w roku, w okresie postu – rekolekcje, prowadzone przez znamienitych kaznodziej. Nasza urszulańska szkoła wyrabiała patriotyzm i kształtowała charakter na zasadach etyki katolickiej.

Na szczególną uwagę zasługują nasi profesorowie, a zwłaszcza nasza wychowawczyni, matka Gertruda Łukaniewicz. Była osobą niezwykle utalentowaną, z ukończonymi studiami polonistycznymi na Uniwersytecie Jagiellońskim. Grała na skrzypcach, fortepianie i organach, władała językiem francuskim i niemieckim, miała duże zdolności malarskie, a w późniejszych latach tworzyła piękne, głębokie strofy poetyckie na tematy religijne. Uczyła patriotyzmu i miłości do Polski; z jej inicjatywy w okresie lat 1929–32 odbyłyśmy trzy wycieczki po Polsce. Pierwsza: przez Nałęczów, Lublin, Warszawę i dalej na północ do Grodna, Wilna i Trok, a w drodze powrotnej – na Polesie do Pińska i Horodyszcz. Polesie było częścią Polski rzadko odwiedzaną. Dla wielu z nas i dla mnie był to jedyny raz, kiedy miałam możliwość zobaczyć Wilno i Polesie. Byłyśmy na nowo otwartej Powszechniej Wystawie Krajowej w Poznaniu, a potem w Kórniku, Gnieźnie, Kruszwicy, Toruniu, skąd pojechaliśmy do Gdyni. W roku 1931 zwiedzałyśmy Kraków i Częstochowę. Wycieczki te były nie tylko krajoznawcze, ale kształtowały zarówno naszą kulturę i patriotyzm, jak i więź między nami.

Matka Gertruda uczyła nas kochać literaturę polską, a zwłaszcza Mickiewicza i Sienkiewicza. Niezapomniana była akademia 3-majowa z wyreżyserowanym przez m. Gertrudę *Koncertem Jankiela* z „Pana Tadeusza”, na chór, części

solowe, recytacje, skrzypce i fortepian. Sala z zaimprovizowaną sceną była udekorowana fryzem pod sufitem, malowanym wedle jej projektu. Jednym z dowodów szczególnej osobowości naszej opiekunki klasy było zawiązanie „kółka radości”, które rzutowało na nasze zachowanie pogodą jej usposobienia i, jak sądzę, wywarło na nas wpływ na całe życie.

W czasie wojny m. Gertruda była w Rzymie i Belgii, gdzie uczyła greki i łaciny w tamtejszych szkołach urszulańskich. Po wojnie była dyrektorką gimnazjum ss. Urszulanek we Wrocławiu, potem była w Lublinie wykładowczynią języka polskiego; resztę życia spędziła w klasztorze ss. Urszulanek w Bardzie Śląskim. Tam nie było szkoły, ale m. Gertruda, będąc tylko furtianką, prowadziła bardzo żywą korespondencję z osobami chorymi, starymi i niedołącznymi, niósąc im słowa pociechy. Akcją pomocy ludziom będącym w trudnych sytuacjach prowadziła będąc jeszcze nauczycielką w gimnazjum we Lwowie. Pisała listy pełne otuchy i miłości Bożej, zawsze opatrzone drobnym rysunekiem, piórkiem czy kredką, i krótkim wierszykiem religijnym.

My, dawne uczennice, odwiedzałyśmy ją w Bardzie Śląskim wielokrotnie, podziwiając jej żywy umysł, pogodne usposobienie i niezachwianą wiarę w miłość i dobroć Boską. Jej wielkim kłopotem był brak papieru listowego, który starałyśmy się wyrównać. Zmarła w wieku 91 lat.

Lekcje religii u ss. Urszulanek prowadzili: ks. Henryk Długosz (historia Kościoła), późniejszy wykładowca UJ w Krakowie, a po jego wyjeździe ks. Adam Gerstman, profesor, a potem rektor UJK we Lwowie. Wykła-

dał u nas etykę i dogmatykę. Wśród moich koleżanek było kilka nieprzeciętnych indywidualności, co owocowało na lekcjach wieloma, nieraz ostrymi dyskusjami z księdzem rektorem na tematy wiary i etyki.

Pozostali nauczyciele odznaczali się także wybitną osobowością, jak profesor Tadeusz Marian Le-

Archiwum

JAN ANDRZEJ MORSZTYN
XVII-wieczny poeta, napisał:

*Kto nowicjat odprawił w Lublinie
na Czwartku,
Kto wie, jakie gospodynie
w warszawskiej Baszcie,
Na Mostkach we Lwowie,
Co za szynk w Smoczej Jamie
przy Krakowie.*

A kto wie, gdzie to było „Na Mostkach”?

wicki, autor podręcznika j. łacińskiego, który prowadząc lekcje żądał odpowiedzi wskazując ręką na jedną z nas i tytułując *łaskawa pani*, a miałyśmy po 15–16 lat. Przy złej odpowiedzi wypowiadał swoją ocenę mówiąc: – *Łaskawa pani chłapie*. Był świetnym pedagogiem i nasza znajomość łaciny, jako podstawy kultury, to jego wielka zasługa.

Wielką także indywidualnością była Maria Homme – wymagająca matematyczka. Po jej przeniesieniu się do gimnazjum Sacre Coeur (i późniejszym wstąpieniu tamże do klasztoru), od 1931 r. matematyki uczył nas prof. Józef Czajkowski, jowialny grubasek, ale mniej wymagający. Historii uczyła skromna prof. Jadwiga Wiszówna, geografii m. Paula Winiarska, a potem również zakonnica – m. Bolestawa Bazali. Fizykę prowadziła p. Jadwiga Halaunbrennerowa, późniejsza profesor AGH w Krakowie. Nauczycielką j. francuskiego była pani prof. Maria Gerstman, a psychologię wykladała prof. Maria Jędrzejewska.

Matura odbyła się w maju r. 1932, w obecności przedstawiciela Kuratorium Oświaty – prof. Kazimierza Ajdukiewicza, wykładowcy filozofii na Uniwersytecie Jana Kazimierza, później znanego w całej Europie logika. Pisemny egzamin był do wyboru: j. polski lub historia, j. francuski lub łaciński i matematyka albo fizyka. Ustny: w zależności od wyników pisemnego z innych przedmiotów, ale obowiązkowo z języka polskiego.

W 1932 r. zdało maturę 20 uczennic na 22 przystępujące. Nie było żadnych przyjęć pomaturalnych – ani dla nauczycieli, ani dla uczennic.

W maju 1932 r. odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod przyszłą, nowy budynek szkolny. Budowa trwała dwa lata. Powstała nowa, piękna szkoła – gimnazjum i liceum. Budynek ten pełni swoją rolę do dnia dzisiejszego. Jest dziś koedukacyjną szkołą podstawową i średnią nr 28 przy dawnej ulicy św. Jacka 16.



Ks. biskup LEON MAŁY

Omawiając powołanie nowych biskupów pomocniczych we Lwowie, nie dysponowaliśmy zdjęciem ks. biskupa L. Małego (ks. bp. Marian Buczek jest nam znany od dawna, jeszcze jako kanclerz Kurii). Powyższe zdjęcie otrzymaliśmy niedawno ze Lwowa i zaraz je Czytelnikom prezentujemy.

Wincenta Wajdowa

ŚWIĘTA ANNA, PROBOSZCZ I JA

Uzbiegu ulic Gródeckiej i Janowskiej, przy małym trójkątnym placyku, stoi nieduży, stary kościół św. Anny. Z przekazów ustnych zapamiętałam, że był to przyklasztorny kościółek ojców Augustianów. Za rządów Austrii klasztor uległ, jak wiele innych, kasacie, a budynki, łącznie z kościołem zarekwirowane, nie wiem na jakie cele.

Urodziłam się w przededniu wybuchu I wojny światowej, w roku 1914, nie wiem więc jakie były koleje losów tego osieroczonego Domu Bożego. Kościołem i probostwem zaczęłam się interesować od chwili, gdy opiekę nad świątynią i parafią objął mój wuj, starszy brat mamy, ksiądz W i n c e n t y R o k i c k i. Byłam jeszcze bardzo mała, więc niewiele rozumiałam z tego, o czym szeroko rozmawiali babcia, rodzice, ciocia i wujkowie. Wiedziałam, że wojna się skończyła – bo tatuś wrócił z *frontu*, słyszałam, że wujkowi Wiciowi oddano w opiekę zniszczony działaniami wojennymi kościół, że ma bardzo dużo pracy z odbudową, że mu gorliwie pomagają parafianie, i że przez to brak mu czasu na częstsze przyjazdy do Stanisławowa, do „mamuni”, bo tak w rodzinie nazywano babcię.

Zjawiał się przeważnie jesienią, łącząc nawiedzenie na Zaduszki grobów dziadka Jana i cioci Stasi – z imieninami babci, które przypadały na dzień 4 listopada. Lubiałam te wizyty, na które czekało się długo, dom był pełen gości i radosnego rozgardiaszu, samego Wujcia też. Był wtedy jeszcze młody, bardzo przystojny, dla wszystkich serdeczny i miły, a dla mnie, najmłodszego członka licznej rodziny – wyjątkowo ciepły i hojny. Przywoził mi zawsze, prócz słodyczy, śliczne kolorowe książki, które sprawiały mi wiele radości. W przystępie humoru nazywał mnie *kozą*, chętnie i z uwagą słuchał moich popisów (miałam chłonną pamięć i znałam mnóstwo wierszyków, którymi się chętnie popisywałam, szczególnie gdy audytorium było liczne – i nowe!). Otrzymywane książeczki były zawsze opatrzone dedykacją: Od Wujka nr I (bo był i wujek II – Gustek, młodszy od Wicia, który częściej u nas bywał, przez co był mi bardziej znany

i w obcowaniu bliższy). Z tych książek zapamiętałam dużą, albumową – jakby komiks z kolorowymi obrazkami, ilustrującymi treść, a przy każdym łatwy do zapamiętania, płynny, z rymem i rytmem, wierszyk – w sam raz na poziomie pięcioletki, która sama czytać jeszcze nie umiała, ale łatwo przyswajała sobie zabawne przygody dwojga dzieci, Zosi i Stasia, ich pieska Kruczka i laleczki Lali. *W świat daleki wielka podróż małych podróżników* – napisała dla dzieci Waleria Szalay-Groele.

Byłam już chyba w 3. klasie szkoły powszechnej, kiedy pierwszy raz, i to na dłużej, pojechałam z mamą do Lwowa. Kościół św. Anny już się dźwignął był z wojennych ruin. Odrestaurowany na zewnątrz i wewnątrz, górował nad probostwem i placikiem nowymi wieżami, cieszył jasnością ścian i zachwycał dziecięce oczy wystrojem ołtarzy, barokowego chóru, a szczególnie małego zacisznego balkonu, na który wejście było wprost z pokoju! (teraz gościnnego, a kiedyś ponoć refektarza klasztorowego). Drzwi od pokoju były kryte w ścianie, a balkon osłonięty od kościoła wymyślną białozłotą kratą, miał długości może półtora metra, a szeroki był tylko na grubość kościelnego muru, najwyżej 80 cm. Pojemności dodawała mu przednia ścianka, ta za kratą, mocno wybrzuszona nad boczną ścianą kościoła. Lubiałam tam chodzić z mamą na msze św. lub nieszpory. Miałam tylko zakazane kręcenie się na balkonie i wyglądanie przez kratki. Wujek tego nie lubił, a jego konfesjonał stał właśnie naprzeciwko balkonowi. Dwa miesiące pobytu na probostwie nie tylko bardzo zbliżyły mnie do Wujcia, ale też raz na zawsze związały ze Lwowem. Mama także ciągnęła do Lwowa, bo była bardzo przywiązana do starszego rodzeństwa, więc przy każdej okazji jechało się choćby na dwa–trzy dni do Wujków.

Probostwo było duże, pojemne. Parter budynku zajmowała stykająca się z kościołem zakrystia, jakieś magazyny sprzętu kościelnego, długa sień, wzdłuż której były mieszkania – kościelnego, organisty i księ-



ży wikarych. Górę zajmowała kancelaria parafialna oraz pokoje mieszkalne Wujka i jednego wikarego, a także duży przedpokój i obszerna kuchnia oraz ten duży pokój po byłym klasztornym refektarzu. Ów bardzo ustawny pokój zajmowała ciocia Bronia Towarnicka, która po śmierci męża Edwarda zamieszkała na stałe pod opieką obu braci. Nic dziwnego więc, że moja mama, mając aż trójkę rodzeństwa we Lwowie, często i chętnie, przy byle okazji tam jeździła. Jak długo żyła babunia (zmarła, gdy miałam 13 lat), zostawiała mnie, tatę i wszystkie sprawy domowe pod jej czujną opieką. Po śmierci babci częściej zabierała mnie ze sobą, szczególnie gdy były ferie czy wakacje, a w domu gospodarzył tatuś i jakaś Hania, Julcia, Worońcia czy Józia. Kiedy zaczynały się wakacje letnie, przez pierwsze tygodnie siedzieliśmy w domu, ale na 19 lipca – imieniny wujka Wicia – już zwykle byliśmy we Lwowie. W tydzień po imieninach było św. Anny, a więc odpust w parafii. I tak 2–3 tygodnie zaliczaliśmy we Lwowie, w sierpniu na jakie 10–12 dni jechaliśmy we trójkę, z tatą, do Torunia i na Hel, ale na koniec wakacji wracało się zawsze, nieodmiennie – do Lwowa. Ciocia dogadzała nam przysmakami domowej kuchni. Wujek Gustek zabierał często do kina, a wuj Wicus do teatru – na opery. Był melomanem, kochał śpiew, a i sam miał piękny głos. Nie tyle silny, ile dźwięczny i dziwnie ciepły. Lubiłam go słuchać, szczególnie w okresie Świąt Bożego Narodzenia, kiedy przy drzewku intonował i śpiewał z nami kolędy. Nie wiem po kim to odziedziczyli, ale i wujkowie, i mama śpiewali pięknie.

Gdy wracaliśmy z teatru, jeszcze cały wieczór w domu rozbrzmiewały fragmenty arii operowych. W Stanisławowie teatr był mały, opery stałej nie było, czasem tylko *przyjezdna*, więc te częste wieczory w pięknym lwowskim Teatrze, ta muzyka, sceneria, stroje, zachwycały mnie. Wujek zawsze zajmował w loży miejsce w głębi i, ku mojemu zdziwieniu, słuchał w skupieniu, z przykniętymi oczyma. Owszem, czarowała mnie muzyka, ale także interesowała akcja, miałam swoich ulubieńców wśród aktorów, wciągała atmosfera teatru, trochę bajkowa, a w każdym razie daleka od rzeczywistości. Dzięki wujciowi oglądałam na lwowskiej scenie *Jasia i Małgosię*, *Żydówkę*, *Traviatę*, *Halkę*, *Straszny Dwór*, *Rigoletta*. Na *Aidę* mnie nie wzięli – do dziś nie wiem czemu.

Największą moją radością z okresu pobytów we Lwowie był ogromny ogród przy probostwie. [...] W środku królowała dostojna, wiekowa, potężna lipa, pamiętająca ponoć czasy zamierzcchle, kiedy nie było nie tylko starego kościoła, ale nawet najmniejszej kapliczki. Dziś byłby to pewnie szacowny i chroniony pomnik przyrody, a wtedy była to tylko żywa pamiętka po kilku młodych krawczykach – zapaleńcach, broniących miłości swego przyjaciela – imienia nie pamiętam – i jego ukochanej, pięknej Anny, córki mistrza krawieckiego, u którego młody krawczyk terminował. Uniesiony gniewem srogi ojciec – który dla swojej urodziwej i posażnej córki jedynaczki wymarzył sobie innego męża – ścigał ze swymi pachotkami uciekających zakochanych. Już za murami miasta, blisko baszty krawieckiej, doszło do zbrojnego starcia, kilka osób poległo, a śliczna Anna została ciężko zraniona, i to przez rodzzonego ojca, kiedy usiłowała osłonić sobą ukochanego. Widok rany zadanej własnemu dziecku złagodził gniew porywczego krawca. Za cenę życia najmilszej Anusi postawił na cmentarzyku, na placu boju, najpierw małą kapliczkę pod wezwaniem św. Anny, no i zgodził się na małżeństwo młodych.

Mijały lata, starą zmurszałą kapliczkę zastąpiła nowa, tę pewnie następną, aż stanął na tym romantycznym placu, obok starej lipy – niemego, ale żywego świadka przeszłych dziejów – klasztorów, a przy nim kościół św. Anny, ten sam, który przetrwał obie wojny, utrwalił się w moim sercu i pamięci, w którym 15 lipca 1939 roku brałam ślub, pobłogosławiony przez mojego kochanego Wujka nr I – ks. Wincentego Rokickiego, prałata Kapituły Lwowskiej, ostatniego polskiego proboszcza tego kościoła i parafii św. Anny, i jego wikarych, księży Władysława Florka i Jana Tomaszewskiego. Właściwie był to mój ostatni pobyt we Lwowie! We wrześniu wybuchła wojna i przez cały jej okres nikt od nas, ani nikt do nas ze Lwowa nie przyjeżdżał. W trudnych wojennych warunkach nie było czasu ani chęci na odwiedziny. A przecież to miasto serdeczne, ciche probostwo, pachnący kwiatami ogród i sad, kochani wujkowie, przedobra ciocia – to był przez długie lata mój drugi dom. Dom, w którym czułam się może nawet bardziej szczęśliwa niż w tym stanisławowskim, w którym chowałam się od dzieciństwa.

Niezaprzeczalnie – ten mój dom rodzinny przy ulicy Kopernika w Stanisławowie też miał swoje uroki i zapisał się trwale w mojej pamięci. Z nim wiążą się słodkie wspomnienia z najmłodszych lat. Lwów wszedł w moje życie równocześnie z mundurkiem gimnazjalnym. W domu w Stanisławowie jakoś zawsze, mimo upływu lat, czułam się dzieckiem, bo też byłam tam zawsze traktowana jako dziecko – najmłodsze w rodzinie. Na probostwie było inaczej. Wuj ksiądz, przez swój wpływ na mamę, spowodował to, że zaczęłam się usamodzielniać. Już jako nastolatka mogłam sama wędrować po mieście i poznawać jego cuda, nie tylko z okien tramwaju. Miałam tylko obowiązek zawsze wracać do domu na ustaloną godzinę. Podobaly mi się liczne kościoły Lwowa i chętnie, pomijając św. Annę, wybierałam się na nabożeństwa a to do Katedry, Jezuitów, Dominikanów czy św. Elżbiety. Wujek pokpiwał sobie ze

mnie pytając, czemu szukam *innych Bogów*, ale mi w tych moich szukaniach nie przeszkadzał, a często i coś doradził, na coś ciekawego zwrócił uwagę.

Z tego okresu, z rozmów wieczornych przy wspólnym stole, dowiedziałam się wielu ciekawych szczegółów z życia rodziny, z młodzieńczych lat spędzonych na *ojcowiznie*, z powołania i kapłaństwa wujka. Szczególnie utkwiła mi w pamięci historia związana ze wstąpieniem wujka do seminarium duchownego. Dziadek Jan wyznaczył sobie, że najstarszy syn zostanie księdzem. Babcia Karolina chciała mieć syna profesorem, ożenić go, doczekać się wnucząt... No i stało na tym, że Wicusz pojedzie do Lwowa na wydział humanistyczny, a mieszkać będzie u babcinego brata Marcina Ch., który w tym czasie był prezesem (?) Sądu we Lwowie. Gdy przyszła pora, pojechali dziadzio z wujkiem na egzaminy do Lwowa i zgodnie z umową zatrzymali się u rodziny. Wuj Marcin szczerze ucieszył się z przyjazdu szwagra i siostrzeńca, ale jego żona nie okazała ani radości, ani zadowolenia na widok gości. Miała duże piękne mieszkanie i dwoje wypieszczonych dzieci, było jej dobrze, wygodnie, dostatkowo i nie bardzo uśmiechało się jej *matkowanie* młodemu krewniakowi. A wrażliwy kandydat na studenta wyczuł tę niechęć i chętnie namówił ojca na zwiedzanie Lwowa. Spacerując po mieście spotkali dawnego katechetę wujka, który serdecznie ucieszył się na widok byłego wychowanka.

– Co cię tu sprowadza, Witek?

– Przyjechałem zdawać na studia, na filologię polską...

– Gdzie? Przecież ty masz być księdzem! Przecież cię znam...

Nie wiem, jakich argumentów użył ksiądz katecheta. Sądzę, że dziadek dzielnie mu sekundował, dość, że niedoszły student polonistyki wycofał swoje dokumenty z Uniwersytetu JK i wraz z nimi przeniósł się do Seminarium Duchownego. Dziadzio był szczęśliwy, niechętna wujenka zadowolona, popłakała się tylko babcia. Okazało się, że ks. katecheta *trafił w dziesiątkę!* Wicusz uczył się pilnie i chętnie, po czterech latach ukończył swoją uczelnię i jako nowo wyswięcony *młody księżyna* rozpoczął wędrowkę po różnych parafiach, ale z tych zapamiętałam tylko Czerniowce.

Po wojnie powołano go do Lwowa na proboszcza bardzo zniszczonego ko-



Ks. prałat Wincenty Rokicki

ściola św. Anny. W trudnych powojennych warunkach, przy współpracy życzliwych i chętnych parafian, bardzo przywiązanych do swego kościółka i dzielnicy, przez parę lat *cegła po cegle* dźwigał z ruin kościoł, probostwo, parafię. Zyskał serca ludzi życzliwością, sumienną i wytrwałą pracą, rzetelnym gospodarowaniem na powierzony mu placówce. Całym sercem kochał swój Lwów i był mu wierny do końca. Dane mu było wśród tych swoich oddanych i serdecznie mu życzliwych parafian przeżyć w ukochanym mieście jubileusz 50-lecia kapłaństwa – wielkie święto dla każdego sługi Bożego, ale w jakże ciężkim czasie i trudnych warunkach. Nie kwapił się do wyjazdu na „Ziemię Odzyskane”. Jeszcze się ludził nadzieją, wierzył, czekał...

Aż przyszedł dzień, że trzeba było wszystko zostawić i ulec przemocy. Razem ze swoją gromadką zabiedzonych i zrozpaczonych ludzi przeżył na swojej parafii koszmar wojny, a wyjechał ostatnim transportem w 1946 roku – do Torunia. Towarzyszyła mu i matkowała starsza siostra Bronisława, dzięki której oddaniu i pracowitości jakoś przetrwali lata wojenne. Wywozić nie było co! Wartościowe sprzęty i piękne obrazy poszły dawno *na życie*. Mienie kościelne przekazano Kurii, a ze sobą zabrał Wujek tylko mały płócienny woreczek pełen wotów – serduszek składanych w podzięcie za otrzymane łaski przy ołtarzach *pośredników i opiekunów*.

Zamieszkali w domu siostry Zofii z Rokickich Zakrzewskiej. Tam też ściągnęła cała nasza wschodniacka rodzina, ciocia Anna z Chorzemskich Wnętrzakowa i moi rodzice. Wujek Gustek, wywieziony przez naszych „braci” w 1940 r. *na białe niedźwiedzie*, przetrzymał wojnę w koszmarnych warunkach i z Andersem zamierzał wracać do kraju i do swoich, ale utknął w Anglii i tam pozostał. Za dobrze poznał „braci” i już nie miał chęci spotkać ich ponownie. Wujek ksiądz zawsze marzył, że kiedyś zostanie wśród swoich parafian na Janowskim

cmentarzu. Nawet kiedy stawialiśmy grobowiec rodziny Rokickich na stanisławowskim cmentarzu, mówił – na mnie nie liczcie, ja zostanę z moimi we Lwowie. *Sic fata volunt*, że został wśród swoich najbliższych, ale w Toruniu, na cmentarzu parafialnym NMP. Leżą tam obok siebie w równym szeregu: wujostwo Mikołaj i Zofia z Rokickich Zakrzewscy, moi rodzice, Paweł i Eugenia z Rokickich Kordyszowie, ciocia Anna z Chorzemskich Wnętrzakowa, ciocia Bronisława z Rokickich Towarnicka i kuzyn Zygmunt Rokicki, syn najstarszego z braci wuja Karola. A kościelne wota przywiezione przeze mnie z Torunia zostały przekazane do kościoła parafialnego w Lubaczowie, w którym przez pierwsze powojenne lata *pastorzował* ks. arcybiskup Eugeniusz Baziak – kiedyś nasz proboszcz stanisławowski, a później ordynariusz lwowski i krakowski.

Post scriptum

Ksiądz Wincenty Rokicki urodził się w r. 1872, do Seminarium Duchownego wstąpił w 1890 r., święcenia otrzymał w 1904 r. Zmarł w Toruniu w roku 1949.

Gustaw (August?) Rokicki urodził się w roku 1887. Szkołę średnią ukończył w Stanisławowie, nie wiadomo, czy zapisał się na jakieś studia, czy od razu po maturze wstąpił do wojska. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze widzę go w mundurze wojskowym, ale nie znam szczegółów jego wojskowej kariery. W czasie I wojny światowej był na włoskim froncie, a później w armii gen. Hallera. Z tego okresu zapamiętałam niebieski mundur (z którego uszyto mi płaszczyk), później mundur był *khaki*. Jakiś czas stacjonował w Brodach, następnie w Kołomyi, aż wreszcie na dobre osiadł we Lwowie, gdzie aż do przejścia w stan spoczynku sprawował urząd komendanta PKU Lwów-miasto.

Aresztowany w pierwszym roku wojny przez sowietów, został wywieziony na nieludzką ziemię, w której przetrwał aż do czasu formowania się polskiej armii. Z gen. Andersem przebył cały szlak wojenny, aż dotarł do Anglii, w której już pozostał. Zmarł w wieku 77 lat w 1964 r. w Walii, z której piśmywał listy pełne tęsknoty.



Major Gustaw Rokicki

WINCENTA WAJDOWA, ur. 1914 w Stanisławowie, po II wojnie osiadła w Rzeszowie.

LONDYŃCZYK

Wiktor Moszczyński (Londyn)

WE LWOWIE

Po mojej pierwszej podróży do Lwowa muszę stwierdzić, że gdyby nie Wawel, to uważałbym Lwów za jeszcze piękniejsze miasto niż Kraków. Na pewno dziś biedniejsze, bardziej zaniedbane, smutne, ale mimo wszystko piękniejsze, rozbudowane z większym rozmachem i cieszące się nie mniejszą liczbą zabytkowych kamieniczek i obiektów sakralnych niż jego zachodni kuzyn. Lwów jest też miastem zieleni, gdzie każda ulica prowadzi przez kurz i odrapany tynk do jakiegoś ogrodu, parku czy zalesionego pagórka.

We wrześniu 2002 po raz pierwszy w życiu pojechałem do Lwowa. Pojechałem z moją matką, urodzoną i wychowaną we Lwowie w czasach, gdy miasto to było perłą kultury polskiej. Z tego właśnie Lwowa została wywieziona wraz ze swoją matką i bratem w lutym roku 1940, w wagonie bydłowym, w głąb tajgi syberyjskiej. Chciałem zobaczyć to szczególne miasto owiane legendą, miasto wesołe Fredry i Zapolskiej i piosenek Hemara, miasto hetmanów, królów i Orłów, miasto opowiadań Makuszyńskiego i gawęd Schleyena, a wreszcie miasto Władysław Małkowskiej i Ireny Andersowej. Chciałem je zobaczyć oczyma mojej matki, młodej, patriotycznej lwowianki, i sprawdzić, do jakiego stopnia wymarzone miasto odpowiadało realiom objawiającym się w dzisiejszym ostrym świetle neonowym.

W RÓWNOLEGŁEJ JAŻNI

Spacer z Mamą po Lwowie... To dopiero było przeżycie! Po pierwsze – Mama, którą prowadziłem w wózku po wertepach i korytarzach lotnisk Londynu i Warszawy, we Lwowie nie potrzebowała żadnej podpory, raczej hamulca. Miała jakby silnik odrzutowy w nogach i gnała jak siwy koń po ulicach Starego Miasta, szukając pod wpływem paliwa adrenaliny i niecierpliwości swoje kąty i zabytki, opatulone dotychczas w pajęczynie swoich najśodszych, ale i najciemniej-

szych wspomnień. Nic nie mogło jej powstrzymać od tego galopu. I to od momentu przyjazdu na lotnisko Sknitów – miejsca tragedii lotniczej sprzed paru miesięcy – gdzie pod napisem LVIV wylądował polski śmigłowiec z Warszawy i gdzie po żmudnej odprawie paszportowej czekały na nas panie Teresa Dutkiewicz i Ela Korowiecka, przyjaciele z Fundacji Organizacji Polskich. I już chciała zwiędzać polskie zabytki, nim nas zawieziono do naszego mieszkania na Pohulance. A potem gnała siebie i mnie na szczyt Kopca Unii Lubelskiej, aby spojrzeć znów na pejzaż starego Lwowa, nieskażonego na szczęście ani jednym sowieckim wieżowcem. Widać było wieże Korniaкта i Ratuszową, skusił Dominikanów, Przemienienia – dawnych Trynitarzy, i św. Jura. Był to pejzaż niezmieniony w wyglądzie od czasów, gdy 150 lat temu spoglądał z tą samą dumą na ten sam pejzaż, pchający taczki z ziemią, wąsaty prezydent parlamentu wiedeńskiego Franciszek Smolka. Ten sam pejzaż, przypominający widok z Piazzale Michelangelo, skusił Mariana Hemara do opisanie *polskiej Florencji, miasta siedmiu pagórków fiesolskich*. Bo trzeba dodać, że Mama jest – jak by to powiedzieć – wiekowa, urodzona w roku 1913, a więc gdy Lwów był jeszcze siedzibą namiestnika Galicji i stolicą kulturalną Polski, pod oficjalną protekcją złocistego berła i białych wąsów Keisera Franciszka Józefa. Czy to pamięć energicznych młodych lat, czy efekt czystej źródlanej wody Lwowa, który nas tak zagnał?

Drugim wrażeniem, znanym kinomanom, na przykład wielbicielom filmu *Matrix* czy kibicom serii *Star Trek*, było doświadczenie tzw. *równoległej jażni*. Snując się po wybrukowanych ulicach miasta czy wewnątrz świątyń i pałaców, w obecności Mamy i naszej głównej przewodniczki, pani Danusi Szpak, można było widzieć i odczuć atmosferę oraz nazwy starych ulic i placów, sklepów i kościołów, odtworzonych i jeszcze żywych duchów innej epoki i innej świadomości.

mości. Tu jest ulica Kochanowskiego, tu Wały Hetmańskie, tu ulica Leona Sapiehy a tu plac Smolki; tu Uniwersytet Jana Kazimierza w budynkach dawnego Sejmu Galicyjskiego; tu pomnik Fredry; tu kościół św. Elżbiety, z którego północnego dachu woda spływa do Bałtyku, a z południowego do Morza Czarnego; a tu pociąg jedzie z pięknego dworca lwowskiego do Stanisławowa. A w pewnym momencie jestem już sam. Ocieram oczy, ujawnia się szara teraźniejszość. Nie ma ulicy Kochanowskiego, jest Kost-Lewyckiego (za sowieckich czasów Majakowskiego); tam gdzie były Wały Hetmańskie widzę Prospekt Swobody (przedtem Lenina) z piękną Operą na jednym końcu, a zdominowane teraz bombastycznym pomnikiem Tarasa Szewczenki. Była ulica Sapiehy – jest ulica Stepana Bandery (przedtem Mira); tu plac Hryhorenki zamiast Smolki; Iwan Franko przejmuje patronat nad uniwersytetem; w fotelu Fredry siedzi ukraiński historyk; kościół św. Elżbiety (tak nazwany na cześć zamordowanej cesarzowej) jest już pod wezwaniem św. Olgi; a pociągi jadą już nie do Stanisławowa, lecz do miasta *Ivano-Frankivsk*. Wszędzie mowa i napisy po ukraińsku. W momentach kiedy byłem sam, czułem się tu jako Polak tak samo na bezrybiu, jak Niemiec błakający się po ulicach dzisiejszego Wrocławia.



Na Łyczakowie przy grobie rodziny Madejewskich. Od lewej: Anna Moszczyńska (z Madejewskich), Wiktor Moszczyński, przewodniczka Danuta Szpak

POMNIKI POLSKIE JESZCZE STOJĄ

... ale nie całkiem. Bo jednak Polak widzi swoje. Stoi jeszcze pomnik Bartosza Głowackiego. W pięknym, lecz wielce zaniedbanym Parku Stryjskim wymachuje jeszcze szabelką Jan Kiliński. Na centralnym placu Mariackim stoi jeszcze monumentalny pomnik Mickiewicza (Mama przypominała sobie, jak cała klasa uformowała się na fotografię przed pomnikiem po zdaniu matury). Główna Poczta znajduje się wciąż na rogu ulic Słowackiego i Kopernika. Mamy jeszcze ulicę Zieloną, Łyczakowską, Halicką, Karpińskiego, Matejki. Za murem przy Cmentarzu Orłąt jest jeszcze ulica Pohulanka, z tym wiejskim urokiem, co przed laty. A spod odbitego tynku (przy zaniedbaniach obecnych gospodarzy) wylaniają się wciąż stare napisy i ogłoszenia: „Przyjmuje się wszelkie reparacje”, „Miody wszelkiego gatunku”, „Nafta – Wszelkie przybory do lamp”, a nawet numery domów: Nr 2. Grodzickich”, „21, ul. 29 Listopada”. Przypominają, że to nie był jednak sen. W kościołach i galeriach pełno pięknych polskich pomników, nagrobków, witraży, obrazów. Muzea na Rynku przedstawiają komnaty Sobieskiego i pałace polskich kupców, biskupów i magnatów.

W Lwowskiej Galerii Sztuki naprzeciw Ossolineum, poza pięknymi obrazami włoskiego i holenderskiego renesansu, *Lichwiarzy Georges'a de La Tour* i obrazów Gerarda, są piękne płótna Matejki, Boznańskiej, Chelmońskiego, Malczewskiego, Grottgera, a przede wszystkim aż siedmiu arcydzieł Siemiradzkiego, zajmujących osobną salę. Gdy chodzi się od komnaty do komnaty, obsługa galerii co jakiś czas zapala światła, aby zwiedzający mogli lepiej przypatrzeć się zaniedbanym eksponatom z podpisami wyłącznie cyrylicą. Z niewielkim pożytkiem. Najczęściej w każdej sali brakuje żarówek i te zapalone światła niewiele dają iluminacji pięknym zabytkom. Niewiele nowych obrazów dołączono do tych *odziedziczonych* po wkroczeniu Armii Czerwonej, choć są tu obrazy ze splądrowanych polskich dworów. Wiele obrazów nawet ubyło. Nikt nie umiał mi powiedzieć, co się stało ze Starowolskim i *Karolem Gustawem przy grobie Łokietka Matejki*, który tu jeszcze wisiał w roku 1998 według starego przewodnika sowieckiego. Wiadomo natomiast, że parę lat temu bandyci wdarli się do galerii, skradli dwa polskie

obrazy (Matejki i Grottgera) i zabili pracownika. Do tej pory sprawców nie schwytano. Kto gotów był przelać niewinną krew, aby skraść dzieła sztuki?

POD OPIEKĄ UNESCO

Polacy z RP mają tu co oglądać, bo miasto jest zarazem i piękne, i tanie na polską kieszeń (a co dopiero angielską). Rynek, Arsenale, Baszta Prochowa i główne świątynie są albo już odnowione w pełni, albo w ostatniej fazie restauracji. Pałac Potockich wygląda jak pałacyk z cukru. W doskonałym stanie jest już czternastowieczna Katedra Łacińska, gdzie przy głównym ołtarzu król Jan Kazimierz uroczyście ogłosił Matkę Boską Królową Korony Polskiej. Nad południowo-zachodnią częścią miasta króluje greckokatolicka Katedra św. Jura. W Iśniącej Cerkwi Wołoskiej z XVI w. odbywają się długotrwałe litanie autokefalii ukraińskiego prawosławia. Odrestaurowany jest kościół Dominikanów, dziś kościół greckokatolicki, a w czasach sowieckich muzeum ateizmu. XVII-wieczna kaplica Boimów pozostaje jak zawsze perłą architektoniczną. [...]

Jeszcze trwają prace w greckokatolickim soborze – przedwojennym kościele Bernardynów, gdzie pozłacane barokowe statuy świętych bawią się w chowanego z ciężkimi drewnianymi belkami rusztowania. Tylko jedna część egzotycznej XIV-wiecznej Katedry Ormiańskiej jest otwarta ze swoim złotym tronem mozaikowym i pięknymi freskami. Inne zabytki, jak kościół Jezuitów przy Włachach Hetmańskich czy dziewiętnastowieczne kamienice na Filipówce, są bardziej zaniedbane. Ulice, pokryte wciąż brukiem z XIX wieku, są postrachem dla zachodnich samochodów ze słabym zawieszeniem, a także dla turystek o wysokich obcasach. Kanalizacja jest ciągle w dość surowym stanie, a od czasu do czasu brudna Pełtew daje znać o sobie przenikliwym odorem, chcąc widocznie przypomnieć, że jest wciąż obecna, nawet kiedy nie jest widoczna.

Mało z tych renowacji pochodzi z lokalnej kieszeni, mecenasów nie ma we Lwowie. Natomiast władze miejskie, uczelnie i kościoły uzyskują fundusze z Polski i z Kanady (gdzie jest największa i najbogatsza diaspora ukraińska), a centrum miasta zostało uznane za zespół zabytkowy przez UNESCO. Przynosi to sporo funduszy.



W Szkole nr 24 we Lwowie. Od lewej: Wiktor Moszczyński, Anna Moszczyńska, wicedyr. Szkoły Weronika Aprilaszwili

WRACAMY NA KOCHANOWSKIEGO

Poza turystami z Polski i ich walutą (polski złoty jest jedną z rezerwowych walut mieszkańców Lwowa), Polacy-tubylcy nie są tu aż tak widoczni, mimo że sporo Ukraińców we Lwowie zna język polski. Kiedy pierwszego dnia wybraliśmy się z Mamą, aby znaleźć dom, gdzie mieszkała w chwili wywiezienia na Syberię w lutym 1940 roku, myśleliśmy, że trafimy na jakąś rodzinę ukraińską, czy nawet rosyjską. Mama skrzyła w korytarz prowadzący z podwórka w lewe skrzydło budynku i zapukała do mieszkania na parterze. Otworzyła nam drzwi uroczą młodą pani, zaciągająca tradycyjnym akcentem lwowskim – Polka, pani Weronika Aprilaszwili! Kiedy usłyszała, że Mama właśnie tu mieszkała 65 lat temu, zaprosiła nas od razu do środka na poczęstunek. Poznaliśmy jej pięcioletniego synka Stasia i jej matkę, panią Zofię Rozumiejko. Siedliśmy przy pięknym niebieskim, fajansowym piecu, który Mama jeszcze pamiętała. Ten sam piec przygrzewał rodzinie polskiej w roku 1939, rosyjskim przesiedleńcom przez kilka następujących dekad lat i znowu polskiej rodzinie Rozumiejków, która tu mieszka od 1973 r. do dzisiaj. Co więcej, okazało się, że nasza

młoda gospodyni, pani Weronika, jest wicedyrektorem polskiej szkoły. To cudowne spotkanie było chyba najpiękniejszym przeżyciem dla mojej Mamy.

LWÓW – MAŁA OJCZYZNA

W czasie pewnego spotkania ktoś mi powiedział, że tu we Lwowie nie ma dziś Polski, a nie jest to Ukraina. Tu jest tylko Lwów. Tak, jakby to była jakoś samodzielna, sama w sobie, widocznie bardziej dla niej i jej środowiska treściwa niż pozostałe.

Podobne korzenie tej wyszukanej jakości usłyszałem z innych ust, tym razem ukraińskich. Przechodząc po ciemnych salach Lwowskiej Galerii Sztuki, odczytując z wielką trudnością objaśnienia obrazów w cyrylicy, trafiłem na portret pięknej kobiety o subtelnym rysach, ubranej wykwintnie w stylu epoki napoleońskiej. Jej uroda biła całą jasnością przez mrok pokoju. Obraz był bez podpisu, zapytałem więc pani kustosz o komentarz. Zrozumiałem, że to arcydzieło było pędzla malarza francuskiego Gerarda, ucznia Davida, i przedstawiało *n a s z a Ł w o w i a n k ę* Katarzynę Starzeńską, żonę *p o l s k i e g o* generała w armii Napoleona. A więc Katarzyna – to „nasza”, bo ze Lwowa, a jej mąż generał – to obcy, bo „polski”. Skojarzenie to może być dla Polaków obce, a nawet absurdalne, ale dla tej zapalanej *lwowianki* wystarczało. Powstaje nowa rzeczywistość. Jest to nowa, choć mała „ojczyzna”. Wynika z potrzeby uspokojenia i zawłaszczenia sobie duchów zamieszkujących te historyczne mury. Od wieków był Lwów, od wieków byli lwowiaci i lwowianki, a ci *obcy* przychodzili i odchodzili. Wydawać by się mogło, że to fałszywy obraz, ale dla niej i dla innych obecnych mieszkańców Lwowa nie tylko wystarcza jako podstawa ich prawa do zamieszkania i poczucia dumy z tego miasta, ale nawet ku temu jest konieczna. Duma pochodzenia i tożsamość lwowska wymaga tej legendy. To samo poczucie dumy wymagało postawienia na placu Halickim pomnika księcia Daniła Romanowicza, założyciela ruskiego grodu w XIII wieku, namaszczonego fałszywym tytułem królewskim (*Korol Daniło*). To tak, jak kiedyś uczono nas w polskiej szkole, że Mieszko I był pierwszym królem polskim, mimo że takiego tytułu nie posiadał. Nie mam zamiaru potępiać tego pociągu obecnych miesz-

kańców Lwowa do przystosowania dla siebie i dla swoich potrzeb historii miasta. Jeżeli w ten sposób będą traktować to miasto jako „swoje”, tym szybciej odrestaurują je i ożywią nowym życiem i własnym dorobkiem. Nie mogą przecież żyć w skansenie. Poza tym w tej tożsamości jest miejsce dla tubylców polskiego pochodzenia. Bo miasto Lwów ma być ich wspólnym mianownikiem. Tu Ukraińcy i pozostali Polacy muszą razem żyć, uczyć się, pracować, kochać, konsumować i umierać. Tak robili to ich przodkowie. A drzewa na ulicach miasta mają tak samo zakwitać, ptaszki tak samo śpiewać, a tramwaj numer dwa tak samo turkotać z Łyczakowskiej na plac Halicki, jak to miało miejsce niegdyś.

Może jest nawet miejsce w tej nowej „małej ojczyźnie” dla lwowiaka londyńskiego?

To piękne, co Pan napisał, Panie Wiktorze. Niestety, rzeczywistość nie skłania do optymizmu. Właśnie i przede wszystkim w samym Lwowie. Jesteśmy blisko tych spraw.

Informacja dla Czytelników: powyższe rozdziały (podane z nieznacznymi skrótami) są zaledwie fragmentem ciekawego tekstu, nadesłanego nam przez Autora z Londynu. W następnym numerach przedstawimy inne jeszcze obserwacje i refleksje Pana Wiktorze z jego wizyty w naszym Mieście.

ANNA MOSZCZYŃSKA, z domu Madejewska, ur. 1913 we Lwowie. Wywieziona na Syberię w 1940, od 1942 pracowała w dziale opieki społ. przy polskiej ambasadzie w Kujbyszewie, potem przy PCK w Kenii. Znana działaczka społeczna i polityczna polska w Londynie, od 1987 kierownik Biura Informacji przy POSK, od 1993 przy Zjednoczeniu Polskim w Wlk. Brytanii. Co dwa lata wydaje periodyk Polonii brytyjskiej „Informator Polski”.

WIKTOR MOSZCZYŃSKI, ur. 1946 w Londynie. Działacz społeczny, 1982–84 przewodniczący Polish Solidarity Campaign. 1986–90 członek Rady Miejskiej w Ealing, parokrotnie kandydat do parlamentu bryt. z ramienia Partii Pracy. 1991–93 wiceprezes Zjednoczenia Polskiego w Wlk. Brytanii, 1994–2000 redaktor mies. „Orzeł Biały”. Od 1992 powiernik Polonia Aid Foundation, od 1995 Polskiej Fundacji Kulturalnej.

Marta Walczewska

Majowy tydzień we Lwowie

W maju spędziłam tydzień we Lwowie. Miasto jest szczególnie piękne w wiosennym słońcu, kiedy kwitną kasztany i bzy. Nie mam już tam rodziny, wszystkich bliskich rozproszyła ekspatriacja. Pozostały groby kilku pokoleń na cmentarzach Łyczakowskim i Janowskim. Mam tam jednak trochę zaprzyjaźnionych osób – Polaków, którzy pozostali w naszym mieście. Zawsze chętnie ich odwiedzam.

W tych dniach byłam świadkiem ciekawych wydarzeń. W niedzielę 18 maja odbyła się uroczystość poświęcenia Katedry Ormiańskiej, którą po latach – już w całości – odzyskali wierni obrządku ormiańskiego. Nie są to jednak nasi dawni Ormianie wierni Rzymowi, ale Kościół narodowy, tzw. Apostolski Kościół Ormiański [czy nie nazywać go raczej *Armeńskim*? – przyp. red.], nie uznający papieża (nie jest to jednak kościół prawosławny). Uroczystość rozpoczęła procesja od Ratusza – ulicą Krakowską – do świątyni, prowadzona przez katolika Geregina II. Była to pierwsza po 376 latach wizyta we Lwowie zwierzchnika tego Kościoła, przybyłego z Armenii. Doniosłość tego wydarzenia jest porównywana do wizyty Jana Pawła II i do ingresów zwierzchników Kościołów rzymsko- i grekokatolickiego. W ciągu kilku tygodni przed uroczystością starano się usunąć ślady wieloletniego zaniedbania świątyni

Lwowscy Ormianie pragnęli godnie przyjąć znakomitych gości, a wśród nich pierwszego prezydenta Ukrainy Leonida Krawczuka, sławnego śpiewaka i aktora Charles'a Aznavoura, ambasadorów Armenii z Paryża i Kijowa, duchownych prawosławnych z władzą (arcybiskupem) Augustynem, przedstawiciela naszego Kościoła łacińskiego – ks. Ludwika Marko i wielu innych. Gubernator Myron Jankiw [już odwołany – przyp. red.] i mer Lubomir Buniak uroczystości przekazali klucze do świątyni. Liturgia Mszy św. trwała 3 godziny i w jej trakcie dokonano poświęcenia katedry. Po zakończeniu uroczystości wierni wyszli na dziedzińiec, gdzie uraczono ich tradycyjnym posił-

kiem – obiadem *matach*. Lwów stał się znowu stolicą trzech katedr.

Drugim wydarzeniem, w którym uczestniczyłam, był jubileusz 45-lecia Polskiego Teatru Ludowego. Po raz pierwszy miałam okazję być w Teatrze Skarbkowskim, gdzie odbywała się gala. Aktorzy dali koncert gry – deklamowano wiersze Hemara i Herberta, wystawiono fragmenty *Polowania* Mrożka, *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego, *Promethidiona* Norwida i *Wesela* Wyspiańskiego, odśpiewano arię ze *Straszego Dworu* Moniuszki. Gwiazdą wieczoru był reżyser Zbigniew Chrzanowski, człowiek niezwykle utalentowany i zasłużony dla Teatru. Nie do przecenienia są zasługi scenografa Walerego Bortiakowa oraz całego zespołu aktorskiego. Wyrazem uznania były liczne przemówienia i gratulacje oficjalnych gości z RP, przedstawicieli zarządu miejskiego Lwowa, aktorów, zespołu Radia Lwów, prezesa TKPZL. Wręczono liczne odznaki „Zasłużony dla kultury polskiej” i dyplomy uznania od miejscowych władz. Pewnym zgrzytem były dla mnie słowa delegata z Przemysła, który mówił o trudnej pracy *na obczyźnie*.

Odwiedziłam dawną szkołę Notre Dame przy ul. Ochronek, w której przed wojną i w czasie okupacji sowieckiej uczyła moja matka (obecnie jest tam szkoła ukraińska) W holu na parterze wchodzących wita figura Matki Boskiej, ozdobiona kwiatami. Przed wojną stała tam figura Anioła Stróża. Szukałam szkolnej kaplicy, której wnętrze widziałam na dawnym zdjęciu. Dziś jest tam sala teatralna. Nad sceną wisi obraz Matki Boskiej. Całe wnętrze jest bardzo zniszczone i ogołocone z dawnego wystroju. Nic prawie nie zostało z dawnej świetności szkoły, prowadzonej przez siostry Notre Dame. Szkoła w 2004 roku będzie obchodzić 100-lecie swego istnienia. Jej obecna dyrekcja prosi o przekazanie informacji na temat szkoły polskiej, podanie nazwisk polskich nauczycieli, udostępnienie pamiątek i dokumentów. Myślę, że warto odpowiedzieć na ten apel i przynajmniej w ten sposób utrw-

lić historię naszej obecności na tej Ziemi. Redakcja „Cracovia–Leopolis” może tu być pośrednikiem [przypominamy, że w CL 4/01 omawialiśmy książkę pt. *Żeńskie zgromadzenia zakonne w Polsce 1039–1947*, tom XV – przyp. red.].

Lwów jest miastem wielu kościołów. Tylko dwa z nich służą dziś katolikom obrządku łacińskiego: Katedra i kościół św. Antoniego na Łyczakowie. W 1998 r. rozpoczęto budowę kościoła na Zboiskach, na północnym przedmieściu Lwowa. W 1991 r. zarejestrowano tu parafię rzymskokatolicką i udało się odzyskać drewniany kościółek w stanie grożącym zawaleniem. Nowa świątynia (budowana według projektu ukraińskiego) jest obecnie w stanie surowym. Wykończona jest tylko kaplica z małą zakrystią i salką katechetyczną. Pracuje tu dwóch księży zmarłychwstańców. Proboszcz, ks. Andrzej Jagiełka CR, z wielką energią i poświęceniem zabiega o środki na wykończenie rozpoczętego dzieła, licząc oczywiście na pomoc z RP. Ewentualne wpłaty można przesyłać na konto:

złotówkowe: Bank PEKAO SA O/Lublin
12401503-1753590-201112

dewizowe: Bank PEKAO SA O/Lublin
12401503-1753590-17872

W czasie moich wędrówek po mieście trafiłam do małej restauracji-kawiarni, pro-

wadzonej przez Ukrainkę w domu przy stromej ul. Dąbczańskiej (pytać o ul. Czajkowskiego 37), powyżej Ossolineum. Kamienica należała niegdyś do rodziny Wolskich i tu mieszkała Wanda Monné. Przed wejściem do lokalu, na tarasie, uroczą graciarnia – polskie pamiątki: tabliczki z nazwami ulic, stary żeliwny zlew, staroświecki wózek dziecienny pełen kwiatów, metalowe pudełko z czekoladek Piaseckiego. Wewnątrz, nad bufetem, stoją rzędem flaszki Baczewskiego. Na ścianach stare zdjęcia z początku XX wieku. Przy wejściu – kącik poświęcony Wandzie Monné i Grottgerowi. W sali jadalnej pięknie wyeksponowane stare sztuce, serwetki, porcelana, obrazki. Stół pięknie nakryty. Właścicielka włożyła wiele trudu i inwencji w stworzenie tych miłych wnętrz.

Smutkiem napelnia stan niektórych budynków. Na przykład sławna z czasów Obrony Lwowa w 1918 r. Szkoła im. Sienkiewicza, w której w czasach sowieckich produkowano części do telewizorów, obecnie stoi pusta i niszczeje, a Polacy lwowscy nie mogą uzyskać pomieszczeń dla swoich potrzeb. Plac Halicki jest zamknięty, buduje się tam hotel. Pozostał tylko targ kwiatowy przy ulicy. Kawiarnia „Szkocka” została całkowicie przebudowana, obecnie jest tam bank.

Jak wiele przeżyć daje taki – zaledwie tygodniowy – wyjazd do Rodzinnego Miasta!

Archiwum

CZORTKÓW I BUCZACZ PRZED 60 LATY

PKOp. w Czortkowie. Z dniem 31 sierpnia br. zakończyły swą działalność wszystkie półkolonie na terenie PKOp. [Polskiego Komitetu Opiekuńczego] w Czortkowie. Półkolonie były zorganizowane prócz Czortkowa w Kopyczyńcach, gdzie opieką i wyżywieniem objęto 136 dzieci, w Zaleszczykach – 116, wreszcie w Buczaczu – 80.

Prócz kolonii PKOp. w Czortkowie utrzymuje: 1) stały sierociniec w Zaleszczykach, który opieką wraz z mieszkaniem, odzieżą, bielizną i całodziennym pełnym utrzymaniem obejmuje 16 dzieci. 2) ochronkę dla dzieci w Tłustem, w której żywi się 36 dzieci, 3) specjalną kuchnię (punkt dożywiania) dla dzieci w Husiatynie – 45 dzieci. Poza tym PKOp. prowadzi w samym Czortkowie kuchnię ludową i kuchnię samo-

wystarczającą oraz posiada kuchnie ludowe w swych Delegaturach w Kopyczyńcach, Borszczowie, Zaleszczykach, Buczaczu i Monasterzyskach. Delegatura w Buczaczu prowadzi również kuchnię samowystarczającą.

Miasto Buczacz. Jadąc od Monasterzysk obszerną, nieskończoną – zda się – równiną, gdy w końcu tej równiny okazują się nagle lasy bukowe i grabowe. Pomału równina spuszcza się coraz niżej w jarową dolinę okoloną – zda się – górami, a w tej dolinie naraz uderza oko wędrownika miasteczko Buczacz malowniczo rozrzucone po bokach jaru. Z mnóstwa chat, chałup i dworków sterczą rozmaite wieże; ratusza z ciosowego kamienia, farnego kościoła, klasztoru bazylianów, rozwaliny starego zamku, a nad samą Strypą gruzy miejscami z ziemią zrównane.

Przepisane z „Gazety Lwowskiej” z września (?) 1943. Podziękowanie pani Annie Tumidajskiej za przekazanie odbitki tej gazety.

Z Tatianą Bojko

**prezesem Oddziału Stryjskiego
Towarzystwa Kultury Polskiej
i dyrektorem polskiego Centrum
Kulturalno-Oświatowego im. K.
Makuszyńskiego w Stryju
rozmawia Andrzej Chlipalski**



Witamy w Krakowie. Miło, że zdarzyła się dziś okazja porozmawiania z Panią o sprawach stryjskich, które nas bardzo interesują. Mamy tu przecież aktywne Koło Stryjan w naszym Towarzystwie. W „Cracovia–Leopolis” pisaliśmy wielokrotnie o Stryju i stryjanach. Przed paroma laty śp. profesor Harmata opowiadał o swoim ojcu, staroście stryjskim. Ponad rok temu przedstawiliśmy strukturę Centrum, którym Pani kieruje, a ostatnio prezentowaliśmy malarkę stryjską, panią Sadłowską, nie mówiąc o wielu jeszcze drobnych informacjach, wzmiankach i życiorysach. Mamy więc jakiś sentyment do tego miasta, z którego wszak pochodził Kornel Makuszyński, bliski również sercu lwowian, bo Lwowowi – jak i Stryjowi – poświęcił wiele wierszy i stron prozy (w naszej Biblioteczce C–L wydaliśmy w r. 1998 jego *Listy ze Lwowa*).

A propos Makuszyńskiego: przed 10 czy więcej laty znalazłem się po raz pierwszy w waszym mieście, chyba z wycieczką, i kiedy witaliśmy się z oczekującymi nas stryjskimi Polakami, zapytałem właśnie o Makuszyńskiego. Nastąpiła konsternacja – nikt z tych osób o nim nie wiedział. Dopiero jakaś stara babcia stojąca na boku, całkiem prosta osoba, wyjaśniła: A, to był taki pisarz. Chyba od tamtego czasu świadomość się rozwinęła, prawda?

Nim Panu odpowiem, to też wspomnę, że ile razy w Polsce pytam moich rozmówców, czy wiedzą skąd pochodził Makuszyński – bo ja jestem dumna, że mieszkam w mieście jego pochodzenia – nikt nie wie.

Zgadza się. Dlatego tak często w naszym kwartalniku piszemy o tej całej rzeszy wielkich Polaków o korzeniach wschodniomałopolskich.

Ta świadomość zaczęła wracać od czasu, gdy powstał u nas oddział Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, ale radykalnie zmieniło się od chwili założenia Sobotniej Szkoły Polskiego Języka i Kultury – jak się ona wtedy nazywała.

Kiedy powstała, kto ją finansował?

Ta szkoła powstała w 1998 r. z inicjatywy ks. Jana Nikła, naszego proboszcza w Stryju, ale starania o to czynił nasz oddział TKPZL. Prezesem była wtedy p. Stanisława Hałas. Ówczesny zarząd miasta wyraził zgodę na założenie takiej placówki, jednak nie samodzielnej, lecz przy ukraińskiej szkole ogólnokształcącej, w której oczywiście uczą się także nasze dzieci. Nauczyciele byli opłacani przez miejskie władze z tzw. środków dodatkowych, które mogą służyć na różne cele. Była to więc wtedy ich dobra wola. Z czasem jednak się okazało, że sprawa szkolnictwa mniejszości narodowych nie jest na Ukrainie uregulowana żadnym dokumentem. Był tylko tymczasowy regulamin z 1992 roku, z którego wynikało, że takie placówki powinny być finansowane z budżetu państwa i dodatkowo przez organizacje społeczne. Zaczęto więc domagać się, by to zainteresowani rodzice i Towarzystwo utrzymywali szkołę. Ja, już jako ówczesny prezes, nie mogłam jednak pozwolić, by działo się coś wbrew obowiązującemu prawu. Dogadaliśmy się w końcu z władzami – jesteśmy przecież obywatelami tego państwa i płacimy podatki, więc coś się nam należy – i jakoś szło po staremu. Ale w lu-

tym tego roku dostaliśmy pismo, że nasza szkoła zostaje zawieszona z braku środków finansowych w budżecie, a nauczyciele zwolnieni z pracy. Jednak nauki nam nie przerwano, a po rozmowach, które znowu podjęliśmy – rozporządzeniem z 21 maja (zapamiętałam nawet jego numer: 179 – takie to dla nas ważne!) – szkoła ma nadal działać, jak przedtem. Od 1 września otrzymała nową nazwę: Szkoła Polskiej Mniejszości Narodowej w Stryju, a od 1 stycznia będzie opłacana z budżetu miasta. Nadal pozostanie przy Szkole Ogólnokształcącej i nasi nauczyciele będą należeć do grona tamtej szkoły. Przyznano nam jeden etat, który podzieliliśmy na troje nauczycieli przedmiotów: 14 godzin języka polskiego i literatury, 3 godziny muzyki i 1 godzina innych: w tym historii i geografii. Nas to jeszcze nie satysfakcjonuje i chcemy coś ulepszyć, ale dopiero się zastanawiamy.

Stuszenie, bo chyba powinno być więcej historii i geografii, raczej kosztem muzyki, nieprawdaż? Ale mówią Pani, że tak będzie od stycznia, a co w międzyczasie?

„Wspólnota Polska” uwzględniła naszą prośbę i sfinansuje brakujące 4 miesiące tego roku.

Czy w szkole będzie nauka aż do matury?

Nie, tylko w zakresie podstawowym, przez pięć lat. Są to zajęcia poza lekcjami w ukraińskiej 11-klasowej szkole ogólnokształcącej.

A ilu macie uczniów? Czy to wszystko Polacy?

Liczba dochodzi do stu. I nie tylko Polacy, i nawet nie mieszan. Są też dzieci nie mające nic wspólnego z polskością. Jednak ich rodzice są zainteresowani językiem polskim, polską kulturą. Jesteśmy więc dla nich atrakcyjni.

No dobrze, ale gdy młody człowiek dochodzi do matury, a zechce studiować w Polsce, to będzie miał zasadnicze braki w języku polskim i wielu innych przedmiotach, więc jak?

Do tego celu mamy przy naszym Centrum Sobotnią Szkołę Młodzieżową. Przychodzą do nas uczniowie w wieku 15–17 lat – z klas IX, X, XI – i dla nich prowadzi się zajęcia na wyższym poziomie. Zresztą do nas zgłaszają się nie tylko kandydaci na studia w Polsce, także na uczelnie miejscowe, bo w przyszłości mają być stypendia polskie również dla takich. Oczywiście, aby

dostać polskie stypendium na studia, trzeba się wykazać znajomością języka polskiego, a to właśnie my dajemy pierwszą opinię na ten temat. Przychodzą ponadto tacy, którzy wcale nie pójdą na studia, ale po prostu czują potrzebę udoskonalenia swojej polszczyzny. Na nowy rok szkolny zamierzamy zaprosić do tej szkoły nauczyciela z Polski. W tym celu – między innymi – byłam teraz w Warszawie. O drugim celu opowiem później.

Ilu uczniów macie w Szkole Młodzieżowej? Ile trwa nauka?

Jest około 20 osób, nauka trwa dwa lata. W tym roku sześć osób składało papiery na studia w Polsce, z tego cztery zakwalifikowano do egzaminów wstępnych. Niestety największe braki były w zakresie znajomości polskiej literatury. Podobne zresztą problemy mamy, gdy przygotowujemy w tamtej szkole sobotniej konkursy recytatorskie. Jednym słowem: musimy to udoskonalić.

Dużo mówiliśmy o szkołach i wiemy już, że problemu z wiedzą o Makuszyńskim nie ma. Zresztą nawet w waszym kościele jest tablica pamiątkowa tego pisarza. Tak się składa, że rozmawiamy o tym w roku, gdy twórczość Makuszyńskiego i jego Koziołek Matolek przeżywają swoisty renesans.

U nas także. Postać pisarza popularyzujemy w całym Stryju. Od dwóch lat w ramach Dni Miasta Stryja urządzamy Dni Kultury Polskiej. Właśnie w tym roku było to połączone z wręczeniem Orderów Uśmiechu, przyjechali na to przedstawiciele Kapituły Orderu z Warszawy. Jeden order otrzymała za swój Teatr „Baj” pani Maria Iwanowa ze Lwowa, a drugi – poetka ukraińska ze Stryja, Teodora Łatyk-Sawczyńska, która właśnie przetłumaczyła na ukraiński przygody naszego bohatera z Pacanowa. Urządziliśmy promocję tego wydania i rozdaliśmy wszystkim dzieciom informatory o Makuszyńskim. W ogóle chcemy rozszerzyć pracę na rzecz dzieci. Na przegląd teatrzyków dziecięcych, urządzanych corocznie w ramach Dni Kultury Polskiej, przyjeżdżają zespoły z Ziemi Lwowskiej i Tarnopolskiej. Była to inicjatywa Federacji Organizacji Polskich, pani Emilii Chmielowej.

Bazą lokalową waszej całej bogatej aktywności jest dom, w którym mieści się Centrum, czy tak?



Warunkiem owocnej działalności naszych organizacji polskich, czy polonijnych, jest posiadanie takiego Domu, gdzie można się spotykać, prowadzić lekcje czy imprezy, organizować wystawy, poczytać prasę, wypożyczyć książkę. To wszystko zachęca do przychodzenia do nas. Dostaliśmy księgozbiór z Katowic, z Uniwersytetu Śląskiego – 3500 tomów. Jeszcze nie wszystko udostępniliśmy, bo nie mamy miejsca. Ten budynek zakupił Senat RP w 1999 r. i za pośrednictwem Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” przekazał dla naszego Centrum im. K. Makuszyńskiego.

Centrum jest Pani dziełem, prawda?

Ja to rozkręcałam, bo potrzebna była instytucja, która by administrowała tą nieruchomością na zasadach społecznych oraz doprowadziła – po pierwsze: do zintegrowania wszystkich polskich organizacji, po drugie: do skomasowania całego stanu posiadania, pochodzącego z Polski lub za polskie pieniądze zakupionego. Rada założycielska powołała mnie na dyrektora i ja odpowiadam za działalność merytoryczną Centrum, za stan techniczny obiektu itd.

Więc jakie zadania stoją teraz przed Panią?

Przede wszystkim remont tego budynku, bo jego stan nie jest najlepszy. Chcielibyśmy zaadaptować obszerne poddasze. Rzecz jednak w tym, że Fundacja PPnW

nie może statutowo dać na to środków, „Wspólnota Polska” nie może ingerować w obiekt Fundacji, czyli błędne koło. Więc staramy się sami o pieniądze. Po to też byłam teraz w Warszawie, a ponadto szukamy jeszcze innych źródeł. Są poza tym niemałe koszty utrzymania, bo przecież prowadzona tu działalność jest szeroka, wielostronna, i nie możemy dopuścić np. do jej sparaliżowania w warunkach zimowych. A dla nauczyciela z Polski do Szkoły Młodzieżowej, którego będzie finansować Ministerstwo Edukacji RP – my musimy stworzyć odpowiednie miejsce pracy i zakwaterowanie. Nawet mamy już kandydatkę z Polski, polonistkę.

Jedno jest pewne: takie polskie domy powinny być we wszystkich miejscowościach, więc chcemy pokazać, jak sobie dawać radę. Bez takich domów aktywność polskich wspólnot będzie bardzo utrudniona albo wręcz niemożliwa.

A jakie byłyby te inne źródła finansowania Waszych przedsięwzięć?

Całkiem inny kierunek niż te, o których mówiliśmy. Brałam udział w konferencji polonijnej w Warszawie. Zabrałam głos i powiedziałam, że reprezentuję Polaków ze Wschodu i nie przyjechałam prosić o pieniądze, ale proponować, by nas traktowano jako partnerów. Chcielibyśmy w naszym Centrum

rozkrećć działalność gospodarczą, turystyczną, informacyjną. Na poddaszu możemy stworzyć pokoje gościnne. Tu może być miejsce spotkań naszej społeczności z przyjeżdżającymi gośćmi, wycieczkami.

A ta działalność informacyjna, co by to było?

To byłby już wyższy poziom. Na wspomnianej konferencji zaproponowałam: wchodźcie na rynek wschodni, nie bójcie się. Polska wycofała się z tego rynku, a przecież wiele dziedzin czeka na wasz mały i średni biznes. My zrobimy centrum informacyjne, zorganizujemy spotkania, konferencje. Małe przedsiębiorstwa nie mają przecież pieniędzy na urządzenie pokazów, wystaw swojej produkcji. I jeszcze jedno: dlaczego tych młodych ludzi, którzy studiują w Polsce na jej koszt, nie zatrudnić w polsko-ukraińskich firmach? Możemy zorganizować informację także i w tej dziedzinie.

Pięknie, ale to, że polskie przedsiębiorstwa wycofały się, miało też swoje przyczyny. Mówią, że nie ma z kim rozmawiać.

My to chcemy wyprostować, pośredniczyć, wyszukiwać dziedziny do współpracy, wymiany.

Jakie kierunki ma Pani na myśli?

Na razie przygotowujemy bazę danych. Chcemy na początek urządzić miesięczne warsztaty hotelarskie dla naszej młodzieży, zatrudnionej w hotelach, sanatoriach. Fachowcy z Polski nauczyliby ich, zaprosiliby do siebie na praktyki. A co by z tego mieli? Albo zapłatę, albo np. wydzielenie pewnej liczby miejsc na pobyty w tutejszych zakładach.

Może byłoby pięknie, gdyby powstała firma *polonijna* z autokarami na wycieczki po Małopolsce Wschodniej, w Karpaty Wschodnie. Jeszcze inna myśl mi się nasuwa: gdyby jakaś grupa, podobnie jak we Lwowie, podjęła się opieki nad polskimi grobami na tutejszych cmentarzach – od odnalezienia poczynając – na koszt rodzin z RP lub zagranicy? Tyle jest przecież zrujnowanych mogił, grobowców. Moglibyście to organizować i przeprowadzać formalnie. Myślę, że byłoby spore zapotrzebowanie na taką usługę.

Dobry pomysł. Robili to już nasi harcerze, ale miało to inny charakter, inny cel.

Niedawno czytaliśmy w „Gazecie Lwowskiej” o wizycie w Stryju prezesa Fundacji

„Pomoc Polakom na Wschodzie” ze swoją świtą – w Stryju i w innych miejscowościach. **Odnośny ustęp tego artykułu kończy się słowami: *wyjeżdżaliśmy do Drohobycza z ciężkim sercem*. Nie bardzo zrozumieliśmy dlaczego, bo przecież nie stawiano wam żadnych zarzutów. Były tylko uwagi formalne, bo kością niezgody jest samo istnienie waszego Centrum, które jakoby przysyłania TKPZL. Ale przecież liczy się skuteczność. I w tym samym numerze GL jest relacja o marcowych wyborach w oddziale stryjskim Towarzystwa, a Pani została jednogłośnie wybrana na prezesa kolejnej kadencji. Więc jak jest – dobrze, czy źle?**

Moim zdaniem w tym całym artykule było za dużo żółci, nie tylko odnośnie do Stryja.

Zarzuty stawiano też w Drohobyczu, Samborze, Mościskach, a więc w tych najmocniejszych ośrodkach, gdzie działa samo TKPZL – i też są problemy. Zarazem stawiano pytania typu: *I gdzie tu słynny parytet między Polską a Ukrainą, dotyczący pomocy mniejszościom narodowym?* Przecież takie pytania nie odnoszą się do mniejszości polskiej, tylko do władz obu państw. Ale skończmy o tych przepychankach i powiedzmy jeszcze na koniec o czymś pozytywnym, bo przecież macie tego sporo.

No właśnie, nie mówiliśmy o Letniej Szkole Kultury Polskiej dla naszych dzieci, które w czasie wakacji się nudzą. Jest to 10-dniowy turnus. Najpierw są zajęcia tematyczne, a potem zajęcia, które mają pomóc dzieciom w nabyciu biegłości w pisaniu i w mowie. Wreszcie różne zabawy, gry, sport. Zapraszamy naszą młodzież z młodszym rodzeństwem i w ten sposób zachęcamy je do podjęcia nauki w szkole – bo nie wszyscy rodzice doceniają taką potrzebę.

A wycieczki robicie? Na przykład do niedalekiego Bubniszcza? Takie wspaniałe góry...

Niestety, brak pieniędzy na transport!

Pora kończyć. Pozostaje mi więc podziękować i życzyć Pani, oddziałowi TKPZL i waszemu Centrum realizacji wszystkich planów i sukcesów. Przy okazji wypada życzyć wszystkim środowiskom polskim podobnych Domów i podobnej działalności, także – a może szczególnie – we Lwowie. Jestem przekonany, że wasz niezwykły eksperyment powinien być obserwowany i naśladowany. Gratuluję odwagi!

Jerzy Masior

Galicja

Są tacy,
co obnoszą się z Galicją
(czego nie lubi Danka Nespiakowa).
Galicję odmieniają
w więcej niż jest przypadkach
i stopniują ponadprzymiotnikowo.
Urodzeni w Kołomyi albo w Żydaczowie,
albo w Krościenku nad Strwiążem
(co za piękna nazwa pięknej rzeki),
paradują z pawim ogonem Widnia
niczym Szwejk po Przemyślu.

.....
Mówiło się: lepiej było za cesarza,
za arcyksiążąt, za nadradców,
w „Wiedeńskiej”, w „Café Palermo”,
w burdeliku w Czortkowie.

A teraz błądzimy w labiryntach piramid,
do których wbiegamy bez przewodnika –
i gdzie ten umiar historyczny,
gdzie łyż Marii Teresy?

Galicja to przestrzeń i wiek,
a dziś tylko blichtr i cynizm,
kolor bez barwy,
rzeki w różne strony do różnych mórz,
o różnym czasie.
A przecież rok 1772,
później zbudowano Cytadelę,
później pomknęły daraby w bryzgach.

Kto tym wszystkim jeszcze nasycony,
kto nad kim się teraz znęca
w 2003 roku.

Nowy Sącz, styczeń 2003

Przysyłając nam list przed paroma miesiącami, Autor napisał: „Wydaje mi się, że ten wiersz ‘przystaje’ do CL. Jeżeli go nie weźmiesz, spróbuję go wydrukować gdzie indziej, choć powtarzam: Twoje stronice to klimat dla tego, co mi się czasem udaje napisać. Powodzenia redakcyjnego w Nowym Roku i zdrowia – Jerzy”.



Kościół farny w Chodorowie przed wojną. Widoczny dawny szczyt kościoła, nie powtórzony przy odbudowie



Tak wyglądał kościół chodorowski za czasów sowieckich, po przebudowie na salę gimnastyczną (zdjęcie z 1993 r.)



Jerzy Masior z ks. Mednisek przed odbudowanym kościołem w Chodorowie (1996)

W
I
E
R
S
Z
E

Jerzy Masior

TANCBUDA W DĘBINIE

Dziś to miejsce ma bardzo konkretną nazwę: dyskoteka. Wtedy takie słowo ani pojęcie nie było nawet w powijakach. Mnie się jednak podobne miejsce przydarzyło. Jego trągiem – rzecz można – była opuszczona gajówka w dębowym, dobrowlańskim lesie, tuż za torami, naprzeciw kolejowej rampy i przystanku dla osobowych. Dębina była na pewno wiekowa, ze świetlistymi prześwitami na wszystkie strony świata, z przypiętą w niej od lat gajówką, od dawna niezamieszkałą. Były w niej dwie izby, w tym jedna kuchenna. Nie mogę sobie przypomnieć dlaczego właśnie ową kuchnię upatrzyliśmy sobie na miejsce naszych potańcówek. Może z powodu jej obszerności, a więc możliwości rozpędzenia się w tańcu, w magicznej, wieczornej zabawie? To, cośmy w tej izbie ze Zbyszkciem wyczyniali, działało się zawsze wieczorami. Nawet latem bywał w gajówce zielony zmrok nieco późniejszą popołudniową porą, gdy potrzeba rytmu i melodii poczyniała pulsować w żyłach wiejskiej młodzieży Dobrowlan. Potrzeba zabawy i tańca jest wśród młodych odwieczna i to nic, że ci młodzieńcy i dziewczyny dopiero co powrócili z pola nie były jak utrudzeni. Wystarczała pośpieszna kąpiel w nagrzanym za dnia Ługu i już groblą zmierzały ku dębinię pary i gromadki nieco odświeżonej przyodziane, tak, jak wypadają pokazać się na tańcach. W utrudzonej rolniczym znojem wsi wieczorne tańce były nie tylko rozrywką, ale czasem odświeżającym zapamiętaniem się do ostatniego tchu, do upadłego. Zapewniam – nikt nie wypijał ani narastka alkoholu.

Tańce w dębinię dla młodych dobrowlańskich parobczaków i czarnobrewych dziewczuch – ich towarzyszek, urządzaliśmy w ga-

jówce za wiedzą i przyzwoleniem pana Sadowskiego – gospodarza dworu, w którym spędzałem wakacje – nadzorującego księżę lasy, a więc mającego we władaniu także i ową opuszczoną gajówkę. Dlaczego tyle zapalał wkładaliśmy w przygrywanie do tańca tej młodzieży wioskowej? Dlaczego wprost wyżywałem się wypełniając noce w dębinię – poprzez otwarte okna izby – tanecznymi rytмами, które wcześniej ćwiczyliśmy w salonie dworu: Zbyszek na fortepianie, a ja na skrzypcach, albo on na skrzypcach, a ja łukając niemilosiernie w baniak błaszany do gotowania prania, co odbywało się już raczej w miejscach bardziej wyciszonych, na przykład w piwnicy. Oczywiście łatwo się domyślić, że ów baniak był namiastką perkusji, a że bardziej prymitywną, nikomu to nie przeszkadzało, ani nam muzykującym, ani roztańczonemu czeredzie. Tany z miejsca ruszały ochoczo, bez krygowania się i wstępnej puszenia dziewcząt. Było wiadome, że muzykanci, jako młodzieńcy nie nazbyt dorośli, musieli o określonej porze być w swojej sypialni. Taki reżim obowiązywał u państwa Sadowskich. A więc nieodwołalnie o dziesiątej pakowaliśmy nasze instrumenty i nie pomagały żadne błagania, żeby jeszcze... Bal w dębinię rozpoczynaliśmy niezmiennie walcem „Fale Dunaju”, a później *leciały* wszystkie najmłodniejsze *kawałki*: „Wieczorny dzwon”, „Pamiętasz Capri”, „Umówiłem się z nią na dziewiątą”, „Panna Agnieszka”, no i oczywiście niezmiennie „Ostatnia niedziela”. Ta „Niedziela” wruszała nawet orkiestrantów. Przeżył takich jak w utworze jeszcze nie doświadczyliśmy, ale obaj byliśmy niewątpliwie wystarczająco sentymentalni. aby wruszać się



słowa i melodią. O jej muzycznej sile świadczy to, że i na początku XXI wieku tu i tam się ją wykonuje. Oczywiście grywalismy także ulubione i modne wówczas melodie ludowe: kujawiaczki, oberki, polki, lwowskie sztajerki. Zawsze musiało być „Na kapuście drobne liście, nie daj gęby organicie...”, no i „Gęsi za wodą”. Mój blaszany baniak był niezastąpionym instrumentem perkusyjnym. Jego grzmoty podniecały i pobudzały taneczników do nieomal tanecznego rozpasania, a pierwsze skrzypce w naszej dwuosobowej orkiestrze to grałem ja na baniaku, a nie Zbyszek na skrzypcach, na których zresztą grał poprawnie, zwłaszcza w poleczkach *od ucha*. Oprócz baniaka wspomagałem swoje granie pokrywką od niego i pustymi butelkami. Brzmienie więc mojej *perkusji* było urozmaicone.

W świetle naftowej lampy, zawieszanej na ścianie, kilkanaście par falowało, kręciło się i podrygiwało, posłuszne naszym rytmom i wywołanemu melodią nastrojowi. To wieczorne muzykowanie w gajówce, w pochłaniającej dźwięki pobliskiej dębinię rzucało na tańczących czar, który odbierał im mowę. Dlatego zdarzało się, że przez długie chwile tańczyli w ciszy, jakby nie chcieli płoszyć milczenia leśnej otuliny domostwa. A może nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, może nie potrafili wystawić uczuć, gdy byli w pobliżu... Cienie taneczników pełzały po ścianach izby, a wypuszczane przez otwarte okna rysowały się miękkimi konturami na zaokiennej murawie. Zdarzało się, że sylwetki tańczących, a zwłaszcza ich głowy, nader się do siebie zbliżały – stapały się w jedność. Widać, jakieś rzewne tango ujawniało swą sprawczą moc.

Może właśnie dla niej muzykowaliśmy w letnie, dobrowlańskie noce. Byliśmy wypełnieni chęcią życia, a więc jakiegokolwiek działania. Nie wystarczyły nam sad, konie, rzeka. Nocne muzykowanie było jakby inną przestrzenią budzących się potrzeb ducha, nurkowaniem w czas przydarzony, w nocny las. Na różne sposoby można rozpocząć młodzieńczą przygodę z muzyką. Myśmy ją zaczynali właśnie tak. Z daleka od niemi-

łosiernie nudnych lekcji gry na skrzypcach we Lwowie.

Gdy milkło nasze granie i taneczne zawirowania, pod koniec zabawy intensywniejsze, nieomal do utraty tchu – nagle w dąbrowie stawała się cisza spowita w noc, wibrująca milczeniem i ciemnością. W niej znikali tanecznicy. Na nieoświetlonej konarami drzew grobli wypełzał ku nim od wsi rąbek księżycy, nie większy niż paznokieć zza opuszki palca i już-już odważał się rozpraszać srebrzysty blask po przesmaganych nocnym wiatrem stawach. Powracający tanecznicy maszerując przez groblę jeszcze niewystygli, jeszcze rozgrzani rytmami, usiłowali podśpiewywać. Jednak dostojęstwo ciszy dławilo im gardła – woleli przepadać w nocy w milczeniu; nawet ruskie rzewne melodie były tą porą jakby nie na miejscu. Tylko wiejskie kundle nijak nie pozwalały na przetrwanie ciszy do świtu. Przy naszym zbliżaniu się do wsi podnosiły jazgot, jak nocny niespodziewany grzmot. Bywały takie na Podolu, zazwyczaj na pogodę.

Wędrowaliśmy ze Zbyszkiem na końcu tego nocnego korowodu, zawsze wypełnieni muzyką i żalem, że to się już musiało skończyć. Dla nas dopiero co grane melodie jeszcze kołatały pod sklepieniem dębiny, przepadały w toni stawów i drżały w wysrebrzonych łuskach między oczeretami. Było to niemożliwe, ale zawsze paliła nas chęć wypłynięcia na taki drżący księżycową poświatą muzyczny staw. Z takim przewidywaniem zapadaliśmy w sen pełen muzyki. Dobry wakacyjny sen nad Ługiem.

Powyższy tekst jest fragmentem książki, którą Autor przygotowywał pt. „Opowieści z nad Pełtwi i Ługu” (2002).



Minęło pięć lat od śmierci Zbigniewa Herberta (28 lipca 1998). Już drugi rok jest w obiegu czytelnicznym głośna książka o nim autorstwa **Joanny Siedleckiej: Pan od poezji**. Książka niezwykła, złożona ze wspomnień o Poecie jego przyjaciół, bliskich znajomych, kolegów po piórze – pisarzy, publicystów, krytyków. Książka, która zawiera także fragmenty listów Herberta, dokumenty związane z jego osobą, unikatowe fotografie. Niezwykła przez to, że przynosi różnorodne opinie o życiu i twórczości poety, a w równej mierze – bogatą wiedzę o okresach i miejscach, w których żył i pracował, o środowiskach, w jakich się obracał. Od dzieciństwa i wczesnej młodości we Lwowie, poprzez Kraków ostatniego roku wojny i czasu niedługo po jej zakończeniu, Gdańsk i Sopot, dokąd wyjechał z Krakowa, Toruń, gdzie kontynuował studia, Warszawę, w której w końcu osiadł. A także Paryż i Berlin Zachodni, gdzie przemieszkował i skąd wyruszał w podróże po Europie (m.in. Włochy, Grecja, Anglia, Szwajcaria) i do Stanów Zjednoczonych.

Ta wiedza o całych okresach historycznych w Polsce, można powiedzieć epokach – od przedwojennego i wojennego Lwowa po III Rzeczpospolitą (po 1989 r.) – stanowi ogromną wartość edukacyjną książki, bardzo przydatną, jak sądzę, nie tylko dla czytelników poezji i prozy Herberta, lecz dla wszystkich (a zwłaszcza młodych), których interesują dzieje twórczości literackiej w Polsce, klimaty polityczne i społeczne, w jakich ona przebiegała, postawy i poglądy pisarzy, poetów, krytyków, publicystów różnej proweniencji. A już dla ludzi zajmujących się w sposób profesjonalny twórczością Herberta książka Joanny Siedleckiej powinna stać się podstawową pozycją bibliograficzną.

Z kart tej szczególnej pracy literacko-reporterskiej wylania się niezwykle bogaty, barwny wizerunek Poety, portret bynajmniej

Ireneusz Kasprzysiak

CAŁE ŻYCIE POD PRĄD



nie heroiczny, na szczęście niezmitologizowany. Człowieka, ze wszystkimi ludzkimi wadami i ułomnościami. Niełatwego w kontaktach, pełnego kompleksów, nawet fobii, rozdartego wewnątrz, trudnego dla otoczenia, nawet dla najbliższych, ale przede wszystkim dla samego siebie. Jednocześnie niepokornego, konsekwentnego w swoich przekonaniach politycznych, nieprzejednanego wroga komunizmu i wszelkich jego konsekwencji, także relatywizmu moralnego, człowieka niezłomnego w postanowieniach i w realizowaniu własnego dekalogu etycznego. Niezbrukanego w swojej twórczości i swoim postępowaniu.

Ilu takich było wśród polskich twórców i intelektualistów ostatniej doby? Z niezujących – Paweł Jasienica, pisarz historyczny i publicysta, zaszczyty przez władze komunistyczne lat sześćdziesią-

tych (zmarły w sierpniu 1970), Gustaw Herling-Grudziński, wybitny pisarz, mieszkający we Włoszech (zmarły w lipcu 2000). Z żyjących – Jerzy Narbutt, wilnianin, żołnierz AK, poeta i publicysta, Krzysztof Kąkolowski, dziennikarz, publicysta, pisarz... Kto jeszcze?

Życie Zbigniewa Herberta, niezwykle, lecz bardzo trudne, w ostatnich latach wręcz tragiczne, pełne było dramatycznych zdarzeń i konfliktów. Niezwiązany nigdy z żadnym ugrupowaniem politycznym, nawet z układem towarzyskim, płynący samotnie pod prąd, bywał często, zwłaszcza pod koniec życia, bardzo mocno atakowany. Mówi o tym jego bliski i stary – od samego początku lat pięćdziesiątych – znajomy, Andrzej Biernacki, krytyk i historyk literatury: – *Był (...) bardzo atakowany. I dawał powody. Bo rzeczywiście był nieprzejednany. Bo wiedział i pamiętał. Ale jak ktoś jest ze Lwowa, powinien pamiętać. Angażował się w sprawy polityczne, zabierał głos, organizował akcje, choćby w sprawie Kuklińskiego, Duda-*

jewa; napisał kilka politycznych wierszy, które bardzo miano mu za złe.

Różne miernoty dziennikarskie i literackie atakowały go wściekle w latach '94–96 na łamach niektórych gazet. Właśnie: gazet o określonym profilu i rodowodzie politycznym – „Gazeta Wyborcza”, „Wiadomości Kulturalne”, „Dziś” Mieczysława Rakowskiego, „Polityka”, ówczesna „Rzeczpospolita”. Przypisywano mu nawet, także zaraz po śmierci, ciężką chorobę psychiczną. Wariat, oczywiście, wziął się przecież nie za swoje, w dodatku nie wchodzi w żadne układy, nie trzyma z nami, nie korzysta z dóbr, jakie przyniosła wywalczona przez nas niepodległość. Taki znakomity, a nie nasz. Wariat!

Czy bardzo się tym przejmował? Nie sądzę. Podobnie jak, wbrew przeróżnym opiniom, nie zdruzgotała go psychicznie sprawa Nagrody Nobla, najpierw dla Miłosza, później dla Szymborskiej. Mogło go tylko zdziwić, nawet rozśmieszyć, że Miłosz otrzymał Nobla, a przecież stał się znany, zwłaszcza w Ameryce, dopiero... jako tłumacz na język angielski wierszy Herberta! Szymborską, podobnie jak Miłosza, dobrze znał, cenił jako poetkę, lubił, chociaż – jak wspomina Krzysztof Dybciak, krytyk, eseista i historyk literatury – *Nobel dla Szymborskiej musiał go trafić (...) bagatelizował*

go i minimalizował, obracał w żart; jest przecież, mówił, niezłą poetką, a co więcej, obdarzoną oryginalnym wyglądem – „taka żyrafa”, nawet mu się podoba.

Jak idzie o własny, lwowski rodowód, to nigdy się nim publicznie nie chełpił. Nie dlatego, by się bał czy nie doceniał. Uważał, myślę, że o wartości człowieka świadczy jego postawa, postępowanie, a nie to, gdzie się urodził, na co przecież nie miał żadnego wpływu. Nigdy oczywiście nie ukrywał swojego lwowskiego pochodzenia. Życiem całym zaświerał, że ma silny charakter, wywodzący się właśnie ze Lwowa. Sentyment odezwał się dopiero pod sam koniec. Mówi siostra Poety, Halina Herbert-Żebrowska: – *Gdzieś tak na dwa tygodnie przed śmiercią wspominał mi, że chciałby spocząć we Lwowie, na Łyczakowie. Pomysł literacki, ale nierealny, grób zagrożony, daleki, skończyło się więc na sprowadzeniu ziemi stamtąd. Został pochowany w Warszawie, na Starych Powązkach – w przeddzień obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego, 31 lipca 1998 roku.*

Ale rodowici lwowiaczy, ludzie związani ze Lwowem miłością do tego Miasta, a także serdeczną pamięcią, mogą być dumni ze swego krajana. Nigdy nie zawiódł, nigdy nie zdradził najświętszych ideałów. Herbert s e m p e r f i d e l i s .

Pan Adam Trojanowski, nasz wielokrotny Autor (także w tym numerze) – doceniając *trud autorski pani J. Siedleckiej, uwieczniony dziełem jej sercu niewątpliwie bliskim* – nadesłał zauważone przez siebie w książce błędy. Ponieważ błędy te dotyczą w jakimś stopniu historii Lwowa, jego stanu i jego mieszkańców pierwszej połowy XX wieku, uważamy za słuszne, by sprostowania p. Adama (nie wszystkie, ale ważniejsze) w naszym kwartalniku utrwalić.

s. 19: Ulica Tarnowskiego nie znajdowała się koło Parku Stryjskiego

s. 40: Ulica Dwernickiego nie znajdowała się przy rogu ul. Łyczakowskiej i Czarnieckiego, a także nie obok Ossolineum. Dzielnica *Halickie* nie była uważana za dzielnicę uniwersytecką, aczkolwiek przy ul. św. Mikołaja znajdował się tzw. stary gmach Uniwersytetu. Tylko W. Szolginia marzył o *Quartier Universitaire Saint Nicolas* – ale z przymrużeniem oka.

s. 40: Żelazna Woda nie posiadała w lwowskiej mowie obiegowej nazwy *Żelazko!* Możliwe, że takiej nazwy używano w domowym żargonie któregoś z informatorów autorów.

s. 41: Postać króla Kazimierza znajdowała się wysoko, na cokole i nie było możliwe kopanie jego buta. But

był g ł a s k a n y rękoma „na szczęście”, a nie profanowany kopaniem.

s. 41: Legendarny łaźniebn Żelaznej Wody nazywał się Seniuta, a nie Seminta.

s. 48. Do absolwentów VIII Gimnazjum nie należał Tomek Gluziński, mój koleżka z ul. Snopkowskiej.

s. 49. Późniejszy lekarz medycyny, Lucek Olech – jego ojciec miał piękny sklep naprzeciw kościoła św. Mikołaja, ale nie był to sklep garmazeryjny, lecz z towarami spożywczymi i kolonialnymi.

s. 49. Nazwisko Hajes nie istniało – posiadało pisownię C h a j e s . On to właśnie gwizdał artystycznie tango *Jalousie*, był jednak w klasie o rok wyższej od klasy Herberta, i to w oddziale francuskim.

s. 50. Czubaryki wkroczyli do Lwowa 2 2 w r z e ś n i a ok. godz. 14, a nie 21 września.

s. 52. Mundurki gimnazjalne miały lampasy i wypustki niebieskie, a licealne – malinowe. Nie było białych.

s. 53. Henryk Balk nie był bieżernicem i w roku 1936 mieszkał we Lwowie przy ul. J. Hermana 6. Już wtedy był profesorem gimnazjalnym.

s. 56. Tadzik Link-Lenczowski nie zginał, był faktycznie aresztowany przez NKWD, skazany i zesłany, jednak szczęśliwie powrócił do kraju.

s. 72. Pasaż M i k o l a s c h a , a nie Micholasa!

Naszym zdaniem

PROSIMY NIE PRZESADZAĆ

Za obecną wschodnią granicą czynione są wysiłki, by rozbić i złamać, a w końcu wynarodowić polską mniejszość narodową. Naciski są różnego typu: administracyjne (*exemplum*: obrzeża Wilna), ekonomiczne (utrudniony dostęp do pracy), a przede wszystkim psychologiczne: wmawianie, że są spolonizowanymi Ukraińcami, Białorusinami czy Litwinami*. Dzieje się to nierzadko, co gorsza, przy pomocy Polaków z III RP, którzy nadgorliwie rozumieją swoje postępowanie.

A w Polsce? Oto w „Gazecie Wyborczej” 57/02 zamieszczono rozmowę z ministrem spraw wewnętrznych Krzysztofem Janikiem pt. *Mniejszości się nas boją* (!).

Red. Elżbieta Cichocka: *W ubiegłym tygodniu spotkał się Pan z przedstawicielami mniejszości narodowych, by namawiać ich do przyznawania się do swojej przynależności etnicznej w czasie spisu powszechnego. [...]*

Min. Janik: *[...] namawiałem, by otwarcie mówili o swojej przynależności narodowej, o języku, jakiego używają w domu. Nie po to, by obmyślać strategię akcji polonizacyjnej, jak to bywało w czasach PRL, tylko – przeciwnie – po to, byśmy mogli zorientować się w skali problemu: ilu będzie potrzeba nauczycieli języka rodzinnego i podręczników, jaki czas antenowy jest potrzebny np. w radiu, by mogli czuć się jak u siebie w domu, czuć się w pełni obywatelami*

Rzeczypospolitej, ale zarazem by mogli pielęgnować swoją odrębność narodową, etniczną, kulturową. Mniejszości narodowe ubarwiają nasze społeczeństwo. [...]

Nie ma kraju w Europie, który nie miałby swoich mniejszości. Stosunek do tych mniejszości jest miarą wielkości narodu.

Redaktoraka zapytuje: *Ale czy musimy koniecznie być więksi od Niemców, Słowaków, Litwinów? To też sprawa pieniędzy, których brakuje na różne cele dla wszystkich obywateli. Jeśli władze państwowe będą preferencyjnie traktować potrzeby mniejszości etnicznych, to choćby konkurencja o pieniądze przyczyni się do pogorszenia klimatu współżycia społecznego.*

Nic dodać, nic ująć. A co do bania się, to chyba panu ministrowi coś się przestawiło.

Maria Godlovsky

* Rzeczywistość dowodzi czegoś wręcz przeciwnego: ogromna część nazwisk dzisiejszych Litwinów to zlituanizowane nazwiska przede wszystkim polskie, a także rosyjskie, białoruskie czy niemieckie: Brazauskas (Brzozowski), Śladkiewiczzius (Ślodkiewicz), Landsbergis (Landsberg)... Również na Ukrainie i Białorusi duży procent nazwisk ma brzmienie polskie, jednak tam na szczęście nie wymusza się ich deformowania, a pewna zmiana brzmienia wynika jedynie ze sposobu wymawiania w tych językach oraz pisowni (np. zmiana *g* na *h*). Podobnie zresztą jest w Polsce, przy czym nikt nikomu nie przypomina, że jest np. spolonizowanym od wielu pokoleń Niemcem czy Rusinem. Po prostu: albo się czuje Polakiem, albo nie; to jego sprawa.

DWA MIASTA – DWA RATUSZE (dokończenie ze s. 3)

a łącznik pomiędzy nimi stanowić miała loggia z zewnątrznie usytuowanymi schodami. Z kolei do istniejącej wieży ratuszowej nawiązał w swym projekcie Wincenty Dylewski, reszcie gmachu nadając zdecydowanie neorenesansowe zabarwienie. Wystrój fasady uzupełniać miały ustawione nad głównym wejściem figury czterech monarchów: Kazimierza Wielkiego, Jadwigi, Władysława Jagiełły i Zygmunta Starego, a także herb Krakowa, umieszczony pośrodku frontowego szczytu.

O ile krakowski konkurs pozostał właściwie nierozstrzygnięty i ostatecznie zdecydowano się pozostawić władze municypalne

w ich dotychczasowej siedzibie, a więc w Pałacu Wielopolskich, to na przeszkodzie realizacji wyników lwowskiego stanęła I wojna światowa. Wskutek tego tamtejszy ratusz pozostał w prawie niezmienionym kształcie, na placu, gdzie stanąć miał krakowski, urządzono zaś naprzód dworzec autobusowy, a następnie parking, i stan ten utrzymuje się do chwili bieżącej.

PIOTR MAREK STAŃSKI, ur. 1956 w Krakowie. Absolwent UJ, historyk literatury, krytyk i tłumacz. Publikuje w czasopismach kult.-społ.: „Opcje”, „Akant”, „Arkusz”, „Metafora”. Badacz dziejów Lwowa, jego architektury i życia kulturalno-artystycznego. Szkice biograficzne poświęcone postaciom z historii Lwowa i Małopolski Wschodniej zamieszcza w „Semper Fidelis” i „Gazecie Wyborczej”.

ŚWIĘTY ZIEMI PRZEMYSKIEJ

W dniu swoich 83. urodzin, 18 maja, Ojciec Święty Jan Paweł II kanonizował na placu św. Piotra w Rzymie biskupa **Józefa Sebastiana Pelczara**, ordynariusza przemyskiego w latach 1900–24.

Nowy Święty urodził się w 1842 r. w Korczynie k. Krosna, w historycznej Ziemi Sannockiej, która wraz z Ziemią Przemyską, Lwowską, Halicką i Chełmską przez kilka wieków tworzyła województwo ze stolicą we Lwowie (pisaliśmy o tym w numerze CL 1/03, poświęconym Ziemi Przemyskiej; w latach międzywojennych było to także województwo lwowskie). Ukończył gimnazjum w Rzeszowie, seminarium duchowne w Przemyślu, a studia teologiczne w Rzymie. Jego pierwszą placówką duszpasterską była parafia w Samborze, później w Wojutykach k. Sambora i znów w Samborze. Po kolejnych kilku latach spędzonych w Przemyślu, jako prefekt i wykładowca seminarium duchownego, został powołany na profesora Uniwersytetu Krakowskiego. Był tam dziekanem, prorektorem i rektorem i to On wszczął budowę Collegium Novum przy Plantach oraz Collegium Medicum przy ul. Grzegórzeckiej.

Na lata krakowskie Józefa S. Pelczara przypadło też założenie przezeń Zgroma-



dzenia Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego – sióstr Sercanek.

W 1899 r. został biskupem pomocniczym w Przemyślu, a w rok później ordynariuszem. Po ćwierćwieczu działalności na ziemiach od Rzeszowa po Stryj zmarł w opinii świętości. W 1991 r. został przez Jana Pawła II beatyfikowany. Szczątki nowego Świętego spoczywają w katedrze przemyskiej.

KUSTOSZ ORMIAŃSKIEJ RELIKWII

W październiku ub. roku minęła 10. rocznica śmierci ks. prałata Kazimierza Filipiaka, duszpasterza polskich Ormian, którego główną i historyczną zasługą było uratowanie przed zaginięciem obrządku ormiańskokatolickiego w Polsce powojennej. W Krakowie mszę św. w intencji ks. Prałata odprawił ks. kanonik Tadeusz Zaleski-Isakowicz, obecny duszpasterz wiernych tego obrządku w archidiecezji krakowskiej, który postać ks. Filipiaka przybliżył w okazjonalnej homilii.

Ks. Kazimierz Filipiak nie był Ormianinem, ani nawet nie urodził się w stronach, gdzie polscy Ormianie od wieków żyli. Przyszedł na świat w 1910 r. w Tymbarku, w rodzinie góralskiej, ale Opatrzność związała go ze Lwowem. Tam ukończył szkołę



średnią i podjął studia filologiczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Na msze św. uczęszczał do Katedry Ormiańskiej i słuchał kazań arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Pod ich wpływem odnalazł swoje kapłańskie powołanie, przechodząc na obrządek ormiański. Wstąpił do seminarium duchownego w Przemyślu, a studia teologiczne odbył na Uniwersytecie we Lwowie. Po ich ukończeniu w 1938 r. został wikarym przy katedrze ormiańskiej, potem skierowano go do Stanisławowa. Tam, po śmierci ks. Isakowicza, w maju 1944 r. przyszło mu zostać ostatnim proboszczem parafii ormiańskiej.

W Stanisławowie narodziło się szczególne nabożeństwo Księdza Kazimierza do cudami słynącego wizerunku Matki Bożej Łaskawej z ormiańskiego kościoła. Z obrazem tym związało się jego całe dalsze życie. W maju 1946 r. udało mu się przy pomocy parafian wywieźć ze Stanisławowa tę relikwię wraz z częścią wyposażenia świątyni – zrazu do Opola. Wraz z obrazem przemieszczał się ks. Filipiak z miejsc na miejsce: do rodzinnego Tymbarku, potem do Pawłowa w diecezji gnieźnieńskiej, i znowu do Tymbarku. Wreszcie w 1958 r. osiadł na stałe w Gdańsku, przy kościele św. św. Apostołów Piotra i Pawła jako jego rektor, póź-

niej, od 1976 jako rezydent. Kościół ten częściowo odbudował z wojennych zniszczeń, a w dawnej zakrystii urządził sanktuarium Matki Bożej Łaskawej ze Stanisławowa.

Równolegle, od 1970 r. pełnił ks. Filipiak funkcję proboszcza parafii ormiańskiej, obejmującej ca ły k r a j. Odbywał liczne podróże, założył i prowadził kartotekę osób pochodzenia ormiańskiego. Dzięki tej niezwykłej gorliwości obrządek ormiański nie zaginął w Polsce i po latach mogło nastąpić jego powolne odradzanie się. W 1985 r. otrzymał godność prałata.

Ksiądz Kazimierz Filipiak – przez lata jedyny kapłan obrządku ormiańskokatolickiego w kraju, cieszył się wielkim szacunkiem środowiska ormiańskiego w Polsce. Zmarł w listopadzie 1992 r., spoczął na gdańskim cmentarzu. W jego kościele wmurowano tablicę pamiątkową ku jego czci.

Dzieło ks. Prałata kontynuuje w Gdańsku ks. kanonik Cezary Annusewicz. Duszpasterstwa obrządku ormiańskiego działają również w Krakowie i Gliwicach.

W przygotowaniu powyższego omówienia posłużyliśmy się *Słownikiem biograficznym duchownych ormiańskich w Polsce*, opracowanym przez ks. T. Zaleskiego-Isakowicza (patrz CL 3/02).

SYLWETKI

Tarnopolanie

WAĆLAW OBUCHOWICZ (1920–1998)



W marcu tego roku minęło pięćdziesiąt lat od niespodziewanej śmierci Pana Waćława, gorącego tarnopolanina, który w latach powojennych mocno zaznaczył swoją obecność w życiu sportowym Krakowa, szczególnie w „Sokole”, w AZS i na krakowskich uczelniach – Uniwersytecie Jagiellońskim, Akademii Ekonomicznej i Akademii Wychowania Fizycznego. Był niezwy-

kle oddanym wychowawcą i przyjacielem wielu pokoleń młodzieży, organizatorem życia sportowego. Jego równoległą pasją była pamięć o Ziemi Ojców – mówił o tym w czasie uroczystości pogrzebowej na krakowskim Salwatorze Jego następcą, też już nieżyjący prezes Koła Tarnopolan, Michał Lasocki. Oto słowa Pana Michała:

Drogi nam Wacku! Podolaninie z naszego rodzinnego Tarnopola – dziś przyszło nam Ciebie pożegnać. Całą młodość, najpiękniejsze lata życia spędziłeś w Tarnopolu, a każdy tarnopolanin pamięta Ciebie jako dobrego, uczynnego i zamiłowanego w sporcie kolegę. Podczas okupacji sowieckich i niemieckiej udzielałeś wraz z całą swoją rodzinną pomocą tym, którzy jej potrzebowali – często z narażeniem własnego życia.

W naszej pamięci zawsze pozostaniesz jako ten, który przypominał nam o obowiązku pamiętania, dokumentowania i przeka-

zywania następnym pokoleniom historii polskiego Podola i jego stolicy – Tarnopola, jego kultury, wybitnych ludzi, pejzażu i tego wszystkiego, co składało się na nasze tam od pokoleń bytowanie. Zawsze dążyłeś do tego, by nie zostały zapomniane losy ludzi z Ziemi Południowo-Wschodnich, którzy w sposób szczególnie zostali doświadczeni, których zmuszono do opuszczenia swoich domów i dobytku i rozproszono po całej Polsce, a nawet całym świecie. Aby nie zostały zapomniane nasze cierpienia i uporczywania. Dziękujemy Ci za to!

Tobie zawdzięczamy powołanie do życia przy krakowskim oddziale Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Koła Tarnopola, którego byłeś długoletnim prezesem. Tobie też zawdzięczamy inicjatywę zorganizowania pierwszego, a w ubiegłym roku już dziesiątego, jubileuszowego Zjazdu Tarnopola. Zawsze panowała tam atmosfera wielkiej rodziny tarnopolskiej.

Dziękujemy Ci za to, że zainicjowałeś i niestrudzenie zabiegałeś o niesienie pomocy materialnej dla tych, którzy w Tarnopolu zostali. Szczególną opieką otoczyłeś powstający z kaplicy cmentarnej pierwszy po wojnie kościół rzymskokatolicki w Tarnopolu.

Dlatego, drogi nam wszystkim Wacku, na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci jako uczynny kolega, wspaniały organizator, miłośnik Tarnopola, całym sercem oddany naszemu polskiemu sprawom. Cześć Twojej pamięci!

MICHAŁ LASOCKI 1926–2002



... a w czerwcu br. minęła pierwsza rocznica śmierci Pana Michała.

Urodził się w Tarnopolu. Rodzice zapewнили mu i jego rodzeństwu – bratu i dwóm siostrą – dobre wychowanie i wpoiili wzniosłe ideały patriotyczne, które szczególnie uwidoczniły się w czasie II wojny światowej oraz były inicjatywą konspiracyjnej działalności. Michał Lasocki ukończył szkołę powszechną w 1939 r., a po wybuchu wojny i wkroczeniu armii sowieckiej kontynuował naukę w 10-letniej szkole średniej. Okupacja niemiecka uniemożliwiła dalszą naukę, a ciężka sytuacja rodzinna i możliwość uniknięcia wywo-

zu na roboty do Rzeszy, spowodowały, iż wraz z siostrą Krystyną podjął pracę w państwowych warsztatach samochodowych w Tarnopolu. Praca ta umożliwiła mu prowadzenie działalności konspiracyjnej w Kedywie Armii Krajowej. Polegała ona przede wszystkim na zdobywaniu informacji dotyczących transportów, przemieszczeń wojsk niemieckich, a także o zamierzeniach i planowanych akcjach okupanta. Miejschem konspiracyjnych spotkań i przekazywania informacji był dom Michała na Zarudziu w Tarnopolu, toteż w 1944 r., po przeprowadzonej przez gestapo dużej akcji aresztowań, w obawie przed spodziewaną dekonspiracją, zmuszony był wraz z siostrą do uciezki. Wówczas w wielkiej tajemnicy udało mu się wyjechać do Dąbrowy Górniczej, gdzie mieszkała druga siostra, Maryla.

Po wojnie, w 1945 r. podjął studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, kończąc ją dyplomem inżyniera technologii budowy maszyn górniczych. Pracę zawodową rozpoczął i kontynuował aż do przejścia na emeryturę w 1997 r. w Fabryce Maszyn i Urządzeń Górniczych w Krakowie. W pracy zawodowej na stanowisku głównego technologa wykazał się doskonałą znajomością przedmiotu i zakresu wykonywanej produkcji. Wielokrotnie reprezentował Fabrykę za granicą, u kontrahentów w państwach Europy i Azji. W uznaniu zasług został odznaczony wieloma orderami i odznaczeniami.

Michał dał się poznać jako wielkiej klasy społecznik. Był współzałożycielem i przez kilka lat prezesem Koła Tarnopola przy TMLiKPW w Krakowie. Wielokrotnie przewodniczył komitetowi organizacyjnemu Koleżeńskich Zjazdów Tarnopola, zamieszkałych dziś na terenie całej RP. W latach 1990–2001 organizował zbiórki pieniędzy oraz żywności, odzieży i pomocy szkolnych, które wysyłano do Tarnopola i sąsiadujących miejscowości na Podolu. Należał ponadto do PTG „Sokół-Macierz Lwów” z siedzibą w Krakowie, był jego współzałożycielem i członkiem zarządu.

Pamięć o Michale Lasockim, o jego osobowości i charakterze, o pracy i wysiłkach, nie może zaniknąć. Niech tych parę słów o nieodżałowanym Człowieku i Działaczu, prawym, życzliwym, bezkonfliktowym i wielkim patriocie, będzie przyczynkiem do utrwalenia Jego pamięci.

WSPOMNIENIE O STANISŁAWIE AUGUŚCIKU

Mija 10 lat od śmierci red. Stanisław Auguścika, twórcy niezapomnianych filmów dokumentalnych „Podróże na Kresy”.

[...] Był Stanisław Auguścik instytucją. W swym cyklu *Podróże na Kresy* ukazywał nie tylko nostalgiczne pejzaże Polesia, Wołyń czy piękne krajobrazy Podola – lecz w każdym niemalże filmie, a było ich kilkadziesiąt – przedstawiał losy konkretnych ludzi, nieraz okrutnie skrzywdzonych przez los...

W Jego filmach widzieliśmy spłot losów żywych i umarłych. Widzieliśmy ludzi na cmentarzach, a właściwie na tym, co z tych kresowych cmentarzy pozostało. Oglądaliśmy straszliwe barbarzyństwo niszczenia pomników kultury i wysiłek, aby te resztki od zniszczenia uratować...

Cmentarz Łyczakowski, Cmentarz Orląt, Jazłowiec, Buczacz, Zbaraż, Kołomyja, Drohobycz, Ostróg, Bar... i wiele, wiele innych miejsc o nazwach, które najmłodsze pokolenie zna jedynie z Trylogii, nazwach wręcz egzotycznych i niezbyt realnych – spłotło się w filmach Auguścika w jedną spójną całość i stanowi nieocenioną wartość edukacyjną – dla tegoż pokolenia właśnie. [...]

Znałem Go przeszło 30 lat, jeszcze w czasach studenckich. Razem kończyliśmy Studium Dziennikarskie i jednego dnia, 24 lata temu [pisane w r. 1993 – przyp. red.] rozpoczęliśmy pracę w Telewizji. Pracował Staszek kolejno w redakcjach: młodzieżowej, motoryzacyjnej i międzynarodowej. Do końca lat siedemdziesiątych jakby szukał wciąż swej dziennikarskiej tożsamości. Unikał, jak mógł, „stanowisk” i synekur – o co wówczas było łatwo – bowiem wiedział, że jest to utrata twarzy i dziennikarska śmierć – lub w najlepszym wypadku niestawa...

Przypadek sprawił, że pewnego dnia udał się na zdjęcia na tzw. *Rurę*, czyli budowę rurociągu – na Ukrainę, aby ukazać pozytywny trud pracowników „Energopolu”. Wrócił zauroczony Kresami i przerażony Polskimi Losami na tych ziemiach. I powoli, powoli, w miarę jak topniała wszechwładna cenzura, w swych „niby-produkcyjniakach” zaczął te losy przemycać na ekran, aby

w końcu lat osiemdziesiątych pokazać je w całej ostrości i bez ostonek.

Sam był człowiekiem niezwykle skromnym i wręcz nie lubił pokazywać się na wizji. Z trudem udało mi się namówić Go do nagrania *Reporterskich wspomnień*. W ostatnim odcinku na zakończenie powiedział do mnie: *Nie chce mi się wierzyć, że już ćwierć wieku łowimy te obrazki*. Odpowiedziałem: *Nie martw się, będą następne...* Niestety...

Zmarł nagle 31 sierpnia 1993 roku. Miał zaledwie 56 lat.

Krystian Przysiecki

Biuletyn Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” nr 22/93 (ze skrótami).

SYLWETKI RODZIN

Najbliższy nam spośród krakowskich gazet „Dziennik Polski” wydaje co czwartku dodatek *Dziennik Rodzinny*. Na jego pierwszej stronie mamy zawsze prezentację wybranej rodziny, zamieszkałej i znanej w Krakowie: duże zdjęcie całej (lub prawie całej) rodziny oraz opowieść o niej. Tak się jednak składa, że w dużej części są to rodziny, które pod Wawelem żyją bynajmniej nie od wieków, wśród tych zaś niemały udział mają rody o korzeniach lwowskich i wschodniomałopolskich, oczywiście dziś już „mieszane”.

W październiku ub. r. czytaliśmy o rodzinie Piotra Bożyka, profesora ASP w Krakowie. Ojciec lwowianin, matka krakowianka, ale z domu Papée – czyli korzenie lwowsko-złoczowskie (pamiętamy nazwisko prof. Fryderyka Papée, znakomitego historyka lwowskiego, później dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej). Dodajmy, że brat Piotra, to Jerzy Bożyk, znakomity jazzman i pianista, który swoją grą i śpiewaniem uświetnia imprezy krakowskiego oddziału TMLiKPW.

W grudniu pokazano rodzinę Zalewskich i Macedońskich. Tego pierwszego nazwiska rekomendować nie trzeba: profesor ASP, znakomity konserwator sztuki, Władysław, jest synem i wnukiem słynnych cukierników z ul. Akademickiej we Lwowie. Jego żona i szwagier, rodzeństwo Wanda i Adam Macedońscy, oboje znani plastycy (pamiętamy charakterystyczne rysunekki Adama z „Przekroju”) przyjechali po wojnie ze Złoczowa.

W lutym br. poznaliśmy rodzinę Ingar-denów. Architekt Janusz, lwowianin z urodzenia, to syn znakomitego filozofa Romana Ingardena, profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (ale o korzeniach bukowińskich *po mieczu* i krakowskich *po kądzieli*), po wojnie na UJ. Żona, arch. Marta z Bińkowskich, to rodowita lwowianka.

Marzec '03 to Puchalscy. Zaprezentowano co prawda tylko Annę Puchalską (z jej synem), ale opowiedziano o jej rodzicach: wspaniałym fotografiku i filmowcu-przyrodniku, podróżniku (rodem z Wielkich Mostów w woj. lwowskim) i jego żonie, Alanie z Gröo, ze znanej rodziny lekarskiej z ul. Kampiana we Lwowie. Tu mała poprawka: Alanka nie była najmłodszą z trzech córek dra Branko Gröo, lecz średnią.

Nieco wcześniej, bo w grudniu 2001 r. przedstawiono nam rodzinę Turnauów, o której i my kilkakrotnie pisaliśmy (CL 2/2000 i 1/02).

Natomiast w kwietniu br. czytaliśmy o Grzybowskiach. To rodzina krakowska, ale jak to w inteligencji galicyjskiej bywało, jej związki ze Lwowem są wielokrotne. Pradziadek Stanisława to wielki Karol Estreicher (starszy), który pracował przez szereg lat we Lwowie (jego *sylwetkę* niebawem przedstawimy), a babka, Stanisławowa Estreicherowa, była z lwowskiej rodziny Longchamps.

I z ostatniej chwili: w lipcu znalazło się małżeństwo plastyków, pp. Berdakowie. W naszym numerze 2/03 była rozmowa ze Stefanem Berdakiem.

Na koniec ciekawostka: również w kwietniu opisano rodzinę krakowskich cukierników Wilków. Senior tej firmy terminował w latach powojennych u mistrza Scherhardta przy Rynku w Krakowie. Młodzi Wilkowie – czytamy – wprowadzają do asortymentu tradycyjnych ciast, najczęściej jeszcze z l w o w s k i m r o d o w o d e m, nowinki... Bo Scherhardtowie to oczywiście lwowianie. A swoją drogą, czy nie szkoda psuć tamtych ciast nowinkami?

Z TAMTEJ STRONY

Nasi artyści

Federacja Organizacji Polskich nU. przekazała nam listę polskich zespołów artystycznych i artystów, działających dziś na obszarze tamtego państwa. Spośród nich wynotowaliśmy te, które śpiewają, grają i tańczą w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu. Za Zbruczem działa również podobna liczba zespołów i artystów polskich.

ZESPOŁY PIEŚNI I TAŃCA

- „Lwowiacy” (z własną kapelą, Lwów, kier. E. Sosulski)
- „Lwowiacy” – 2 (Lwów, kier. S. Durys)
- „Tęcza” (młodzieżowy, Lwów, Szkoła 24)
- „Kołomyjka” (młodzieżowy, Kołomyja)
- „Krzemieńskie Barwinki” (młodzieżowy, Krzemieniec)
- „Para taneczna” (młodzieżowy, Stanisławów)

CHÓRY I ZESPOŁY ŚPIEWACZE

- Chór Katedry Lwowskiej
- Chór „Echo” (Lwów)
- „Lutnia” (Lwów)
- „Wesoły Lwów”
- „Mościskie Słowiki” (młodzieżowy, Mościska)
- „Lilia” (młodzieżowy, Sądowa Wisznia)
- „Cantate Domino” (młodzieżowy, Sambor)
- „Żarna” (Sambor)
- „Dwa + Dwa” (Sambor)
- „Życzenie” (młodzieżowy, Strzałkowice)
- „Cantus Animae” (Drohobycz)
- „Odrodzenie” (młodzieżowy, Drohobycz)
- „Ziarenko do ziarenka” (młodzieżowy, Borysław)
- „Leticia” (młodzieżowy, Stryj)
- „Lumen” (Kołomyja)
- „Krzemieńskie Barwy” (Krzemień)
- „Sursum Corda” (Równe)
- „Serafin” (Równe)
- „Laudate Dominum” (Równe)
- „Duet” (młodzieżowy, Równe)
- „Wołyń” (Łuck)
- „Życzenie” (Łuck)

ZESPÓŁ KAMERALNY

- Zespół Mandolinistów (młodzieżowy, Drohobycz)

MUZYCY

- Ilona Kuczyńska (fortepian, kompozytorka, Lwów)
- Irena Wołkow (skrzypce, Czortków)

SOLIŚCI

- Nina Olszewska (Brody)
- Ola Manujlik (Równe)
- Oksana Prijmak (Mościska)

TEATRY

- Polski Teatr Ludowy (24 osoby, kier. Zb. Chrzanowski, Lwów)
- Scena „Studium Galiciana” (7 osób, kier. Zofia Iwanow, Lwów)
- „Baj” (teatr młodzieżowy, 16 osób, kier. Maria Iwanow, Lwów, Szkoła 10)
- „Zielona żabka” (teatr lalkowy, kier. Alfred Klimczak, Lwów)

RODZINY MUZYKUJĄCE

- Rodzina Husarzów (3 osoby, Sambor)
- Rodzina Kirylaków (4 osoby, Sambor)
- Rodzina Melnarowiczów (4 osoby, Sambor)
- Rodzina Kańczugów (6 osób, Sądziowice)
- Rodzina Turiabów (5 osób, Borysław)
- Rodzina Piotrowskich (4 osoby, Truskawiec)
- Rodzina Buherów (2 osoby, Stryj)
- Rodzina Wołkowów (2 osoby, Czortków)
- Rodzina Olszewskich (7 osób, Brody)
- Rodzina Kokorskich (4 osoby, Ostróg)
- Rodzina Fiedorowych (3 osoby, Równe)
- Rodzina Rolingerów (4 osoby, Łuck)

Wydarzenia

◆ W grudniu 2001 r. odbył się w państwie Ukraina **powszechny spis ludności**. Dopiero p o r o k u opublikowano jego rzekome rezultaty.

Nas interesuje oczywiście sprawa Polaków w tym państwie. Wedle szacunków tamt. Związku Polaków ich liczba wynosi około 2 milionów. Tymczasem ze spisu wynikło, że jest ich niespełna 150 tysięcy – gdy tylko na Żytomierszczyźnie ich liczbę ocenia się na wielkość rządu 100 tysięcy. Podane obecnie liczby są jeszcze niższe, niż to wynikało ze spisu w r. 1989 – a więc jeszcze z czasów sowieckich, gdy ogromna część Rodaków bała się przyznawania do polskość. W latach 90. nastąpiło odrodzenie świadomości narodowej Polaków, czego dowodem są licz-

ne organizacje polskie. Opadł też strach (choć nie w pełni, ale czy można się dziwić?). Wniosek stąd, że liczba Polaków powinna się była ujawnić w stopniu o wiele wyższym niż 12 lat wcześniej – nawet zakładając dalsze ukrywanie polskość przez pewną część tej społeczności. Tymczasem spadła o 34%!

A więc gigantyczna manipulacja, która dotknęła nie tylko Polaków, także m.in. Rosjan. Oto ze spisu wynikło, iż liczba deklarujących narodowość rosyjską zmniejszyła się od 1989 r. o 27%. A jaka jest rzeczywistość? Że rosyjskość tam się odradza, widać w wielu regionach i dziedzinach (dużo się o tym pisze). Można to wytłumaczyć całkiem prosto: pozycja Rosji – polityczna, ekonomiczna, kulturalna – wzrasta nieproporcjonalnie w stosunku do Ukrainy.

Jednym z dowodów na spadek liczby Polaków ma być deklarowanie języka uznanego za ojczysty. Jakoby 12,9% Polaków uważa za takowy język polski, 71% język ukraiński, a 15,6% rosyjski. Abstrahując od ewidentnych i licznych przypadków fałszowania danych (o czym donoszą polscy działacze) trzeba jeszcze zwrócić uwagę, iż język używany potocznie w obcojęzycznym środowisku nie może być uznany za ojczysty. Takiego *subtelnego* rozróżnienia jednak w ankietach nie uwzględniono, a od prostych (w większości) i zastraszonych ludzi trudno wymagać, by na to reagowali.

Przytoczone dane zacerpnięliśmy z artykułu E. Tuzowa-Lubańskiego *Polacy wchłonięci*, zamieszczonego w „Naszym Dzienniku” z 8 I 2003.

Zastanawia jeszcze jedno: w państwie ukraińskim usiłuje się sztucznie pomniejszyć ilościowy udział mniejszości narodowych, w tym Polaków. A w naszej RP odwrotnie: przed spisem ludności w ub. roku nawoływano Ukraińców, by się ujawniali. Czynił to minister Janik.

O przedziwnych praktykach stosowanych lub zamierzonych w Polsce pisaliśmy już w CL 3/02 (s. 6, *Dlaczego?*) oraz w tym numerze na s. 30.

◆ W Łucku został otwarty nowy **Konsulat Generalny RP**, obok już istniejącego we Lwowie (a na terenie Ukrainy powstaje również nowy konsulat w Odessie, obok istniejących w Kijowie i Charkowie). Ta rozbudowa sieci konsularnej ma oczywiście związek z planowanym wprowadzeniem od 1 lipca 2004 wiz dla obywateli państwa ukraińskiego do RP, jako części Unii Europejskiej.

POLACY z POLAKAMI

KLUB ŻŁOCZOWSKI

Klub Żłoczowski od wielu lat – zgodnie z postanowieniami statutu – realizuje swoje cele i zadania przede wszystkim w zakresie integracji Żłoczowian w kraju i za granicą, a w szczególności zapewnia pomoc charytatywną (zapomogi i leki) dla Rodaków na Wschodzie. Klub Żłoczowski promuje też polską kulturę i tradycje narodowe na terenie Kresów Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej.

W maju br. zorganizowano – wspólnie ze Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska” – już VI Konkurs Recytatorski Poezji i Prozy Polskiej pt. „Skamandryci” w państwie Ukraina. Konkurs, który odbył się pod patronatem Gminy Kraków, adresowany był do młodzieży polskiej uczęszczającej na zajęcia do szkółek sobotnio-niedzielnych oraz szkół ukraińskich z językiem polskim. Udział w konkursie wzięło 126 osób z 16 miast tamtego państwa. Przesłuchania uczestników odbywały się w Mościskach, Stanisławowie i Żłoczowie, gdzie wyłaniano kandydatów z różnych regionów tamtego obszaru.

Laureatem pierwszej nagrody został Andrzej Rozowski z Kamieńca Podolskiego, podopieczny nauczycielki p. Ewy Link. Młodzież uczestnicząca w konkursie otrzymała dyplomy oraz nagrody książkowe, odtwarzacze kasetowe, a laureaci I, II i III miejsca – pięknie wydane słowniki języka polskiego.

Na zakończenie w Żłoczowie wystąpili krakowscy artyści ze spektaklem *Kabaret Juliana Tuwima – jutro będzie lepiej* oraz młodzieżowy zespół „Promyki Krakowa”.

W 2003 roku przypada 480. rocznica nadania miastu Żłoczów praw miejskich (1523) oraz 130. rocznica założenia Gimnazjum im. Jana III Sobieskiego (obecnie mieści się w jego gmachu Szkoła Średnia nr 3, gdzie odbył się finał konkursu).

Barbara Dudzik

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

BATIATYCZE

Położenie. Wieś w pow. żółkiewskim, wojew. lwowskim, położona na piaszczystej i zalesionej równinie, oddalona o ok. 4 km od Kamionki Strumiłowej. Na terenie wsi bierze początek potok Batiaczka, dopływ Bugu. Z końcem XIX w. było tu ok. 2600 mieszkańców. Parafia rzym.kat w Kamionce S., parafia gr.kat. na miejscu.

Historia. Pierwotnie Batiatycze należały do dóbr koronnych. W XV w. często odwiedzali je królowie. W 1658 r. król Jan Kazimierz nadał wieś wraz z dwoma sąsiednimi, Kupiczwołą i Żeldecem, na własność Georgisowi (Jerzemu) Paparze, świeżo nobilitowanemu kupcowi lwowskiemu, pochodzenia greckiego, i agentowi dyplomatycznemu. Papara pośredniczył w rokowaniach króla z Janem Wyhowskim, hetmanem kozackim. Nadanie królewskie było wyrazem uznania dla położonych przez Paparę zasług i, jak się zdaje, poniesionych przezeń kosztów. Sejm w 1659 r. nadanie zatwierdził, mimo niechętnego stanowiska szlachty wojew. ruskiego, przeciwnej nadawaniu królewskich na własność, jak i uszlachcaniu niezolnierzy. W latach 1662–66 Batiatycze były w posiadaniu wojewody lubelskiego Władysława Reja, a Kupiczwoła i Żeldec – któregoś z Tarnowskich. Zmiana właścicieli była zapewne wynikiem fikcyjnej sprzedaży dokonanej przez Paparę z obawy przed utratą dóbr. Po śmierci Georgisa (przed 1701 r.) Batiatycze przypadły jednemu z synów, Janowi, potem przeszły na drugiego, Aleksandra, właściciela Kupiczwoły i Żelca. Nie wiadomo kiedy Batiatycze dostały się w posiadanie spowinowaczonej z Paporami rodziny Łączyńskich; w rękach obu rodzin pozostawały do II wojny światowej.

Kościół w Batiatyczach pw. św. Jadwigi jest obsługiwany przez proboszcza z Kamionki Strumiłowej ks. Władysława Derunowa.

BRZEŻANY

Położenie. Miasto powiatowe w wojew. tarnopolskim, w odległości 89 km od Lwowa, przy linii kolejowej Lwów–Potutory. Leży nad Złotą Lipą

APEL

w sprawie Lwowskiego Towarzystwa Radiowego – Radio Lwów, Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, Miesięcznika „Lwowskie Spotkania”

Zwracamy się do wszystkich Kresowian, ludzi dobrej woli w Polsce i poza jej granicami, którym nieobojętny jest los Rodaków we Lwowie i na Ziemi Lwowskiej, pozostałych tam i trwających wbrew wyrokom historii.

Oni w trudnych warunkach codziennej rzeczywistości starają się przywrócić dawną świetność kultury polskiej, która szczególnie w Grodzie nad Pełtwią zawsze, pomimo zaborów, najazdów i totalitaryzmów, błyszczała światłem najjaśniejszym, była magnesem łączącym narody zamieszkujące to miasto. Od wielu lat obserwujemy mozolny proces odradzania się polskich środowisk intelektualnych.

Działające od 10 lat Radio polskie, mając doskonały kontakt ze słuchaczami, wspiera duchowo mieszkających we Lwowie Polaków. Dostarczając informacji i rozrywki cieszy się dużą popularnością.

Ukazujący się już trzeci rok miesięcznik „Lwowskie Spotkania”, stworzony przez grupę intelektualistów ze Lwowa, jest nie tylko areną wymiany myśli, ale i aktywnym kreatorem życia kulturalnego. Dość wskazać na jego aktywność w czasie pielgrzymki Papieża na Ukrainę czy współorganizowanie Dni Zbigniewa Herberta we Lwowie w 2002 roku.

Współpracująca ze sobą od 10 lat grupa artystów polskich z Ukrainy cieszy się już powszechnym uznaniem, a jej dorobek prezentowany był na licznych wystawach tak na Ukrainie, jak i poza jej granicami. Od chwili objęcia sali wystawowej, w ciągu zaledwie kilku miesięcy, udało im się zorganizować siedem wystaw plastycznych.

Organizacje te zrzeszają, co jest ewenementem, liczne rzesze młodzieży; w planach mają prowadzenie warsztatów i kółek zainteresowań we współpracy z polskimi szkołami. Mamy przekonanie, że środowi-

ska skupione wokół tych organizacji mogą stanowić cenny kapitał w odzyskaniu pozycji przez społeczność polską we Lwowie.

Pragniemy, aby polskie elity – plastycy, literaci, dziennikarze – nadawały ton życiu kulturalnemu Miasta. Pomagając im, tylko w ten sposób, możemy nawiązać do wysiłków i osiągnięć wielu pokoleń naszych lwowskich przodków.

Niestety ten proces może ulec gwałtownemu przerwaniu, bowiem z najmniej oczekiwanej strony instytucji pomocowej z Polski dochodzą sygnały wskazujące na wolę ograniczenia, a nawet całkowitego zniszczenia tych odradzających się środowisk. Odebranie pomieszczeń, w których pracują bądź mają pracować dziennikarze Lwowskiego Radia, miesięcznika „Lwowskie Spotkania”, w których spotykają się i wystawiają swe prace artyści ze Lwowa i całej Ukrainy, jest dla nas – niezależnie od przedstawianych powodów – bulwersującym posunięciem, które oceniamy jako wymierzone przeciwko Polakom we Lwowie i zaprzeczające misji pomocy Polakom na Wschodzie.

Dlatego my, niżej podpisani, powodowani głęboką troską i w najwyższym stopniu zaniepokojeni, zwracamy się z a p e l e m do instytucji i organizacji, także do Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, o udzielenie pomocy i umożliwienie dalszej pracy działającym już w pomieszczeniach przy ul. Rylejewa 9 we Lwowie organizacjom: Polskiemu Towarzystwu Radiowemu, czasopiśmie „Lwowskie Spotkania” i Lwowskiemu Towarzystwu Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Jerzy Janicki – Honorowy Prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch., Oddział w Warszawie

dr Jerzy Masior (†) – prezes Oddziału TMLiKPW w Nowym Sączu

prof. Władysław Stążka – prezes Oddziału TMLiKPW w Lublinie

prof. Tadeusz Radomański – wiceprezes Oddziału TMLiKPW w Lublinie

Andrzej Michałowski – sekretarz Oddziału TMLiKPW w Lublinie

dr Danuta Nespiak – wiceprezes Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”

prof. Andrzej Janusz – Akademia Medyczna we Wrocławiu

Mariusz Olbromski – dyrektor Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej

Janusz Wasylkowski – dyrektor Instytutu Lwowskiego, red. nac. „Rocznika Lwowskiego”

Andrzej Mierzejewski – członek Kolegium Redakcyjnego „Rocznika Lwowskiego”

o. Piotr Cholewka – benedyktyn, witrażysta, fotografik, autor inauguracyjnej wystawy otwierającej działalność LTPSP we Lwowie

Andrzej Chlipalski – red. nac. kwartalnika „Cracovia–Leopolis” oraz Rada Redakcyjna: I. Kasprzysiak, R. Machowska, J. Paluch, K. Stańska, I. Suchanek, M. Taszycka, D. Siekańska, M. Walczewska

W MOŚCISKACH

Trudno dziś znaleźć kogoś, kogo z czystym sumieniem można pochwalić. Dlatego z przyjemnością prezentujemy list, jaki Zarząd Krajowy „Wspólnoty Polskiej” wystosował do pani Teresy Teterycz, dyrektorki Szkoły Polskiej w Mościskach.

(dopływ Dniestru), w pięknej krajobrazowo okolicy nazywanej Podolską Szwajcarią. W okresie międzywojennym miasto liczyło ponad 10 tys. mieszkańców. Istniały tu zakłady kąpielowe, pracowały cegielnie i młyny, rozwinięte było rzemiosło.



Historia. Nazwa Brzeżan po raz pierwszy pojawia się w dokumentach w 1445 r. W 1530 r. Mikołaj Sieniawski, dworzanin króla Zygmunta I otrzymał pozwolenie na założenie tu miasta na prawie magdeburskim. Obrawszy to miejsce na rodową siedzibę wybudował następnie zamek (1554) na trudno dostępnym terenie między dwoma ramionami Złotej Lipy. Podmokły grunt wymagał utwierdzenia przez wbicie wielkiej ilości pali dębowych. Na początku XVII w. zamek został mocno ufortyfikowany przez sprowadzonego do Brzeżan inżyniera Andrzeja dell'Acqua, któremu powierzone zostało także szkolenie puszkarzy. W obrębie zamku wybudowany został kościół, który początkowo służył także okolicznej ludności, ale w pierwszych latach XVII w. na terenie miejskim postawiono kościół farny pw. Narodzenia NMP, przy którym w 1621 r. erygowano parafię rzym.kat. Od tego czasu kościół zamkowy służył Sieniawskim jako mauzoleum rodowe. Oprócz kościoła farnego Mikołaj Hieronim Sieniawski w 1682 r. ufundował w mieście kościół pw. św. Mikołaja i klasztor bernardynów, a ich budowę doprowadził do końca jego syn Adam Mikołaj.

Świetnie ufortyfikowany zamek brzeżański z powodzeniem opierał się oblężeniom kozackim i tureckim w latach 1648, 1658 i 1667. Po raz ostatni funkcję obronną pełnił w 1709 r. podczas wojny domowej między zwolennikami Augusta Mocnego i Stanisława Leszczyńskiego. Od tej pory zamek był już tylko rezydencją mieszkalną Sieniawskich, uzupełnioną pałacem myśliwskim w pobliskiej wsi Raj (zob. CL 3/99). Zamek

STOWARZYSZENIE „WSPÓLNOTA POLSKA”
ZARZĄD KRAJOWY 05-112 Warszawa, ul. Krakowska Prochowa 64
tel. (022) 480-22-20 do 41-42-43, 427-14-46, fax (022) 477- 420, 71-14
e-mail: sekretariat@stowarzyszenie.wp.org.pl www.stowarzyszenie.wp.org.pl
NIP: 524-028-00-48 KRS: 000779112

Warszawa, 1304/2003
L. dz. Ukr - 1/154/03

Pani
Teresa Teterycz
Przez Oddział Mościckiego
TKPZL
Ul. 16 Lipca 4
292578 Mościska
Ukraina

Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” otrzymało sprawozdanie z przeprowadzonej kontroli i wizytacji przedstawicieli Biuletynu S.A. w Szkole Polskiej w Mościskach. Z przyjemnością przyjęliśmy informację o prawidłowym i gospodarnym podjęciu Pani Dyrektora do posiadanych ziem i jego prawidłowej eksploatacji. Cieszy nas to szczególnie, bo niestety nie wszędzie spotykamy się ze zrozumieniem, co oznacza prawidłowa eksploatacja obiektu i terenu.

W ramach rocznego przeglądu gospodarczego proponujemy aby został przeprowadzony przed zakończeniem roku szkolnego, aby umożliwić spokojnie i dokładnie oszacowanie wszystkich ewentualnych uterek podczas pracy wykazanej.

Z poważaniem

ZARZĄD KRAJOWY
ul. Krakowska Prochowa 64
NIP: 524-028-00-48

PROŚBA

Dyrekcja polskiej Szkoły nr 24 im. M. Kopnickiej we Lwowie zwraca się z prośbą o ofiarowanie dla najstarszych klas następujących dzieł literatury polskiej i obcej:

M. Konopnicka *Poezje*
J. Kasprówic *Wiersze*
K. Baczyński *Wiersze*
E. Zola *Germinal*
G. Flaubert *Pani Bovary*
P. Verlaine *Liryka*
G. Apollinaire *Liryka*
M. Proust *W poszukiwaniu straconego czasu*
J. Conrad *Lord Jim*
G.B. Shaw *Pigmalion*
J. London *Martin Eden*
F. Kafka *Nowele*
B. Schulz *Sklepy cynamonowe*
W. Gombrowicz *Ferdydurke*
J. Iwaszkiewicz *Panny z Wilka*
S.I. Witkiewicz *Szewcy*
J.P. Sartre *Muchy*
A. Camus *Dżuma*
J.D. Salinger *Buszujący w zbożu*
E.M. Remarque *Trzej towarzysze*
R. Bradbury *Wino z mleczu*
K. Moczarski *Rozmowy z katem*
T. Borowski *Wybór opowiadań*
G. Herling-Grudziński *Inny świat*
Z. Nałkowska *Medaliony*
H. Krall *Zdążyć przed Panem Bogiem*
M. Białoszewski *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego*
J. Andrzejewski *Popiół i diament*
J. Andrzejewski *Bramy raj*
J. Szaniawski *Dwa teatry*
T. Konwicki *Mała apokalipsa*
S. Mrożek *Tango*
T. Różewicz *Kartoteka*

Dla młodszych klas:

J. Grabowski *Puc, Bursztyn i goście*
M. Kruger *Karolcia*
A. i Cz. Centkiewiczowie *Zaczarowana zagroda*
H. Lofting *Doktor Dolittle i jego zwierzęta*
J. Porazińska *Szewczyk Dratwka*
S. Michałkow *Nie płacz koziołku*
A. Milne *Kubuś Puchatek*
J. Tuwim *Słoń Trąbalski*
G. Knutsson *Przygody Filonka Bezogonka*

Książki można składać w lokalu TMLiKPW w Krakowie – w gmachu „Sokoła”, ul. Piłsudskiego 27, I p., w każdą środę w godz. 15–18.

W Krakowie i dalej

POŻEGNALIŚMY JERZEGO

W dniu Jego imienin – 23 kwietnia – żegnaliśmy doktora Jerzego Masiora na nowosądeckim Cmentarzu Komunalnym, wypełnionym rzeszą ludzi miejscowych i przyjezdnych, starszych i młodzieży. Nad trumną śpiewano i grano, a z wielu serdecznych przemówień wybraliśmy to – wygłoszone w imieniu grona Jego najbliższych współpracowników. Wiceprezes Oddziału Nowosądeckiego p. Janusz Korpak powiedział:

Żegnam doktora Jerzego Masiora w imieniu Nowosądeckiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Był założycielem tego Oddziału i jego przewodniczącym od samego początku – od 1989 roku. To w ramach działalności Towarzystwa nawiązał kontakty na Kresach, a szczególnie w Chodorowie, miejscu swego urodzenia, i we Lwowie, mieście swojej młodości. Podziwialiśmy Jego zapał w realizacji każdego zaplanowanego zadania. Zaskakiwał nas stale nowymi pomysłami.

Dzielił swoje wszechstronne zdolności i pasje twórcze między dwa miasta: Lwów i Nowy Sącz. Tak powstały Jego liczne publikacje, utwory literackie, rysunki i obrazy. Z Jego inspiracji na scenach Nowego Sącza rozbrzmiewały lwowskie piosenki. Pod Jego kierownictwem młodzież ze szkół Zawady, Maciejowej oraz Liceum im. Bolesława Chrobrego zdobywała nagrody na konkursach piosenki lwowskiej, a swymi występami w Nowym Sączu i wielu innych miastach podbiła serca publiczności. Jego wyprawy na Kresy nie ograniczały się jedynie do pomocy materialnej dla Rodaków. Organizowane wycieczki, szczególnie dla młodzieży, były żywą lekcją historii tych Ziemi.

W wyniku Jego starań sądecka Szkoła Podstawowa nr 16 przybrała imię Orłąt Lwowskich. Podczas każdego pobytu we Lwowie interesował się odbudową Cmentarza Obróńców Lwowa, ale niestety nie doczekał się uroczystości otwarcia cmentarza po odbudowie.

Ostatnie nasze spotkanie lwowiaków odbyło się dwa tygodnie temu. Omawiał wtedy projekt najbliższej wycieczki do Lwowa i na Huculszczyznę. Jego marzeniem było, aby jeszcze raz wsłuchać się w szum Czeremoszu i stworzyć nowe strofy wierszy, a strudzone nogi pielgrzymy zamoczyć w bystrym nurcie rzeki. Niestety nie będzie już słyszał szumu Prutu i Czeremoszu, ani Popradu i Dunajca. Ukolyszą Go na wieczny sen drzewa sądeckiego cmentarza, a tego romantyka-kresowianina sądecka ziemia utuli jak swego syna.

Cześć Jego pamięci!

Nekrolog pamięci Jerzego Masiora zamieściliśmy w poprzednim numerze – CL 2/03. W niniejszym numerze prosimy przeczytać Jego opowiadanie i wiersz przysłany do nas na parę dni przed śmiercią.

W wielu pismach ukazały się obszernie wspomnienia o Jerzym. W wydaniach nowosądeckich z 22 IV: w „Dzienniku Polskim” P. Gryźlak: „Człowiek renesansowy”; w „Gazecie Krakowskiej” S. Śmierciak: „Koniec epoki. Odszedł Jerzy Masior”; w „Gazecie Wyborczej” J. Leśniak: „Doktor, miłośnik Kresów, artysta, żeglarz”.

KRESY PAMIĘCI

Pod takim tytułem ukazał się w „Polityce” w ostatnim numerze z ubiegłego roku (51–52/02), artykuł dr. hab. Jana Kochanowskiego z Warszawy. Rzecz ciekawa, co wcale nie oznacza, że *pozytywnie ciekawa*. Warto, by nasi Czytelnicy – zapewne nie zawsze czytający ten miesięcznik – z tym się zapoznali.

Najpierw przedstawił autor samą istotę pamięci o zabranych Ziemiach Wschodnich (nazywanych z uporem *Kresami*) w czasach PRL – serdecznej w społeczeństwie nie tyl-

brzeżański gościł wiele znakomitych osobistości, a wśród nich króla Augusta Mocnego (1698); księcia Franciszka Rakoczego, wojewodę siedmiogrodzkiego i słynnego wodza powstańców węgierskich (1702) oraz cara Piotra Wielkiego (1707). Po śmierci ostatniego z rodu Adama Sieniawskiego w 1726 r. cała olbrzymia fortuna przeszła na Czartoryskich, po nich w 1778 r. na Lubomirskich, a w 1816 r. na Potockich. Po I rozbiórce zaczął się stopniowy upadek rezydencji zamkowej, której wyposażenie kolejni właściciele wywozili do innych majątków. W połowie XIX w. niezamieszkały, opustoszały zamek zamieniony został na koszary, magazyny oraz browar, w kościele zamkowym zrobiono zaś skład wódek. Presja opinii publicznej sprawiła, że w 1878 r. Stanisław Potocki powstrzymał dalszą dewastację budowli zamkowych i zlecił odbudowę kościoła Leonardowi Marconiemu.

W początkowym okresie istnienia miasta dużą rolę w jego życiu odgrywali Ormianie, którzy wykorzystując położenie Brzeżan na szlaku handlowym założyli tu skład towarów. Sprowadzane przez nich ze wschodu towary szły stąd przez Świrz do Lwowa, a zachodnie przez Jazłowiec na wschód. W miarę rozwoju miasta Ormian stopniowo wyparła stąd konkurencja żydowska. Uczciwość prowadzonego przez Żydów handlu budziła jednak zastrzeżenia, skoro w 1619 r. ówczesna pani Brzeżan, Katarzyna z Kostków Sieniawska, wydała zakaz uprawiania lichwy w mieście, wprowadzając go do akt miejskich. W życiu gospodarczym miasta oprócz handlu, którego przedmiotem były głównie zboże, skóry, mąka i wódka, dużą rolę odgrywało rzemiosło, nad którego rozwojem również czuwali właściciele miasta, chroniąc je przywilejami, potwierdzonymi w 1616 r. Szczególnie rozwinęło się w Brzeżanach szewstwo, stolarstwo, kuśnierstwo i kowalstwo, których wyroby zaliczano w XIX w. do lepszych w kraju. W 2. połowie XIX w. czynna tu była, założona przez Stanisława Potockiego, fabryka zapalek, młyn *amerykański* oraz browar wyrabiający piwo na potrzeby miejscowe. W rękach Potockich Brzeżany pozostały do lat 30. XX w. W 1934 r. Jakub Potocki ofiarował zamek wojsku polskiemu, a z dóbr ziemskich utworzył fundację do walki z gruźlicą i rakiem.

W Brzeżanach urodzili się: Aleksander Bruckner 1856–1939), historyk języka polskiego, profesor uniwersytetu w Berlinie; Edward Rydz-Śmigły (1886–1941), marszałek Polski.

ko kresowym, nieprzyjaznej u władz, innej w wielkich miastach, innej wśród przesiedleńców wiejskich na Ziemiach Zachodnich. Pamięć ta – ogólnie rzecz biorąc – wynikała zarówno z liczebności i żywotności w owym czasie kresowych środowisk, jak i wartości przeniesionych przede wszystkim ze Lwowa i Wilna do Polski w powojennych granicach. Co więcej, wspomnienie Kresów – podobnie jak AK – było formą ideowego oporu przeciw narzuconej władzy komunistycznej i zależności od ZSRR. To wszystko musiało ulec opadaniu na przełomie lat 80/90., tyleż z racji upływu lat, co i zmiany sytuacji politycznej. Ale – zauważa autor – kresowianie są elektoratem, o którego głosy politycy muszą się starannie troszczyć w dalszym ciągu. Przypomina tu antypatyczny serial *Boża podszewka* Izabelli Cywińskiej (o której mowa także w tym numerze – *Wertując wydawnictwa*), po którym zarząd TV musiał przeprosić środowisko ekspatriantów.

Na marginesie: autor informuje, że w opublikowanym w 1999 r. przez Ośrodek „Karta” katalogu druków wydanych poza cenzurą w latach 1976–90, pośród ok. 3 tysięcy tytułów, zaledwie 20 traktuje o Kresach. To jakiś absolutny nonsens: przecież w samej Bibliotece Lwowskiej wydawanej przez Danutę B. Łomaczewską (pod pseudonimem Jerzego Wereszyca) było 9 pozycji. I wcale nie tylko o wojennych losach.

Autor wymienia całą plejadę pisarzy, związanych korzeniami i twórczością z Ziemią Wschodnią. Na ośmiu wymienionych „krajowych” aż siedmiu to lwowiaczy (szeroko rozumiani). Lista jednak, przede wszystkim co do wilnian, ale i co do lwowian, jest rażąco niekompletna. Wypadałoby wymienić także tych emigracyjnych, których książki wydano w Polsce, z A. Chciukiem na czele. Nie jest „całą prawdą”, że kresowe wydawnictwa szybko straciły poczytność, trafiając coraz częściej w księgarniach na półki z tanią książką. Prawda polega na tym, że te właśnie książki rozchodzą się najczęściej poza księgarniami, które podnoszą ich (i nie tylko ich) ceny w sposób nie do przyjęcia. Stąd problemy w niektórych księgarniach. Nie wolno też zapomnieć, że niektóre pozycje mają dodruki. Ostatnio np. trzeba było zdublować nakład wspomnień K. Nahlika *We Lwowie i na Pokuciu*.

J. Kochanowski sprawiedliwie zauważa przywiązanie do Kresów pokoleń powojennych, w tym dzisiejszej młodzieży. Przypomina liczne imprezy kresowe, lwowskie i wi-

leńskie („Kaziuki” w Poznaniu, festiwale w Mrągowie, a do tego dodajmy działalność śp. Jerzego Masióra w Nowym Sączu, Janusza Ragankiewicza w Lesznie i całkiem sporo dalszych), jednak zapewne z potrzeby tzw. „objektywizmu” przywołuje casus dziennikarza z „Gazety Wyborczej” Wojciecha Maziarskiego (rocznik 1960), który napisał: *Jestem głuchy na poetykę i mitologię Kresów. Od Ostrobramskiej w Wilnie bliższa mi Świdnicka we Wrocławiu, bo na Ostrobramskiej nie działo się nic, co miało by znaczenie w moim życiu [!], a na Świdnickiej uczestniczyliśmy z kolegami w happeningach Pomarańczowej Alternatywy. Ba, od Ostrobramskiej bliższe jest mi nawet Vaclavske Namesti w Pradze. No cóż, wysoki poziom odczuć.*

Z podobnego założenia – że ważne to, co m n i e dotyczy – wychodzą młodzi ludzie (raczej nawet dużo młodszy od pana WM), którzy rozwaleni na siedzeniach w tramwaju lub autobusie nie zauważają starszych ludzi, którym by należało ustąpić miejsca. Na zwróconą uwagę odpowiadają, że też płacą, ale na kolejną uwagę, że płaci się za przejazd, a nie za siedzenie (czego dowodem są ci stojący starsuszkowie), ustąpienie miejsca jest zaś kwestią k u l t u r y – odpowiadają rechotem. Taką właśnie subtelną postawę demonstrował ów Maziarski: ważne to, co ma znaczenie d l a n i e g o. Taki poziom, ale „Gazety Wyborczej” to nie razi, ponieważ dobrze się mieści w szeroko pojętym nurcie destrukcji wszelkich wartości.

Skoro „Gazeta Wyborcza”, to musi się pojawić i nazwisko Pawła Smoleńskiego, który tym razem ma za złe P o l a k o m (w ogóle, nie tylko kresowianom) ich nie dość radosny stosunek do Ukraińców (przypominamy przy okazji tekst z poprzedniego numeru CL w dziale *Z tamtej strony*).

Na koniec J. Kochanowski pisze o niezależnych *zabużanom* (jak się ich nazywa) odszkodowaniach za zagarnięte na Wschodzie mienie. Przeczuwa, że w Strasburgu zabużanie wygra z Państwem, co uruchomi lawinę, której koszty będzie musiało ponieść całe społeczeństwo. *Spoleczeństwo, którego większość uważa polskie Kresy za czas przeszły dokonany, mit sentymentalny i wzruszający, ale leżący już na historycznym cmentarzu i za który niezbyt chcą – już całkiem realnie – zapłacić. [...]*

Jakie to jednostronne! Polska powojenna straciła ziemie wschodnie, ale zyskała zachodnie, straty więc *per saldo* w skali państwa i narodu (przedstawiając rzecz

wulgarnie) – nie ma. A z *dobrodziejstw* płynących z tych nowych ziem (przecież udowodniano nam ich wyższość nad *ubogimi Kresami*) korzysta wszak całe społeczeństwo od ponad pół wieku (może tylko z wyjątkiem *zabużańskich* chłopów, których zagnano do pegeerów na zachodzie, dziś zbankrutowanych). I to społeczeństwo nie spłaciło dotąd strat Bogu ducha winnym przesiadającym. Więc o co chodzi?

Pan doktor habilitowany Kochanowski pracuje (jak poinformowano na końcu) m.in. w Niemiec- kim Instytucie Historycznym w Warszawie. Zapewne więc bardziej interesuje się pokrzywdzonymi Niemcami niż *bezczelnymi* polskimi *kresowianami*, którzy chcą niecznie wykorzystać poczcivców z Mazowsza.

Marek Wenecki

Notatki

◆ W Warszawie w kwietniu **zmarł Andrzej Ziemiński**, socjolog, dziennikarz i pisarz, taternik, narciarz, człowiek w dobrym, przedwojennym stylu. W czasie okupacji był członkiem AK, po wojnie – krótko – PPS-owcem anty-PPR-owskim.

Był z urodzenia lwowianinem – rocznik 1923. Swemu Miastu poświęcił część niedawno wydanych wspomnień *Znalezione nad jeziorem Wiartel* (odnotowaliśmy niedawno w CL). Jego żoną była Małgorzata z Dzieduszyckich, córka Wojciecha (Pana Tunia) Dzieduszyckiego, b. ambasador RP w Kanadzie.

◆ W CL 3/02 pisaliśmy o zjeździe klanu Duninów, który miał oczywiście także lwowskie odniesienia. I oto następne spotkanie: **małopolskiej rodziny Huczkwskich** herbu Prus II. Sprawa jest o tyle oryginalna, że większość Huczkwskich żyje w krajach skandynawskich – w Szwecji, Finlandii, Norwegii, a tylko niewielu w Polsce. Na zjazd do Krakowa w lipcu '02 – zresztą już drugi, bo pierwszy odbył się w 2000 r. w Helsinkach – przybyło 66 osób ze Skandynawii (na I zjeździe było ich 150!) i 12 z Polski.

Skąd tyłu Huczkwskich na północy? Oto po upadku Powstania Styczniowego jego uczestnik (przedtem jako student brał udział w Wiośnie Ludów w Pradze, walczył pod

Zabytki. Zamek wzniesiony w 1554 r. na planie nieregularnego pięcioboku, zamkniętym dwu- i trzypiętrowymi budynkami mieszkalnymi, z obszernym dziedzińcem wewnątrz i trzema basztami na narożach. Z budynków zamkowych zbudowanych w stylu renesansowym, najbogatszą dekorację miała część pld.-wsch., zwieńczona attyką, oraz brama wjazdowa. Kościół zamkowy pw. Trójcy Św., zbudowany po 1554 r. przy pld.-zach. części muru fortecznego na planie krzyża. W latach 1619–24 dobudowano południową kaplicę boczną o kopule bogato ozdobionej stiukami przez Jana Pfistera w latach 1627–29. Nieco później dobudowana została kaplica północna, w której znajdował się zespół nagrobków Sieniawskich. Były wśród nich dzieła Henryka Horsta (nagrobek budowniczego zamku Mikołaja i jego syna Hieronima) i J. Pfistera (pomnik nagrobny Adama Hieronima i jego trzech synów). W krypcie znajdowały się cynowe sarkofagi Sieniawskich, wywiezione do Krakowa w czasie I wojny światowej, obecnie przechowywane na zamku w Pieskowej Skale. Po II wojnie zamek, przejęty przez wojsko sowieckie i mieszczący zakłady naprawcze broni, uległ zupełnej dewastacji. Główne skrzydło mieszkalne zawaliło się. Nagrobki zostały doszczętnie rozbite, stiuki Pfistera uległy zaś daleko idącemu zniszczeniu, a dach nad kopułą nie jest zabezpieczony. Ocalałe resztki rzeźby nagrobnej znajdują się w Olesku.

Kościół farny z pocz. XVII w. jest przykładem nawrotu do architektury gotyckiej, jaki miał miejsce w 1. połowie stulecia. Obok kościoła dzwonnica z 1630 r. Po II wojnie kościół podzielony w połowie wysokości stropem służył jako sale gimnastyczne.

Kościół i klasztor bernardynów przetrwał obie wojny, a obecnie mieści się tam więzienie.

Kościół ormiański pw. Niepokalanego Poczęcia NMP z w. XVIII, murowany, został wzniesiony w miejsce pierwotnego drewnianego kościółka, przy którym w 1710 r. erygowano parafię ormiańską. Wnętrze kościoła miało bogatą dekorację stiukową oraz XX-wieczną już dekorację malar- ską, która wedle miejscowej tradycji była dziełem młodego malarza Edwarda Rydza, późniejszego marszałka Polski. Ormiańska parafia w Brzeż- nach była pierwszą placówką duszpasterską późniejszego arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Obecnie kościół znajduje się w stanie daleko posuniętej ruiny.

Cerkiew parafialna Św. Trójcy z w. XVII–XVIII, ozdobiona rokokowymi stiukami. W 1830 r. zo-

Bemem na Węgrzech i pod Garibaldim we Włoszech), Wiktor Emanuel Huczkowski, uszedł i osiedlił się w Szwecji. Tam się ożenił, a rodzina rozmnożyła się, jak widać, dość obficie.

Wiktor urodził się w 1829 r., był synem Józefa, wnukiem Jana, a ich gniazdem była Nehrybka w Ziemi Przemyskiej. W 1782 r. Łukasz Huczkowski otrzymał potwierdzenie swego szlacheństwa przed sądem grodzkim we Lwowie. Warunkiem uzyskania takiego dokumentu było przedstawienie historii rodziny o kilka pokoleń wstecz. W 1. poł. XX w. we Lwowie żył Tadeusz Huczkowski i jego potomstwo: Zdzisław (zm. w Krakowie 1985) oraz Irena zam. Medyńska (też znane we Lwowie nazwisko).

To dobry przykład dla innych rodzin o korzeniach wschodniomałopolskich.

4 maja 2003 r. zmarła
w Krakowie,
pochowana na Cmentarzu Rakowickim

ZOFIA KURZOWA

polonistka-językoznawca,
profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
urodzona we Lwowie w 1931 r.

Była córką prof. Stefana Kawyna,
historyka literatury na Uniwersytecie
Jana Kazimierza we Lwowie.

Napisała dwa ważne dla nas dzieła:
*Polszczyzna Lwowa i Kresów Południowo-
-Wschodnich do 1939 roku* (1983 i 1985)
i *Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe
i okolicznościowe do 1939 roku*
(wraz z Jerzym Habelą, 1989) oraz wiele
artykułów na podobne tematy.

KULTURA NAUKA

Kultura i „kultura”

Krakowska prasa doniosła o aferze związanej z samowolnym rozebraniem kopuły na kościółku – byłej cerkwi z 1842 r. – w Prądkowicach k. Przemyśla. Kopuła była w złym stanie technicznym i na polecenie proboszcza ją zdemontowano oraz zastąpiono sygnaturką. Związek Ukraińców w Przemyślu podniósł larum (podobnie jak przed paru laty w przypadku rozbiórki drewnianej, sztucznie nadbudowanej, zmurszałej kopuły na kościele Karmelitów w Przemyślu, który austriaccy zaborcy po kasacie konwentu oddali unitom. Kościół ten ostatnio wrócił do prawowitych właścicieli. Konserwator wojewódzki doprowadził do odbudowy kopuły w Prądkowicach, ponieważ jest to zgodne z dawnym cerkiewnym charakterem tamtejszej świątyni.

Oczywiście samowolne wprowadzanie zmian w obiektach uznanych za zabytkowe jest niedopuszczalne i słusznie przywrócono stan pierwotny budowli. Tu nasuwa się atoli refleksja: dziesiątki świątyń na obszarze Małopolski Wschodniej – nie licząc bezpowrotnie lub w dużym stopniu zniszczonych przez lokalne władze w okresie sowieckim – zostały w ciągu ostatnich kilku lat okaleczone pod względem architektonicznym na zewnątrz i wewnątrz. Na kilkunastu kościołach, zamienionych na cerkwie unickie bądź prawosławne, wybudowano kopuły (przykładem Brody), na wieżach nasadzono baniaste zwieńczenia niezgodne ze stylem obiektu, usunięto zabytkowe i cenne artystycznie elementy wystroju – rzeźby (kościół św. Elżbiety we Lwowie!), polichromie, ołtarze, nie mówiąc o pomnikach (jak nagrobek gen. Dwernickiego z kościoła Karmelitów we Lwowie), epitafiach.

Ze strony polskiej – cisza. Nie reagują ani odpowiednie instancje z RP (to znaczy Warszawy) i towarzystwa kresowe, ani towarzystwa polskie zza kordonu.. A przecież wielokrotnie donosiły o tym krajowe media (głównie prasa). I my – do wiadomości naszego środowiska o tym pisaliśmy.

Na ten problem zwracamy uwagę Federacji Organizacji Polskich nU. i ZG Towarzystwa Kultury Polskiej ZL. Dobrze

rozumiemy, że organizacje polskie w mniejszych miejscowościach nie czują się na siłach, by reagować, powinny jednak zgłaszać zagrożenia swoim jednostkom nadrzędnym, podobnie jak to czynią Ukraińcy w RP. Wypadałoby ponadto przedstawić problem resortom kultury oraz władzom kościelnym obu państw.

Kronika

◆ W Krakowie z końcem marca obchodzono uroczyste 70. urodziny **Andrzeja Kurylewicza**, znakomitego jazzmana, pianisty, kompozytora muzyki poważnej. Pamiętamy jego udział w koncercie *Homagium Leopoli* w Filharmonii Krakowskiej w listopadzie 1994 r. – odegrano wtedy utwór *Serenata Leopolitana per archi* (patrz CL 1/95). Kurylewicz urodził się i spędził dzieciństwo we Lwowie, po ekspatriacji znalazł się w Gliwicach. Studia muzyczne i pierwsze lata działalności zawodowej i twórczej przypadły na Kraków, potem osiadł w Warszawie.

Spotkanie urodzinowe z udziałem tłumu fanów i przyjaciół odbyło się w gmachu Radia Kraków. Kurylewicz i młodzi muzycy z Krakowa i Warszawy grali jego utwory, żona jubilata Wanda Warska opowiadała i śpiewała, ich córka Gabriela Kurylewicz recytowała zaś swoje wiersze. Spotkanie uświetniła Teresa Budzisz-Krzyżanowska recytując wiersz Norwida. Na apel pani Wandy sala odśpiewała za zdrowie chorego w tym czasie prezydenta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego – *O mój rozmarynie...* Lwów wspomniano kilkakrotnie, a na zakończenie Warska zaśpiewała swój utwór, który niebawem przedstawimy.

I myśmy tam byli, miód i wino pili...

◆ W kwietniu odbyło się w Krakowie XII Seminarium pod nazwą **Potrzeby kulturalne dzieci polskich na Wschodzie**, organizowane corocznie przez Centrum Młodzieży im. dr. H. Jordana. Z głównymi referatami wystąpili ks. Mieczysław Maliński – o dzieciństwie Kresów, i ks. Józef Wołczański – o losach kościołów na Wołyniu (obaj prelegenci z lwowskim rodowodem). Były też występy teatralne i chóralskie oraz wystawa prac z konkursu literackiego i plastycznego dla dzieci pt. *Miejsce mojemu sercu najbliższe*.

stał tu przeniesiony z kościoła zamkowego cudowny obraz Matki Boskiej, malowany na płycie metalowej w stylu bizantyńskim. Cerkiew pw. św. Mikołaja, drewniana, z 1691 r.

Ratusz, ufundowany w 1811 r. przez Izabelę Lubomirską, zamieniony na muzeum krajoznawcze.

Dworki szlacheckie z gankami dwu- i czterosłupowymi oraz dachami mansardowymi.

Czasy obecne. Kościół farny, obecnie pw. śś. Piotra i Pawła, przywrócony do kultu w 1993 r. Według spisu z natury w r. 1989 w Brzeżanach żyło 53 Polaków.

KRAKOWIEC

Położenie. Miasteczko w pow. jaworowskim, wojew. lwowskim, 18 km na zachód od Jaworowa (tam najbliższa stacja kolejowa). Położone nad rzeczką Szkło; najwyższy punkt – wzgórze Morańce – 248 m npm. Parafie rz.kat i gr.kat. na miejscu.

Historia. Początkowo Krakowiec wchodził w skład dóbr królewskich starostwa przemyskiego. W 1423 r. Władysław Jagiełło nadał wieś rodzinie Fredrów. W 1425 r. miejscowość zyskała status miasta na prawie magdeburkim (potwierdzonym w r. 1528). Parafia powstała wraz z założeniem miasta. Do lat 80. XVIII w. istniało w Krakowcu kolejno kilka drewnianych kościołów. Jeden z nich zbudował prawdopodobnie w XVI w. Stanisław Fredro, a następnie zamienił na zbór ariański. Katolicy odzyskali go dopiero w 1604 r. Na przełomie XVI/XVII w. należał Krakowiec do ks. Aleksandra Ostrońskiego, a następnie do Belżeckich. Przez małżeństwo Anieli Belżeckiej z Józefem Cetnerem na okres trzech pokoleń stał się własnością jego rodziny. Ostatni z Cetnerów, Ignacy, w 2. poł. XVIII w. urządził pańską rezydencję w pałacu, nie wiadomo, czy przez siebie wybudowanym, czy odziedziczonym. Przy pałacu, na obszarze 60 morgów, założył ciesząc się ówczesnie sławą ogród, wzorowany na zagranicznych, obsadzony rzadkimi i egzotycznymi roślinami. Autorem projektu był znany francuski ogrodnik Franciszek Tacher de la Pagerie. Po śmierci I. Cetnera majątek przeszedł na jego jedyną córkę Annę, wtedy żonę księcia Karola Lotaryńskiego. W 1813 r. Anna założyła w Krakowcu zakład dla chorych, zatwierdzony przez Namiestnictwo w 1856 r. Po bezpotomnej śmierci ks. Anny dobra jej dostały się księciu Adamowi Lubomirskiemu, który w 1890 r. odstąpił je Kazimierzowi Łubieńskiemu. Ostatnią właścicielką

Należy się wdzięczność dyrektorowi CM dr. Antoniemu Weyssenhoffowi oraz organizatorce seminariów p. Irenie Jasickiej za wieloletni już trud przygotowywania i prowadzenia spotkań pedagogów i wychowawców polskiej młodzieży, których praca w warunkach państw za wschodnim kordonem wymaga ogromnego poświęcenia.

◆ W maju czynna była w Warszawie wystawa, która przypominała **lwowskiego malarza Marka Włodarskiego** (właściwe nazwisko Henryk Streng), urodzonego w 1903 r. we Lwowie, zmarłego w 1960 r. w Warszawie. Pokazano 170 z 2 tysięcy skatalogowanych prac. Włodarski rozpoczął swoje studia artystyczne w 1920 r. w pracowni K. Sichulskiego przy Szkole Przemysłowej przy ul. Snopkowskiej. W 1924 r. znalazł się w Paryżu, czas jakiś spędził w pracowni wielkiego F. Legera. Po powrocie do Lwowa związał się z grupą „Artes”.

W czasie okupacji niemieckiej ukrywał się przed gettem. W 1944 r. wyjechał do Warszawy, wziął udział w Powstaniu. W Warszawie pozostał do końca życia.

Twórczość Włodarskiego ulegała przemianom. Z grupą „Artes” uprawiał surrealizm. Po II wojnie oddał się socrealizmowi, a w późniejszych latach przeszedł na malarstwo abstrakcyjne.

◆ W Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie otwarto z końcem marca wystawę **fotografii Kazimierza Wiecha** pt. *Kościół Lwowa*. Otwarcie poprzedziła demonstracja kilkudziesięciu przeźroczy z szerokim i barwnym omówieniem przez autora.

Kazimierz Wiech jest profesorem Akademii Rolniczej w Krakowie, specjalistą z zakresu ochrony roślin. Urodzony w Krakowie, wywodzi się z rodziny lwowskiej. Ziemię przodków odwiedza często i jej piękno – zabytkom i krajobrazowi, ze Lwowem i wschodnimi Karpatami na pierwszym miejscu – poświęca w dużej mierze swoją twórczość fotograficzną.

◆ W Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” w Krakowie otwarto wystawę **obrazów Danuty Jasińskiej**, która w latach 70. przeniosła się ze Lwowa na tę stronę kordonu. Jest absolwentką UJ, a jako malarka – amatorka, tworzy realistyczne pejzaże. Recenzent z „Dziennika Polskiego” (AN) zauważył, iż wraz z wystawą *zagościł tam kawałek lwowskiej duszy nieokiełznanej*. Hm...

◆ Z końcem maja odbyły się – jak co dwa lata – **Dni Lwowa w Krakowie** (na zmianę z dniami Krakowa we Lwowie). Program, znany nam z prasy, był skromniutki. Mer Lwowa Lubomir Buniak napisał w okolicznościowym prospekcie: *Prezentacja zdobyczy kulturalnych najlepiej ilustruje to, czym żyje nasze prastare miasto. Te zdobycze śpiewają Lwowowi majestatyczny hymn...* Zapewne jedną ze zdobyczy był obraz „U lichwiarza” G. de la Tour ze zbiorów Lwowskiej Galerii Obrazów, pokazany w Zamku na Wawelu.

◆ W połowie czerwca przebywał w Krakowie i wystąpił w kościele ss. Norbertanek Polski Chór Dziecięcy „**Nadzieja**” z **Kaluża**. Sponsorem wizyty pod Wawelem śpiewającej młodzieży z Łomnicy była krakowska „Wspólnota Polska”.

Książki czasopisma internet

Nowe książki

📖 Książce **Joanny Siedleckiej** – **Pan od poezji. O Zbigniewie Herbercie** (wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2002) poświęcamy osobny artykuł w tym numerze, pióra Ireneusza Kasprzysia.

Przypomnijmy, że na prośbę autorki dwukrotnie zamieściliśmy w naszym kwartalniku (S/99 i 2/2000) apel do osób, które znały Poetę, o nadsyłanie wiadomości i świadectw o nim, zwłaszcza z lat lwowskich i krakowskich.

📖 Ktoś ujął rzecz lapidarnie: Lwów był miastem *s u w e r e n n y m*. Miał wszystko, co było mu do życia potrzebne, od nikogo nie musiał zależeć, niczego od nikogo nie potrzebował, tak w gospodarce (miał nawet swoje kopalnie węgla między Krakowem a Górnym Śląskiem), jak i w kulturze (należał do grupy trzech czy czterech czołowych

stolic kulturalnych Polski, i to wcale nie na ostatnim miejscu). Mógł za to obdzielać inne miasta i całe regiony. Wcale się tym nie przechwalał, a *narcyzm* typu krakowskiego był mu obcy. Wiele razy o tym pisaliśmy – także i to, że dzisiejsza Polska (poza szlachetnymi jednostkami oczywiście) niepięknie odnosi się do pamięci o tym niezwykłym mieście oraz jego zdruzgotanej społeczności i spuścizny.

Książka **Barbary Maresz*** pt. **Ze Lwowa do Katowic. Przedwojenne księgozbiory lwowskie i kresowe w Bibliotece Śląskiej** (wyd. Biblioteka Śląska, Katowice 2002) – chociaż dotyczy zaledwie małego wycinka polskiej kultury – należy do takich, które przypominają, czym był w Polsce Lwów. Zacytujmy ustęp z pierwszego rozdziału (proszę się nie zrażać długością cytatu, są to jednak słowa dla nas ważne):

Lwów i Katowice – kresy wschodnie i zachodnie II Rzeczypospolitej. W latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia łączyły je więzy szczególne. Już u progu niepodległości, w czasie powstań i plebiscytu, właśnie lwowianie najwcześniej organizowali pomoc dla Śląska. We Lwowie działały: Komitet Obrony Kresów Zachodnich, Towarzystwo Przyjaciół Górnego Śląska, a na wiosnę 1920 r. uczniowie szkół średnich oraz studenci Politechniki Lwowskiej i Uniwersytetu Jana Kazimierza organizowali drużyny plebiscytowe.

Wraz z wybuchem III powstania śląskiego pomoc przybrała na sile. Już 4 maja 1921 r. Rada Miejska Miasta Lwowa na nadzwyczajnej sesji uchwaliła znaczną pomoc materialną dla Śląska. Zorganizowano wiele manifestacji, ufundowano sztandar powstańczy. Wreszcie prawie 400 lwowian wzięło udział w walkach. Wśród nich była grupa 25 chłopców z Korpusu Kadetów nr 1, którzy mimo zakazu władz zwierzchnich przedostali się na Śląsk. Również lwowiaci, studenci UJK – Roman Lutman i Olga Zarzycka, współredagowali oficjalne pismo Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych „Powstańiec”, a Leonard Kuntze (pracownik pocztowy ze Stanisławowa, organizujący na Śląsku od 1920 r. polską służbę łączności) był kierownikiem Powstańczego Zarządu Urzędów Poczтовых. Wielu lwowskich lekarzy i studentów medycyny pracowało w powstańczych szpitalach i sanitarnych kolumnach.

dóbr była do IX 1939 córka tegoż, Wiktoria, żona Franciszka Morawskiego.

Zabytki. Kościół parafialny pw. św. Jakuba Apostoła, ufundowany w 1785 r. przez Ignacego Cetnera, konsekrowany w 1854 r. Klasycystyczny, na rzucie prostokąta, fasada z portykiem o dwóch parach kolumn jońskich. W prezbiterium był nagrobek ks. Anny Lotaryńskiej. W jednym z trzech ołtarzy znajdował się obraz przedstawiający Ukrzyżowanie, przypisywany szkole Rubensa. We wrześniu 1939, podczas walk wojska polskiego z Niemcami, kościół wraz z całym wyposażeniem spłonął.

Rezydencja właścicieli, złożona z dwóch parterowych oficyn, pozostałych po rozbiórce pałacu w r.1835, z których prawa służyła za mieszkanie właścicieli, a lewa mieściła pokoje gościnne i pomieszczenia gospodarcze. Pod koniec XIX w. Kazimierz Łubieński dostawił do przednich elewacji obu oficyn głębokie portyki, a przy prawej, od tyłu, dobudował dużą salę, która służyła za letnią jadalnię. Całe wyposażenie obu oficyn zostało doszczętnie rozgrabione podczas I wojny światowej.

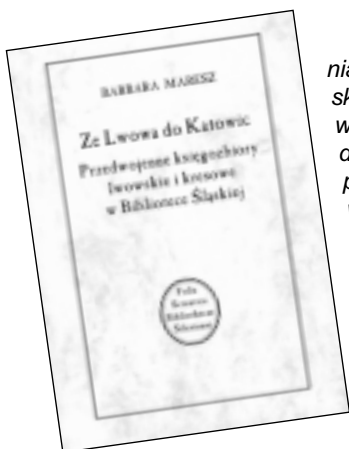
Czasy obecne. Książdz dojeżdża do Krakowca z Jaworowa. Funkcję kościoła pełni kaplica na miejscowym cmentarzu.

PODBUŻ

Położenie. Wieś w pow. drohobyckim, wojew. lwowskim, ok. 20 km na zach. od Drohobycza i ok. 25 km na płd. od Sambora. Położona nad rzeczką Bystrzycą Tyśmienicką (dopływem górnego Dniestru). Parafie rz.kat i gr.kat. w miejscu.

Historia. Najstarszy znany zapis dotyczący Podbuża w dokumencie króla Władysława Warneńczyka pochodzi z r.1439, w XVI–XVIII w. miejscowość była ośrodkiem tzw. krainy podbuckiej w ramach ekonomii samborskiej (Ziemia Przemyska). Pod koniec XVII w. wójtami byli w nim Tatomirowie, zaś w 1760 r. Antoni Tatomir był jego posesorem. Po rozbiorach był ośrodkiem tzw. państwa kameralnego, sprzedanego w ręce prywatne w latach 1860. W 2. poł. XIX w. pracował tu tartak, a w 1868 r. istniała fabryka wyrobów parafinowych, zatrudniająca 26 pracowników. W Podbużu urodził się Józef Dietl (1804–78), profesor medycyny i rektor UJ, w latach 1866–74 prezydent Krakowa.

Zabytki. Kościół parafialny pw. św. Jana Chrzciciela, murowany, wybudowany w 1861 r., zdeformowany przebudową po likwidacji parafii w r.1948. Obecnie znajduje się tam m.in. warsztat malarski. Cerkiew drewniana.



Sukces III powstania śląskiego i odzyskanie niepodległości w 1922 r. sprowadziły do Katowic kolejnych przybyszy z kresów wschodnich. Wzięli oni czynny udział zwłaszcza w organizacji życia naukowego i kulturalnego. Prawie wszystkie ważniejsze organizacje naukowe i kulturalne Górnego Śląska swój rozwój, a czasem i powstanie, zawdzięczały szczególnej pomocy, jaka napływała z drugiego krańca Polski. Mimo znacznej odległości to właśnie Lwów miał często większe zasługi dla rozwoju śląskiej humanistyki w dwudziestoleciu międzywojennym niż położone bliżej Kraków czy Warszawa. [Autorka wymienia wielu najważniejszych ludzi nauki i kultury ze Lwowa, którzy szczególnie zasłużyli się w pierwszych latach niepodległości dla rozwoju życia polskiego na Śląsku].

Jak widać, udział lwowian w organizacji życia naukowego i kulturalnego Górnego Śląska w dwudziestoleciu międzywojennym był olbrzymi, a kontakty między kresami południowo-wschodnimi i zachodnimi życzliwe i serdeczne. W Katowicach przyjmowano obrońców Lwowa, działało Koło Lwowian, które organizowało imprezy artystyczne i charytatywne, często pod protektoratem wojewody Michała Grażyńskiego i marszałka Konstantego Wolnego. W dziesiątą rocznicę Obrony Lwowa Sejm Śląski wysłał telegram gratulacyjny i uchwalił rezolucję, w której czytamy: „Sejm Śląski świadomy doskonałości posterunków kresowych dla całości i bytu Państwa, zasyła serdeczne pozdrowienia oraz życzenia, aby przykład Lwowa świecił długim jeszcze pokoleniom i aby chlubna pamięć dokonanych we Lwowie czynów pozostała na zawsze dla całej polskiej młodzieży wzorem, tak jak dziś miasto Lwów jest dla Polski całym symbolem czynu i wiary w świetlaną przyszłość narodu. [...]”

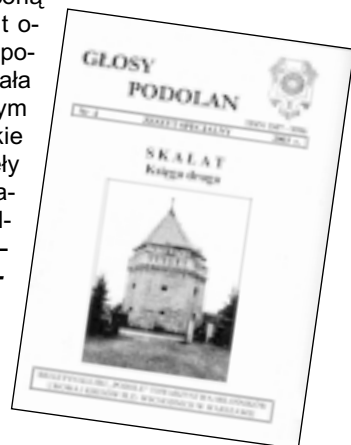
Dziękujemy Autorce za te słowa rzadko dziś uświadamianej prawdy.

Książka omawia księgozbiory i książki, które napłynęły ze Lwowa do Biblioteki Śląskiej – głównie z Ossolineum – przed i po II wojnie. W pierwszych ośmiu rozdziałach przedstawiła Autorka głównych donatorów. Było to zarówno samo Ossolineum, które przekazywało liczne dublety, jak i właściciele księgozbiorów prywatnych. Najważniejszymi byli: ostatni dyrektor ZN im. Ossolińskich **Ludwik Bernacki**, który przekazał do Katowic część swego księgozbioru, jak również dublety z prywatnej biblioteki prof. **Oswalda Balzera** (†1933), oraz **Józef Brodowicz** z Krakowa (ale urodzony pod Kałuszem), który ofiarował swój księgozbiór do Ossolineum, a po II wojnie trafił on do Katowic. Osobnym zespołem są doraźne dary różnych osób, bibliotek i wydawnictw ze Lwowa oraz lwowskie zakupy BŚ.

Druga część książki to *aneks* (prawie 230 stron!), obejmujący spis książek z kolekcji owych trzech uczonych i zbieraczy, które znalazły się w Bibliotece Śląskiej.

* Barbara Maresz, dr nauk hum. UJ w zakresie historii teatru. Pracuje w Bibliotece Śląskiej w Katowicach, gdzie zajmuje się przede wszystkim unikatowym zbiorem dawnych egzemplarzy teatralnych z biblioteki Teatru Lwowskiego. Przygotowuje na ten temat nową książkę. Wcześniej była współautorką (wraz z M. Szydłowską) książki pt. *Repertuar Teatru Polskiego we Lwowie 1886–1894* (1993) i autorką książki *Występy gościnne w teatrze polskim. Z dziejów życia teatralnego Krakowa, Lwowa i Warszawy* (1997).

📖 W CL 2/01 omawialiśmy książkę – ściślej zeszyt specjalny „Głosów Podolan” 1/2000 – poświęconą w całości **Skalatu** w i. I oto – dzięki powodzeniu, jakie miała ta książka, i nowym materiałom, jakie w odzewie napłynęły do wydawców – ukazał się teraz jej dalszy ciąg: **Skalata – czas pokoju i wojny. Wspomnień księga druga**, potraktowana podobnie jak tamta – jako




zeszyt specjalny „Głosów Podolan” 4/2003. Tom zredagowali: **W. Barczyk, A. Gołębiowski, E. Łańcucki, E. Pietraszyn, J. Stopa, W. Wyrozumski.**

Teksty są różnorodne: książkę – po wstępie i listach czytelników – otwiera rys historyczny Skąlatu, o który upomnieliśmy się omawiając pierwszy tom (dziękujemy!). Dalsze materiały to wspomnienia z lat międzywojennych i z okresu II wojny, ale także z czasu teraźniejszego. Redaktorzy okazali się wielkoduszni, bo wydrukowali m.in. tekst zatytułowany *Skąfat w oczach współczesnego mieszkańca*, lecz nie Polaka. I jednoznacznie antypolski.

Jest jeszcze o kilku okolicznych miejscowościach i o obchodzeniu świąt. Przypomniano poetkę Kazimierę Zawistowską. Są wspomnienia skałackich Żydów oraz rozszerzony *Indeks* dawnych mieszkańców Skąlatu i okolic.

Na końcu zamieszczono słowniczek wyrazów gwarowych z tamtych okolic – i tu wstrząsnęło nami kilka wyjaśnień: b o r ó w k a to niby „czarna jagoda”, c w i b a k to „keks”, c h o c h l a – „łyżka wazowa”, g r y s i k – „kaszka manna”. Drodzy Skąlatczanie! Czy już tak przesiąkliście Warszawą, że nasze południowopolskie (a w tym wschodniomałopolskie) wyrazy musicie tłumaczyć na warszawski żargon?

I to są jedyne *skazy* w tym doskonałym wydawnictwie. Pytanie do Redakcji „Głosów Podolan”: Czy nie dałoby się podobnych tomików opracować dla innych jeszcze miast i miasteczek Tarnopolszczyzny? Kilka z nich pozyskało już wspomnienia, a pozostałe? Śpieszmy się, czas ucieka.

 **Jerzy Kowalczuk**, geofizyk, emerytowany profesor krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, pierwszy prezes Oddziału TMLiKPW w Krakowie, lwowianin urodzony w Kulikowie – staje się dziś czołowym znawcą i monografistą lwowskiego szkolnictwa. Niedawno opisywaliśmy w CL jego dwie książki o historii polskiej geofizyki, w których sporo o lwowskich i wschodniomałopolskich naukowcach i placówkach geofizycznych, parokrotnie notowaliśmy zeszyty wydawanych przezeń „Informacji”, poświęcone lwowskim gimnazjom.

A teraz dwie kolejne księgi: ***Wyższa Szkoła Realna we Lwowie i jej przekształcenia*** (Kraków 2002) oraz ***II Szkoła Realna***

STEBNIK

Wieś w pow. drohobyckim, wojew. lwowskim, 8 km na pld.wsch. od Drohobycza. W latach międzywojennych liczyła ok. 2,5 tys. mieszkańców. Znajdują się tu eksploatowane do II wojny światowej źródła solanki i pokłady soli potasowej. Produkowano sól kuchenną oraz sól dla bydła. Zwany niegdyś Izdebnikiem, stanowił pierwotnie wieś królewską. W źródłach pisanych pojawia się w 1433 r., gdy Władysław Warneńczyk dokonał zapisu na rzecz Włodka ze Świemic, a w 1440 r. zezwolił mu na przeniesienie wsi na prawo niemieckie i ustanowił go sołtysiem. Od XVI wieku istniała tu żupa solna. W poł. XVII w. stanowił częściowo własność rodziny Ustrzyckich, w XIX w. własność rządową. Kościół pw. bł. Kingi został zbudowany w 1894 r., a po II wojnie światowej użytkowany jako sklep warzywny, na przełomie lat 80/90. zamieniony na cerkiew i całkowicie przebudowany.

W Stebniku urodził się Juliusz Leo (1861–1918), profesor skarbowości na UJ, a od roku 1901 najpierw wiceprezydent, potem przez trzy kadencje prezydent Krakowa.

Zawsze nam życzliwym i miłym Paniom

JADWIDZE z Małachowskich CZECZÓTKO

z PTG „Sokół” w Krakowie

i

MAŁGORZACIE z Szewczyków KOZŁOWSKIEJ

redaktorce naczelnej „Przeglądu Sokolego”

oraz Ich Mężom

składamy serdeczne gratulacje
i najlepsze życzenia z okazji Ich ślubów.

Oddział Krakowski
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
oraz Redakcja CRACOVIA-LEOPOLIS

we Lwowie (Kraków 2003). Co więcej, dowiadujemy się ze strony tytułowej, że jest to tom I, części A i B *Historii szkolnictwa, oświaty i wychowania na ziemiach odłączonych II Rzeczypospolitej – Kresach Południowo-Wschodnich*, oraz że dalsze części tomu I poświęcone będą kolejnym średnim szkołom lwowskim: C – XI Państwowemu Liceum i Gimnazjum im. Śniadeckich i D – XII jw. im. Szczepanowskiego.


Już pierwsza część (A) dokonanej pracy zadziwia: tom o 380 stronach z nieprawdopodobną ilością informacji o historii i programach, o pedagogach i uczniach. Mało tego – na początku książki podano spisy wszystkich wyższych i średnich szkół lwowskich w różnych okresach, załączono wiele fotografii i reprodukcji dokumentów. Wszystko to zostało wykonane nie na zamówienie, lecz z potrzeby serca, wydane własnym sumptem jako kserograficzna reprodukcja wydruku komputerowego.

Właściwa treść księgi rozpoczyna się od rozdziału *Plany, ilustracje, reprodukcje*. Zilustrowano na planie miasta kolejne siedziby omawianej WSR – pierwszą z nich był gmach lwowskiego ratusza! Potem następuje seria fotografii wybitnych uczniów, i to niebylejakich. Wśród nich Eugeniusz Romer, Teodor Axentowicz, Rudolf Indruch, Jan Parandowski, Feliks Wygrzywalski. Kolejny, najważniejszy rozdział to *Curriculum vitae Szkoły*: kalendarium, spisy grona nauczycielskiego i uczniów w kolejnych latach oraz multum innych informacji. Na końcu aneksy i indeksy.

Części B nie mieliśmy w rękach, ale widzieliśmy, że jest równie obszerna. Te książki niech będą wzorem dla innych autorów podobnych monografii.

Nasza wiedza o szkolnictwie lwowskim i wschodniomałopolskim poszerza się więc chwalenie. Przed kilku laty otrzymaliśmy dwie ogromne książki o Politechnice Lwowskiej. W 1996 r. wydano we Lwowie – w 180. rocznicę założenia – historię szkoły im. św. Marii Magdaleny we Lwowie. Niedawno ukazała się obszerna monografia Zakładu w Chyrowie (ze słownikiem uczniów, omawialiśmy w CL 1/01). W Krakowie panie Emilia i Zofia Fedyk przygotowują materiały do dziejów Gimnazjum im. Królowej Jadwigi, a prof. Tadeusz Łodziana w Warszawie – Instytutu Sztuk Plastycznych we Lwowie. Nie wątpimy, że w innych miastach RP wiele osób pracuje nad lwowskimi uczelniami oraz nad szkołami w Stani-

stawowie, Tarnopolu, Drohobyczu, Samborze, Stryju, Brzeżanach, Kołomyi lub Żółtkwi. I dzieciątkach innych. Należałoby sobie życzyć, by historycy z którejs z Wyższych Szkół Pedagogicznych zechcieli to zebrać, a luki wypełnić. Bo to były świetne szkoły.

 Nazwisko **Jadwigi Dabulewicz-Rutkowskiej**, zamieszkałej od czasu ekspatriacji we Wrocławiu, nie było nam w Krakowie znane. Niedawno dopiero dotarły do nas jej wspomnienia: **Poezja, proza i dramat. Pamiętnik nastolatki. Lwów 1939–1941** (wyd. Atla 2, Wrocław 1998). Wiemy, że to nie jest jedyna książka tej autorki, ale o pozostałych na końcu.


Urodziła się daleko – w Suwałkach. Ojciec, oficer, został wykładowcą w Korpusie Kadetów we Lwowie i rodzina osiadła w jego pobliżu – w blokach na Wulce. Ten punkt stał się centrum wszystkich opisywanych w książce wydarzeń. Przed wojną uczęszczała autorka do gimnazjum Królowej Jadwigi (jedną z jej profesorek była p. Izidora Dąmbska, po wojnie filozof, profesor w Krakowie). W chwili wybuchu wojny miała 15 lat, jednak szybkiemu osiągnięciu dojrzałości sprzyjały nienaturalne warunki, jakie nastąpiły, odejście ojca z polskim wojskiem, a w końcu kłopoty z żydowską rodziną, którą sowiecka władza im narzuciła jako sublokatorów.

Książka jest pełna opisów niezwykłych (choć powszechnych) incydentów z domu, ze szkoły, z ulicy, sklepów – owo charakterystyczne zderzenie prywatności z wszechogarniającą przemianą warunków i stylu życia. W miarę dorastania pojawiają się dziewczęce flirty, z drugiej zacieśniająca się pętla sowieckiego zniewolenia, pierwsze wywózki.

Wspomnienia Jadwigi Dabulewiczówny nie wyróżniają się nadzwyczajnymi walorami literackimi, jednak jej szczegółowe relacje o życiu ludności polskiej w nieprawdopodobnej wręcz rzeczywistości wojenno-sowieckiej, czynią z tej książki bardzo wartościowy dokument dla historii Lwowa tamtego czasu. Opowiadania Dabulewicz-Rutkowskiej są mocno osadzone w lwowskich realiach: topografii i społeczności. Znajdujemy tam mnóstwo nazwisk, które wzbogacają nasz Indeks Wschodnich Małopolan.

Jadwiga Dabulewicz-Rutkowska wydała ponadto:

- *W Polsce i na Litwie. Szalone lato 1939* (wyd. 2000)
 - *Miejsce na Ziemi. Lwów 1941–1942* (2000)
 - *Walka z wiatrakami* (2001). Książka dotyczy okresu ekspatriacji i studiów w Gliwicach.
- Wszystkie trzy wydane przez „Atla 2” we Wrocławiu. Niestety ich nie znamy.

 Pierwszego wydania wspomnień **Mieczysława Opałka – Ze wspomnień lwowskiego bibliofila** (1960) nie mogliśmy odnotować w naszym kwartalniku, ponieważ ten zrodził się w 35 lat później. Nie mamy możliwości omawiania dawniejszych pozycji, nawet najciekawszych, bo ledwie nadążamy z aktualnymi (to dobrze, że jest tego dużo, prawda?) Doskonałą okazją jest więc druga edycja (wyd. „Mitel”, Rzeszów 2001).

Pamiętamy, kim był Mieczysław Opałek: urodzonym (1881) fanatycznym lwowianinem, znakomitym bibliofilem, poetą, autorem publikacji z dziedziny historii kultury, obyczajów, szkolnictwa i wiedzy o książce. A przy tym wszystkim był jeszcze pedagogiem, dyrektorem szkoły św. Marii Magdaleny. Po wygnaniu osiadł w Nowym Sączu i tam zmarł (1964).

Wspomnienia – jak wskazuje tytuł – obracają się wokół książki – zbieractwa i miłośnictwa, lwowskich księgarni i antykwariatów, wydawnictw bibliofilskich, a wreszcie licznych i ciekawych spotkań – bardziej i mniej oficjalnych, obfitujących w anegdoty. Do 2. wydania dołączono noty biograficzne bibliofilów i antykwariuszy, głównie lwowskich, ilustracje – fotografie i druki bibliofilskie, a wreszcie wierszyki, dedykowane książce i przyjaciółom.

Warto przypomnieć przy okazji, że w 1994 r. krakowskie Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW urządziło w Bibliotece Jagiellońskiej wystawę czterech najważniejszych lwowskich bibliofilów okresu przedwojennego: Franciszka Biesiadckiego, Rudolfa Mękickiego, Mieczysława Opałka i Aleksandra Semkowicza. Po otwarciu wystawy odbyło się spotkanie z potomkami tych czterech zbieraczy. Niestety ich wypowiedzi nie nagrano na taśmie. Przepadło – już nie do naprawienia!

Irena Suchanek (IS),
Maria Klara Bohomolec

Jest co czytać

GŁOS Z LONDYNU (1)

W swojej nowej i w tym numerze omawianej książce pt. *Lwów w pamięci i fotografii* Tadeusz Riedl zamieścił takie zdania:

Z czasopism lwowskich zupełnie wyjątkową pozycję zajmują najstarsze, bo mające już ponad 40 lat „Lwów i Kresy”, wydawane w Londynie przez Koło Lwowian, początkowo noszące tytuł „Biuletynu”. W 2001 r. wydano tom XL (zeszyty nr 89 i 90). Na szczególną uwagę zasługuje też cieszące się dużym uznaniem poważnie krakowskie czasopismo „Cracovia–Leopolis”, reprezentujące wysoki poziom merytoryczny. Dobrze znane jest wrocławskie „Semper Fidelis”, które ukazuje się od 1990 r.

Cytat ten podaliśmy właściwie z dwóch powodów. Po pierwsze: bo wskazuje iż m a t k a wszystkich powojennych czasopism południowo-kresowych jest londyński półrocznik tamtejszego Koła Lwowian. Po drugie – tak przy okazji i bez związku z naszym właściwym tematem – bo trudno ukryć, że opinia Autora o CL sprawiła nam przyjemność. Dziękujemy. „Lwów i Kresy” – to już cała historia, która zaczęła się przed 40 laty. Wtedy nie śniło się nam, że w trzy dziesiątki lat później narodzi się w Kraju parędziesiąt periodyków, poświęconych zabranej Ziemi, a i tam, za jałtańskim kordonem, ukaże się kilka wolnych polskich czasopism*.

Jedynym więc organem lwowskiej diaspory przez prawie lat 30 był „Biuletyn Koła Lwowian”. Jego pierwszy numer ukazał się w czerwcu 1961 r., w rok po zawiązaniu się w Londynie Koła Lwowian. Warto przypomnieć, że członkami-założycielami tej pierwszej po wojnie organizacji lwowiaków byli:

dr Stanisław Ostrowski, prezydent RP
na wychodźstwie, ostatni przydenty m. Lwowa
dr Stefan Mękarski
mgr Stanisław Kozioł
mgr Adam Treszka
mgr Marian Brzezicki
płk (potem generał) Stanisław Kuniczak
prof. Antoni W. Jakubowski
inż. Stanisław W. Szczepanowski
płk Tadeusz A. Wasilewski
doc. Zdzisław Stahl
Józef Petrykiewicz



Pierwszym redaktorem naczelnym „Biuletynu” był Marian Brzezicki, a jego najbliższymi współpracownikami i autorami dużej części tekstów – artykułów, relacji i wiadomości – byli wymienieni wyżej aktywiści Koła Lwowian. Nadchodziły również materiały z Kraju (do lat 80. przeważnie

niepodpisane) – tu godzi się wymienić przede wszystkim dra Tadeusza Krzyżewskiego, osiadłego w Krakowie. Do Kraju trafiały nieliczne, przemycane egzemplarze.

Szata graficzna „Biuletynu” była wtedy skromna – najpierw odbijano na powielaczku, potem drukowano z maszynopisu. Nie było wszak żadnych dotacji – opierano się wyłącznie na ofiarności rozproszonych po świecie lwowiaków. Z czasem pojawił się lepszy druk, okładki na błyszczącym kartonie, a od lat 90. kolorowe.

W 1988 r. tytuł biuletynu zmieniono na „Lwów i Kresy” i stał się on kwartalnikiem, ponieważ zaczęło napływać więcej materiałów z Kraju. I odwrotnie: większa liczba egzemplarzy szła odtąd do Polski via Wrocław.

O czym pisano przed latami dziewięćdziesiątymi? Najwięcej oczywiście o Lwowie przedwojennym – tym zapamiętanym, mniej (co zrozumiale) o powojennym; o jego urodzie i tradycjach, o instytucjach i zabytkach, o lwowiakach. Dużo miejsca naturalnie poświęcano II wojnie: o wrześniu '39, o bitwach oraz ich bohaterach i ofiarach, o trzech okupacjach i deportacjach, o łagrach i łagrach oraz różnych losach powojennych. Pamiętajmy, że właśnie wydawcy i autorzy pisma znaleźli się w sytuacji nieoczekiwanej: wolni, ale odcięci od ojczyzny, domów, rodzin...

Wracano też do przeszłości: do wielkich wydarzeń historii i Obrony Lwowa 1918 i 1920, do nadziei brutalnie utraconej po dwudziestu latach. Niemało pisano o relacjach polsko-ukraińskich przed, w czasie i po II wojnie – to temat ważny, bo w PRL znano jedynie *druzbę narodów*, a o zbrodniach sowieckich i ukraińskich „nie słyszano”. Re-

daktorzy zawsze byli wyczułeni na sytuację polityczną – ich szczególna sytuacja wszak to narzucała – dlatego w kolejnych rocznikach pisma obserwujemy odbicie zmieniającej się sytuacji na świecie, widzianej przez pryzmat tamtej Polski, a Lwowa przede wszystkim.

Biuletyn był (i jest) organem Koła Lwowian, sporo więc miejsca na jego łamach zajmowały (tak – w czasie przeszłym, bo i tam lata zrobiły swoje!) dokumenty życia i działalności tej emigracyjnej wspólnoty lwowskiej, ale i lwowskiej diaspory z całego świata. Dawano więc sprawozdania ze spotkań, uroczystości, przedstawień, występów zespołów i wspaniałych artystów, którzy znaleźli się w Anglii po najgorszej z wojen.

W latach 90. pojawił się szerszy zakres problematyki współczesnej Lwowa i ekspatrianckiej w III RP. Wielu autorów z Polski zaczęło nadsyłać teksty do londyńskiego pisma, korzystano również z publikacji w krajowych czasopismach *kresowych*. Także z „Cracovia–Leopolis”. Równocześnie jednak – ale to zapewne z powodów pozamerytorycznych – pismo stało się znów półrocznikiem.

Kolejnymi redaktorami naczelnymi po M. Brzezickim byli: Józef Baraniecki i Jadwiga Treszkowa, a obecnie jest nim (od 1995) Mieczysław Hampel.

Bezlitosny upływ czasu sprawia, że większość działaczy środowiska emigranckiego w Anglii odeszła już od aktywności społecznej. Dotyczy to niestety również londyńskich lwowiaków, publicystów i czytelników pisma „Lwów i Kresy”. Trudno więc oczekiwać, by pismo to było takie same, jakie pamiętamy z najlepszych dziesięcioleci. Dziś staje się już raczej przekązką publikacji z pism krajowych, w tym lwowskich. Czy to źle? Bynajmniej. Czytelnicy za granicą, do których nie docierają piśma ze Lwowa, Wrocławia, Krakowa czy Warszawy zyskują w ten sposób szansę poznawania problemów dnia dzisiejszego oraz ciągle poszerzane i pogłębiane



studia nad przeszłością polskiego Lwowa i Małopolski Wschodniej.

Na końcu mała pretensja do redakcji LiK, ale zarazem wniosek: coś za coś. Z naszej strony dochodzą do Was bogate materiały, o których była mowa wyżej. Od Was oczekivalibyśmy informacji o sprawach, których tu prawie albo całkiem nie znamy. Przecież Londyn nie jest jedynym – choć najważniejszym miejscem, gdzie lwowiacy się organizowali. Była jeszcze Ameryka – USA i Kanada, Australia – o tym wiemy, ale powierzchownie. Niewykluczone, że jakaś aktywność była we Francji (mamy na myśli pozytywną aktywność, a nie *giedroyciowską*), w Ameryce Południowej, a może i w południowej Afryce? Któż, jak nie Wy, może o tym więcej wiedzieć? Mielicieście zapewne (a może macie nadal) kontakty, wymienialiście korespondencję i publikacje. Warto by zrobić z tego jakiś materiał (przynajmniej jednorazowy, ale lepiej wieloodcinkowy) – dla nas wszystkich i dla Historii.

Elżbieta Mokrzyńska

* wolnych – nie typu „Czerwonego Sztandaru”, który, bądźmy sprawiedliwi – choć sowiecka gadzinówka – i tak w jakiejś mierze spełniał pozytywną rolę, bo niósł słowo polskie, w sensie języka oczywiście, nie ducha. Ale i to było wtedy ważne.

Wertując wydawnictwa

➔ W CL 1/03 Barbara Czałczyńska pisała w swoim felietonie o Marii Jaremiance, a w tym numerze pisze o jej mężu Kornelu Filipowiczu. O nich obojgu, o całym starsamborskim klanie Jaremów (dr praw Józef Jarema, rodem z Drohobycza; jego żona Stefania ze Śmigielskich z Monasterzysk, pianistka, uczennica Karola Mikulego we Lwowie; ich ośmioro nieprzeciętnych dzieci) i jeszcze o wielu innych ciekawych sprawach można przeczytać w książce pt. **Maria Jarema, wspomnienia, zapiski i komentarze**. Zredagował zebrane teksty różnych autorów **Józef Chrobak**, a wydało Stowarzyszenie Artystyczne „Grupa Krakowska” (Kraków 2001).

Pamiętamy, że Maria Jaremianka pochodziła ze Starego Sambora, a Kornel Filipowicz z Tarnopola. Większą część życia spędzi

dzili jednak w Krakowie, tu byli najbardziej znani i tu zmarli.

Na koniec, co dla nas ciekawe, w książce zamieszczono spis członków Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków, w tym prawie 50 nazwisk artystów lwowskich (tylko w Krakowie było więcej).

➔ „Gazeta Wyborcza” (2–4 V 03) zamieściła obszerny artykuł Karla Dedeciusa, wybitnego tłumacza literatury polskiej na j. niemiecki (urodzonego w Łodzi) – o **Stanisławie Lecu**, poecie, znanym w latach powojennych znakomitym autorze aforyzmów.

Lec (1909–66, właściwe nazwisko Letz de Tusch) urodził się we Lwowie w bankierskiej rodzinie pochodzenia żydowskiego (mieli majątek ziemski na Podolu), blisko związanej z Austrią. W 1934 r. przeniósł się do Warszawy, ale – jak pisze autor – *po wybuchu wojny Lec znów znalazł się we Lwowie. Kiedy w 1941 r. weszły tam wojska niemieckie, został aresztowany i umieszczony w obozie koncentracyjnym w Tarnopolu*. Udało mu się jednak uciec, wstąpił do AL. Po wojnie wyjechał do Izraela, ale po dwóch latach wrócił do Polski. Kolejne lata to pasmo sukcesów literackich.

Nie ujmując Lecowi talentu i osiągnięć, nie można jednak przeoczyć ciemnych stron jego twórczości, które Dedecius – z dyskrekcji, a może przez nieświadomość – pominał. Oto w okresie sowieckim 1939–41 we Lwowie Lec napisał parę obrzydliwych utworów na cześć Stalina i Związku Radzieckiego. Potem, nawet za PRL-u, się tym nie chwalił.

➔ „Gazeta Wyborcza” (31 V – 1 VI '03) obdarzyła nas kolejną porcją artykułów o „**sprawie wołyńskiej**” (Małopolska Wschodnia oczywiście przemilczana), gdzie obok dwóch tekstów Ukraińców, prezentują się oczywiście Kuroń i Smoleński oraz mniej nam znany Marcin Wojciechowski (nie zabrakło też Berdychowskiej, ale tylko jako tłumaczki). Pierwszy z tekstów ukraińskich to *Kamienie pamięci* – niby „list do Adama” (Michnika oczywiście), napisany przez Wiktora Juszczenkę, b. premiera i podobno kandydata na prezydenta Ukrainy. Treść jakby wyważona – prosi o wybaczenie, tłumaczy sytuację Ukraińców itd. Ale są tam i takie zdania:

W imię prawdziwego pojednania naszych narodów pragnę byćcie zrozumieli stanowisko Ukraińców, którzy nie mogli przejść obojętnie obok pamięci historycznej swoich rodaków. A pamięć ta przepełniona jest świadectwami straszliwych zbrodni, niewyobrażalnych okrucieństw ze strony Polaków – niszczenia całych wsi, śmierci dzieci, kobiet, starców. Te opisy mrozą krew w żyłach. [...] Na Ukrainie zbierane są nowe świadectwa, wciąż ujawniane są fakty przedstawiające tragedię Ukraińców, którzy zginęli z rąk polskich. Próbuje się też ustalić liczbę ukraińskich ofiar [...]

Coś się chyba poprzestawiało? Może chodzi o wojny kozackie w XVII wieku, ale wtedy to przeważnie Rusini rżnęli Rusinów.

A co mówić o wypędzonych z Chełmszczyzny, Nadsania i Łemkowszczyzny, o blisko pół miliona ludzi, którzy po wojnie wyjechali lub zostali deportowani na Ukrainę i którzy przeżyli trzy wyniszczające operacje ze strony polskich oddziałów? Polscy historycy przyznają, że po stronie ukraińskiej było 10–12 tys. zabitych. Ich losu w żaden sposób nie można sprowadzić do akcji „Wisła” [...]

Tu więc następne ukrywanie prawdy i proporcji.

Jacek Kuroń, wielki Polak, a także wielki syn Ukrainy (!) pisał w liście do Myroslawa Marynowycza: „Niezależnie od tego my i Wy wyznajemy Ewangelię, w której Jezus zwraca się do każdego z nas: Nie szukaj żdźbła w oku bliźniego, lecz belki w swoim...”

Po prostu sługa Boży z tego Jaceka. Czy takie zakłamanie może do czegoś prowadzić?

Drugi – to rozmowa Smoleńskiego(!) z Kuronem(!): *Nie wolno zmuszać do pokuty*. Ten tekst jawnie antypolski, jak wszystkie tego rycerza. Samoobronę Polaków i akcje odwetowe ze strony AK i LWP, w których zginęła o c z y w i ś c i e jakaś liczba Ukraińców (nieproporcjonalnie mała w stosunku do zamordowanych Polaków) – stawia się na równi z rzeziąmi upowskimi. Sprawę więc stawia na głowie (jak w dzisiejszym polskim prawie!): ten, który ubija napadającego go bandytę, zostaje tak samo oskarżony. Wypowiedzi Kuronia są bardziej złośliwie niż najbardziej zjadłego Ukraińca (temu ostatniemu można by się nie dziwić, bo broni swego, ale u niby-Polaka brzmi to

dość dziwnie). Jedno urwane zdanie Jaceka Kuronia (chodzi o czasy austriackie): *... Polaków uwiera, że w „ich” Lwowie rozkwita Ukraina*. To może i zabawne (z tym cudzysłowem), ale cały długi tekst to najpierw jednostronne szkalowanie polskiej historii (świątą pożywkę daje mu *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza), potem pochwała zaboru austriackiego i znowu oskarżania Polski międzywojennej i akcji „Wisła”, a w końcu – 2/3 monologu – to „przewracanie kota ogonem” na temat rzezi.

Trzeci, długi artykuł, M. Wojciechowskiego *Czy rocznica musi dzielić?* – to streszczenie „dyskusji” w jakiejś ukraińskiej gazecie na temat *wydarzeń wołyńskich*. Nie trudno domyślić się, że jest to stek napaści na Polskę i Polaków. Ale jedno zdanie nas ubawiło – profesor Mykoła Żułyński, b. ambasador państwa Ukraina w Warszawie, mówi: *Chciałbym wspomnieć o różnego rodzaju polskich organizacjach ziomkowskich, które zyskały taki wpływ w Polsce, że zmusiły prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego do zajęcia się [sprawą Wołynia] na wysokim szczeblu państwowym...*

Zabawne jest też to, iż nikt z tamtejszych profesorów nie przypomina sobie, że tylko w Polsce – w I i II Rzeczypospolitej – mogli Rusini-Ukraińcy zachować i rozwijać swoją tożsamość (aż do szaleństwa). Rosjanie umieli to inaczej załatwić: w stolicy i na większości terytorium państwa Ukraina panuje język rosyjski, a i ciągoty – poza Małopolską Wschodnią – kierują się w stronę „matiuszki”.

Szkoda, że nigdy nie mieliśmy przewidyjących polityków.

➔ Z prasy dowiedzieliśmy się, że podobno **kilkudziesięciu intelektualistów ukraińskich** ze Lwowa i Kijowa zwróciło się w liście otwartym do społeczeństwa polskiego, aby przebaczyło ich narodowi tragiczne wydarzenia na Wołyniu (znowu pominięto Małopolskę Wschodnią). Celem akcji – jak uważają autorzy listu – było zmuszenie do ucieczki z tych terenów wszystkich osób polskiej narodowości.

Prosimy o wybaczenie tych Polaków, których losy zламаł ukraiński oręż, a poprzez nich – całe polskie społeczeństwo. Wyrażamy żal, że broń skierowano także przeciwko niewinnym ludziom i przyznajemy, że

*usunięcie siłą społeczności polskiej z Woły-
nia było tragiczną pomyłką* – piszą autorzy.

Niby pięknie, że coś takiego powstało, jednak trudno uznać za właściwe przykrywanie takimi słowami, jak *zmuszenie do ucieczki, oręż, t a k ż e przeciwko niewinnym ludziom, tragiczna pomyłka* – bestialskiego ludobójstwa wobec kilku dziesiątków tysięcy całych rodzin ze starcami, kobietami i dziećmi włącznie.

Przypomnijmy, że władze państwa ukraińskiego oświadczyły, iż za wołyńskie ludobójstwo przepraszać nie będą (pisaliśmy o tym w CL 2/03, *Z tamtej strony*). Wysuwa się m.in. argument, że wtedy jeszcze nie było tego państwa. Zapomniano widać, że *ten kij ma dwa końce* – bo skoro tak, to właśnie w taki prosty sposób należy kwitować pretensje o jakieś dawne sprawy, a nie organizować naukowe zespoły i konferencje. Po co? Nie ma sprawy.

➔ W „Naszej Polsce” 10/02 znalazł się znakomity artykuł Danuty Nespiak zatytułowany *Między prawdą a kłamstwem*, omawiający bardzo szczegółowo **postać Bohdana Osadcuka**, Ukraińca zamieszkałego od lat w Berlinie, sprytnego nacjonalisty, który potrafił przedstawić się jako orędownik pojednania polsko-ukraińskiego, a nawet został za to udekorowany przez prez. Kwaśniewskiego Orderem Orła Białego (!). Ulubieniec „Tygodnika Powszechnego” i „Gazety Wyborczej” bagatelizuje oczywiście zbrodnie ukraińskiego ludobójstwa na Ziemiach Wschodnich. Urodził się w Kołomyi, o której napisał, że dla Polaków *nic nie znaczyła* (za to znaczyła dla Ukraińców i Austriaków!).

Autorka przypomina przy okazji dwie postacie Ukraińców rzetelnie zaangażowanych w pojednanie w 20-lecie międzywojennym: Wasyla Mudryja (czy Mudrego) oraz Pawła Szandruka. Z naszej strony przypomina postać XIX-wiecznego dziennikarza i poety Rusina (spoczywającego na Cmentarzu Łyczakowskim), Platona Kosteckiego (1832–1908), propagatora zgody obu narodowości, podobno bardzo niepopularnego wśród dzisiejszych Ukraińców.

Na tle tendencyjnych bredni wypisywanych przez Osadcuka apelujemy o pilne opracowanie i wydanie rzetelnej książki o Kołomyi (i Pokuciu),

jej dziejach i wkładzie w polską historię i kulturę – kulturę, na którą składa się t a k ż e folklor huculski (wcale nie ruskiej proveniencji). Szczególnie predestynowana do tego wydaje się pani Bożena Krupska, która – jako redaktorka niezapomnianego pisma „Gdzie szum Prutu...” – zebrała na pewno przebogate materiały. Pomocne będą jej też zapewne artykuły zamieszczane przez lata w „Semper Fidelis” i naszym kwartalniku (ostatnio J. Kamockiego o ceramice).

➔ W „Rzeczpospolitej” 93/03 znalazł się wywiad z ambasadorem Izraela, Szewachem Weissem (rodem z Borysławia), przeprowadzony przez Annę Jarmusiewicz pt. *Ziemia kochana i przeklęta*. Mowa oczywiście o Żydach w Polsce, o holokauście i ratowaniu Żydów przez Polaków, a na końcu dziennikarka pyta ni stąd, ni z owąd: *Czy nie powinniśmy podkreślać naszego w s p ó l n e g o (podkr. nasze) wkładu w duchowe dziedzictwo Europy?* Trzeba przyznać, że **odpowiedź Ambadora była bardziej taktowna** niż zadana kwestia: *Może jako ambasador Izraela nie powinienem się wtrącać, ale skoro jestem w Polsce urodzony, to powiem, że oburza mnie, gdy się mówi, że Polska wchodzi do Europy [...]. To niech Europa wejdzie do Polski! Wy powinniście wejść do Europy jako jeden z ważniejszych krajów, narodów i kultur! To nie tyle Polska wraca do Mozarta, co Europa wraca do Chopina!*

➔ Lwów obdarzył nas ostatnio dwoma bardzo ważnymi wydawnictwami, które sumują i utrwalają dwa znaczące wydarzenia kulturalne z lat 2001 i 2002. Wartość tych publikacji wynika nie tylko z ich warstwy rzeczowej, poznawczej; nie mniej ważny jest fakt dokumentowania obu imprez – tyleż kulturalno-naukowych, co i historyczno-narodowych. Wydawnictwa zawdzięczamy aktywności Federacji Organizacji Polskich nU. oraz jej niezmiernym i kompetentnym prezeskom, p. Emilii Chmielowej od strony ideowo-organizacyjnej oraz p. Teresie Dutkiewicz od strony merytorycznej.

Pierwsza publikacja, wydana jako numer specjalny Biuletynu FOPnU (2001), to *Materiały sesji popularno-naukowej*, poświęconej **Marianowi Hemarowi**. Zebrano tam referaty sesyjne autorów dwóch narodowości (wszystko w jęz. polskim), przeplatane wierszami Poety.

Druga – to książeczka pt. **Henryk Siemiradzki** (Lwów 2002) z materiałami Międzynarodowej Sesji Naukowej w 100. rocznicę śmierci znakomitego malarza (1843–1902, w tym roku przypada więc 160. rocznica jego urodzin). Referaty sesyjne opublikowano w językach ich autorów, polskim, rosyjskim i ukraińskim. Szkoda, że w przypadku tych ostatnich nie podano krótkich streszczeń po polsku, bo w dodatku pisane cyrylicą! Wypada też wysunąć przy okazji sugestię, by przy następnych tego typu okazjach zamieszczać krótkie notki biograficzne autorów – w tym wypadku z Moskwy, Sankt-Petersburga i Charkowa, bo są to prawdopodobnie liczące się postacie w swoich dyscyplinach, a czytelnik nie jest tego świadomy (to samo dotyczy pierwszego wydawnictwa).

Skąd zainteresowanie naukowców z tak odległych ośrodków naszym Malarzem? Warto przytoczyć fragment referatu M. Po-przędziej (Warszawa):

Naszym zdaniem

ODDAJCIE ZABRANĄ WŁASNOŚĆ

Na nowo (tylko czy na długo?) wraca sprawa tzw. mienia zabużańskiego. My – wschodni Małopolanie pochodzimy akurat z tej strony Bugu, a nie z z a, ale wszyscy razem musieliśmy opuścić p o ł o w ę terytorium odrodzonej po prawie półtora wieku Polski.

Zwycięzcy II wojny światowej – do których przecież t e o r e t y c z n i e się zaliczaliśmy – *byli uprzejmi* oddać sowieckiej Rosji tamtą połowę kraju, nam zaś przyznać za to podobny obszar odebrany z a k a r ę Niemcom (a nam za co?). Nam – Polakom.

Jakie to więc proste: tam zabrali dom, pole, warsztat – to tu dostaniemy rekompensatę, w podobnej albo w innej formie. Odzyskamy, bo to przecież „Ziemie Odzyskane”. Tym łatwiej, bo liczba przybyłych ze Wschodu nie była aż tak ogromna, by miało nie wystarczyć. Wielu ludzi zginęło, wielu poszło przez *nieludzką ziemię* w daleki świat, mniejszości narodowe zaś zostały wszak na miejscu.

Proste, jeśli się chce dotrzymać zobowiązania – tego przecież oczekiwali nasi *dobrodzieje*

[...] Sprawa narodowości Siemiradzkiego była trochę bolesnym, trochę wstydlivym problemem, z którym przez całe życie artysty, spędzone w większości w Rzymie, borykała się polska opinia publiczna. Można powiedzieć, że przez ten czas toczyła się swoista bitwa o jego artystyczną duszę, a wokół postaci artysty narosło wiele nieporozumień, mających kontynuację także w nowych opracowaniach. Kwestia nie była bowiem ani prosta, ani jednoznaczna. Siemiradzki urodził się pod Charkowem jako syn Polaka służącego w armii carskiej w stopniu generała, uczył się w rosyjskim gimnazjum, odbył studia uniwersyteckie w Charkowie, malarstwo studiował w Akademii Petersburskiej, dzięki której szczeremu stypendium wyjechał do Italii. Przez całe życie pozostawał w żywym kontakcie z petersburską uczelnią, a także z carskim dworem, szczególnie z wielkim księciem Włodzimierzem Aleksandrowiczem, prezydentem Akademii i mecenasem artysty. Przyjmował rosyjskie ordery. Cieszył się przyjaźnią rosyjskich arystokratów. Wykonywał duże prace na rosyjskie zamówienia, w tym dla soboru Isakijewskiego w Petersburgu i Spasa w Moskwie. Na wystawach międzynarodowych wystawiał swoje obrazy w dziale rosyjskim. [...]

alianci. Przyszedł jednak komunizm, który wszystkim chciał zabrać to, co mieli, po co więc jeszcze sobie komplikować? Logiczne.

Ale potem – po paru dziesiątkach lat – przyszli do władzy *n a s i*. Głosowaliśmy na nich z entuzjazmem – także my, „zabużanie”, wcale nie ze względu na owo *zabużańskie mienie*. Po prostu liczyliśmy na to, że teraz Polska będzie już p o l s k a, swoją, uczciwa. Cieszyliśmy się, że u władzy znaleźli się także ludzie związani ze wschodnimi ziemiami – tym najważniejszym z zapałem (przedwczesnym) zamieszciliśmy w CL ich życiorysy.

Skoro miało być uczciwie, to przecież liczyliśmy także na naprawienie krzywd, na uregulowanie sprawy pozostawionego mienia. Wielu expatriantów pozostawiło tam swoje domy, tu zamieszkali i w większości nadal mieszkają w blokach. Rolnik miał pole – tu dostał się do *pegeeru*, a teraz nie ma nic. Innym, biednym, miało się poprawić, ale niewiele z tego wyszło. Oczywiście: jakiejś części wygnańców się poszczęściło, coś tam zyskali (czasem nawet za wiele). Poza tym minęły dwa, czasem trzy pokolenia – nowe generacje urządziły się, bo musiały. Ale głównie dzięki temu, że w komunizmie zrównali nas w dziadostwie.

Nie zmienia to jednak faktu niesprawiedliwości. Nie zapominajmy, że w całej Polsce po-

Wydarzenie, które uczyniło z Siemiradzkiego polskiego patriotę, miało miejsce z okazji narodowej manifestacji, jaką w 1879 roku [miał więc 36 lat] stał się jubileusz 50-lecia pracy literackiej Józefa Ignacego Kraszewskiego, celebrowany w Krakowie [...], gdy w czasie obiadu w gronie artystów rozprawiano o idei powołania muzeum, które zamierzano utworzyć w odrestaurowanych właśnie Sukiennicach, Siemiradzki wystąpił z propozycją ofiarowania doń swego opromienionego już wówczas europejską sławą płótna [*Pochodni Nerona*].

[...] W miarę upływu lat Siemiradzki autentycznie coraz bardziej zbliżał się do Polski. Nie namalował co prawda żadnego obrazu o temacie zaczerpniętym z polskiej historii, niemniej wykonał (znów w formie darów) kurtyny dla teatrów w Krakowie i Lwowie, wreszcie zakupił majątek w Strzałkowie koło Częstochowy, gdzie zmarł. [...]

To dobrze, że polskie środowisko Lwowa przypomniało postać naszego znakomitego malarza.

➔ Po latach **przypomniano Stanisława Vincenza** (1888–1971), znakomitego pisa-

kolenia się wymieniły, że i w Polsce centralnej młodzi startowali i startują do własnego nowego życia, ale ułatwia im to zaplecze materialne ich rodzin. Młodzi z rodzin ekspatrianckich na ogół tego zaplecza nie mają. Wobec swych rówieśników z zachodniej Małopolski, z Wielkopolski, Kujaw czy Lubelszczyzny są materialnie w większości *d o t y ł u*. I to grubo.

Niech nikt nie przytacza jednostkowych przykładów młodego z rodziny wschodniej, któremu powiodło się lepiej niż komuś z Polski centralnej. Takie przykłady można znaleźć, nie świadczą jednak o niczym. Wygnańcy i ich potomkowie są w swojej masie poszkodowani już od paru pokoleń. Nie zapominajmy przy tym o gehennie, jaką przeżyły przed parudziesięciu laty „zabużańskie rodziny” i o niepewności jutra, która ciągle nad nimi wisi. Właśnie teraz. Chyba się rozumiemy.

* * *

W prasie na początku października przeczytaliśmy, że rząd będzie bronił dotychczasowego stanu rzeczy, gdyż wartość roszczeń zabużańskich szacuje się na niebagatelną kwotę około 10 miliardów zł. [...] Prawnicy reprezentujący państwo, co pokazał choćby proces o mienie zabużańskie w Sądzie Okręgowym w Krakowie, w wielu wypadkach będą starali się zakwestionować prawo do roszczenia, tzn. będą

rza, autora przede wszystkim kilkutomowej huculskiej sagi *Na wysokiej półoninie*. Urodził się i do II wojny mieszkał w Krzyworówni na Pokuciu, po wojnie osiadł i zmarł we Francji. W 1999 r. wydawnictwo „Znak” opublikowało jego *Dialogi z sowietami* (Kraków 1991). „Gazeta Wyborcza (18 IV 03) zamieściła szereg artykułów o Vincenzie i jego rodzinie, o Żabiem i Huculszczyźnie.

➔ Piotr Marek Stański, który na łamach „Gazety w Krakowie” publikuje wspomnienia o wybitnych postaciach, w tym nader często o ludziach związanych ze Lwowem i Małopolską Wschodnią, zamieścił w nrze z 17 IV 03. **biogram Stanisława Skarbka** (1780–1848) – w 155-lecie jego śmierci. Stanisław Skarbek był fundatorem wielkiego gmachu, zbudowanego w miejscu rozebranego przez Austriaków Niskiego Zamku, w którego centralnej części mieści się teatr zwany *Skarbkowskim* (od czasu gdy na przełomie wieków wzniesiono tu obok

negować fakt posiadania majątku na wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej. [...]

Cóż, pogratulować szczerości i rzetelności. Tak właśnie uczy się społeczeństwo nieuczciwości, kłamstwa, cynizmu. Nasza propozycja dla rządu (każdego, obojętnie jakiego koloru): rządźcie sprawniej i uczciwiej niż dotąd, to owe 10 miliardów znajdziecie. Usuńcie z władz państwowych, z parlamentu i samorządów złodziei, aferzystów i małych, a licznych kanciarzy. Zlikwidujcie gigantyczne *odprawy* i nieusprawiedliwione *diety* dla „wybrańców narodu”, którzy swoje obowiązki powinni wykonywać za niemałe uposażenia, jakie otrzymują.

To nie są pomówienia. O tym wszystkim czytamy w prasie, słuchamy w radiu i telewizji. **C o d z i e n n i e**.

* * *

Ostatnio pojawia się w sprawie nowy element, rozpisuje się o tym prasa. Oto pan Jerzy B., prawny spadkobierca nieruchomości we Lwowie, po wyczerpaniu bezskutecznych starań w RP, zwrócił się do Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Sprawa może mieć charakter precedensowy.

To wstyd, że dopiero międzynarodowy trybunał może uczciwie rozpatrzyć to, co od pół wieku było *psim obowiązkiem* władzy i sądów polskich.

Teatr Miejski, znany we Lwowie jako *Wielki*. Ufundował również ogromny zakład wychowawczy dla sierot w Drohowyżu (k. Mikołajowa) i w tamtejszej kaplicy złożono jego szczątki.

Artykuł tego samego autora – o konkursach na ratusze we Lwowie i Krakowie – publikujemy w tym numerze.

➔ W „Dzienniku Polskim” 63/03 red. Jolanta Ciosek rozmawiała z **Izabellą Cywińską**, znaną reżyserką i, w pewnym okresie, ministrem kultury III RP. Cywińska opowiada oczywiście głównie o swoim życiu zawodowym, ale na początku rozmowy przedstawia swój rodowód:

[...] *Jestem dumna z zasług moich przodków dla polskiej kultury. Urodziłam się we Lwowie. Moimi antenatami byli z jednej strony Skarbkowie: Fryderyk hr. Skarbek, wybitny ekonomista i publicysta. To po nim Chopin otrzymał swoje imię. Z drugiej strony moim pradziadem był Wojciech Dzieduszycki – filozof, minister u Franza Josefa, odpowiedzialny za sprawy polskie. [...] No nie, muszę jeszcze wspomnieć o moim dziadku, senatorze z Brodów, a później dyrektorze Zakładu Ossolińskich – Konradzie Łuszczewskim. [...] Jeden ze Skarbków, który dorobił się wielkiego majątku na handlu bydłem, zadał lwowiakom zasadnicze pytanie: czy chcą w mieście kanalizację czy teatr? Wybrali teatr. [...]*

Pozostaje żałować, że przy takich parantełach o zainteresowaniu kulturą polską w dzisiejszym Lwowie ze strony pani Cywińskiej całkiem głucho... Trudno natomiast zapomnieć jej wredny serial *Boża podszewka*, za który Telewizja musiała przeprosić środowisko ekspatriantów.

➔ W tej samej gazecie prof. W.A. Serczyk swój felieton pt. **Para w gwizdek** kończy tymi słowami:

[...] *wykreowany z trudem w Lublinie uniwersytet polsko-ukraiński boryka się z coraz to nowymi kłopotami finansowymi, czując się czasem niechcianym dzieckiem jednorazowego wybuchu entuzjazmu polityków, gdy w tym samym czasie polsko-niemiecka Viadrina na granicy zachodniej prosperuje z pożytkiem dla obu państw i młodych ludzi, którzy się na tej uczelni znaleźli. Ale tam się przede wszystkim pracuje, a nie tylko gada.*

Jeśli kto nie pamięta (a ciekaw), co napisaliśmy, kiedy powstanie tej instytucji zapowiadano (pierwotnie w Przemyślu), niech sobie w CL odnajdzie.

➔ Nie możemy sobie darować przedstawienia naszym Czytelnikom angielskiej wersji treści folderku, wydanego w 1997 r. z **okazji 900-lecia Buska**, a nadesłanego nam przez naszego korespondenta z Wrocławia. Kolorowy druczek obejmuje kilka fotografii (głównie cerkiewek, a także pałacu Badenich, kościoła i zamku w Olesku) oraz tekst po ukraińsku i a n g i e l s k u . Oto skrót części historycznej tego drugiego (z paroma naszymi komentarzami):

Busk jest miastem, którego korzenie sięgają początków państwowości ukraińskiej i założenia Rusi Kijowskiej. Był wymieniony w „Powieści lat doczesnych” (1097). Zgodnie z tym przekazem, książę Dawid Ihorowicz (Igorowicz) uczynił Busk swoją stolicą. Do końca XII w. był ośrodkiem osobnego księstwa, a potem należał do innych księstw, w tym do kijowskiego.

W 1411 r. Busk jako jedno z pierwszych miast Galicji przyjął prawo magdeburskie [Nie wyjaśniono przez kogo zostało ono nadane. Po prostu przyjął i już! (patrz CL 3/96, Słownik)]. I zaraz po tym:] Założenie pierwszej nowoczesnej papierni na terytorium Ukrainy [!] w latach 1539–41 było związane z przemysłem młynarskim w Busku. Na początku XVII w. Busk był jednym z największych miast w księstwie ruskim tego czasu. [Podajemy to w skrócie, ale niczego merytorycznie nie opuszczamy. Nie ma wcale Polski od XIV wieku, jest jakieś urojone ruskie księstwo. I nowoczesna papiernia jako szczytowe wydarzenie od wieku XV do XVII].

Następuje opis geograficzny. A dalej: *Z Buskiem wiązało się wiele wydarzeń i ludzi Ukrainy. Podczas wojny wyzwolenczej pod dowództwem B. Chmielnickiego armia Kozaków i wieśniaków zdobyła Busk [Tylko co to była za wojna wyzwolencza? Od kogo chcieli wyzwalać? Z kim walczył Chmielnicki? Tego nie piszą]. Na koniec części historycznej wymieniają jeszcze kilka nazwisk z XIX i XX w.*

Tyle o historii miasta mają do powiedzenia autorzy folderu anglojęzycznym przybyłym. Trzeba jednak przyznać, że w tekście ukraińskim nazwa Polski pojawia się

parokrotnie. Przed *swoimi* nie da się ukrywać istotnych faktów historycznych, co najwyżej można je odpowiednio interpretować. Ale pisząc o zabytkach Buska i okolic, o pałacu Badenich i zamkach w Olesku i Podhorcach, nie ma ani słowa o ich polskich właścicielach i fundatorach. Badeni? Może Italianiec?

➔ W naszym *Słowniku geogr.-hist.* w CL 1/01 zamieściliśmy hasło *Pohulanka*. Można tam było przeczytać – kto sam nie pamięta – że południowa strona dolinki, stanowiącej oś Pohulanki, nosiła nazwę Lasku Węglińskiego (potocznie *Lasek Węgliński*, ale prawidłowo: Lasek Węglińskiego). Nazwa ta pochodziła od właściciela, znanego na pocz. XIX w. i zamożnego **adwokata lwowskiego Franciszka Węglińskiego** vel Węgleńskiego. Od niego też pochodzi nazwa Pohulanka, ponieważ taką nazwę nadał zbudowanemu tam pałacykowi, a nazwa rozszerzyła się na całą dolinę i jej zbocza.

Ostatnio wpadł nam w ręce numer „Poznaj Świat” 12/01 z artykułem poświęconym obecnemu rektorowi Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Piotrowi Węgleńskiemu, przyrodnikowi i podróżnikowi (stąd zainteresowanie tego miesięcznika). Okazuje się, że jest on potomkiem owego lwowskiego adwokata Franciszka (1766–1820). Dowiadujemy się więc przy okazji, że tenże Franciszek w r. 1809 opuścił Lwów, przeniósł się do Warszawy i tam został najpierw sędzią najwyższej instancji w Królestwie Polskim, a w 1819 ministrem sprawiedliwości.

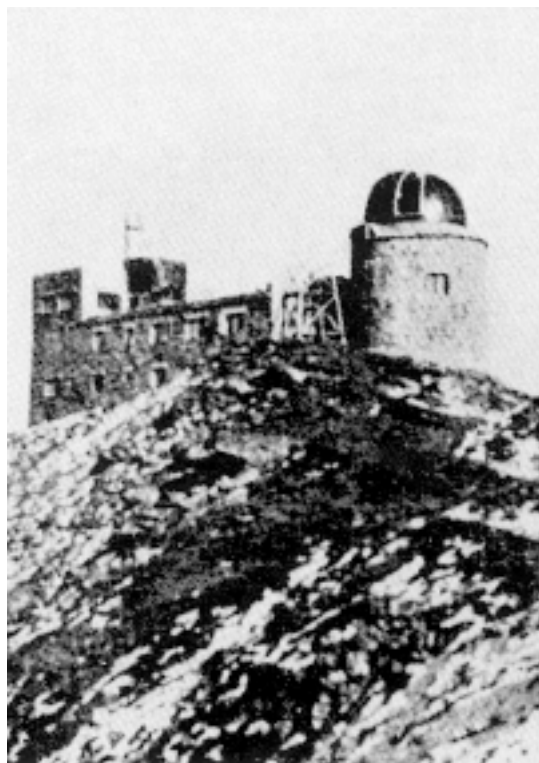
➔ W „Dzienniku Polskim” 59/03 pan Lesław Peters napisał tak: *Do utrwalenia dostojnego wizerunku uniwersytetu (w Krakowie) walczył przyłożył się 120 lat temu Feliks Księżarski, twórca Collegium Novum. Mógł – zgodnie z duchem epoki – zaprojektować gmach eklektyczny, jak to uczynił np. w przypadku budynków uniwersyteckich we Lwowie. Zafundował nam jednak dzieło świetnie udające gotyk. Patrzysz na te mury, dobrze wiesz, że wzniesiono je w epoce Franciszka Józefa, lecz masz takie uczucie, jakby kasę na nie wyłożył sam Kazimierz Wielki.*

Nie bardzo rozumiemy: dzieło świetnie udające gotyk, zbudowane w XIX wieku **jest przecież najczystszy eklektyzmem.**

Autor widocznie z pojęciem eklektyzmu wiąże wszystkie neo-style z wyjątkiem neogotyku. Dlaczego – dalibóg nie pojmujemy. W dodatku: odróżnienie gotyku od neogotyku wcale nie jest trudne, chyba że się nie ma o tym zielonego pojęcia.

➔ Niedawno przedstawiliśmy miesięcznik „Spotkania z zabytkami” (CL 4/01), który dotąd stale prowadził dział *Spotkania na Wschodzie*. Niestety ostatnio odczuliśmy jakby niedosyt w tym temacie (często brakuje tego działu, a w ogóle więcej pisze się o ziemiach północno-wschodnich niż o południowo-wschodnich). Aż tu w numerze 5/03 znaleźliśmy artykuł Jacka Tokarskiego: *Zamarłe obserwatorium*. Rzecz dosyć smutna, bo chodzi o zrujnowaną, a zbudowaną przed samą II wojną wspaniałą placówkę meteorologiczno-astronomiczną **na szczycie Popa Iwana w Czarnohorze**. Obserwatorium miało formę kamiennego zamczyska, a wyposażone było znakomicie w sprzęt badawczy.

Dziś to ruina, śmietnisko, szałet dla turystów. Po prostu – normalka.



➤ Wiele ostatnio się mówi i pisze o szansach przyjęcia w przyszłości państwa Ukraina do Unii Europejskiej. Niedawno – zdecydowanie negatywnie – wypowiedział się na ten temat Xavier Solana, wysuwając przede wszystkim racje kulturowe (choć mużułmańska Turcja jednak jest oficjalnym kandydatem do UE. Ale ta przynajmniej rozwija się intensywnie). Nie trzeba uzasadniać, iż dla nas, ekspatriantów, albo dla naszych dzieci i wnuków, problem nie jest obojętny.

W „Rzeczpospolitej” 92/03 pisze na ten temat Jędrzej Bielecki w artykule *Unia mówi Kuczmie „nie”*. Ale na „szczyt” w Atenach zaproszono prezydenta Kuczmę, co oznacza, że Bruksela uznaje europejskie dążenia Ukrainy i – po spełnieniu wielu warunków – jest gotowa przyznać jej członkostwo. Jednak Ukraina budzi szczególne obawy ze względu na wielkość, ubóstwo oraz wątpliwości co do respektowania zasad demokracji i praw człowieka. Ponadto „piętnastka” boi się, że wyraźne poparcie dla ukraińskich aspiracji może rozżłościć Kreml.

Minister Cimoszewicz zaakaplował o stworzenie dla Ukrainy „wieloletniej perspektywy członkostwa”.

➤ W „Rzeczpospolitej” 93/03 artykuł Anny Machcewicz pt. *Jesteśmy takimi samymi ludźmi – o Ukraińcach pracujących w RP*. W 2002 r. polską granicę przekroczyło blisko siedem milionów Ukraińców. Znaczna część z nich przyjeżdża do pracy, nikt nie wie ilu, bo pracują na czarno. Ostrożne szacunki podają, że około miliona. Kobiety sprząają, bawią dzieci, mężczyźni (niekiedy kobiety) budują i remontują domy, kilkusetosobowa grupa młodzieży studiuje. Ruch przez granicę odbywa się cyklicznie – obywatel Ukrainy musi po dziewięćdziesięciu dniach pobytu opuścić Polskę choćby na kilkanaście godzin.

Są to oczywiście dramatyczne historie młodych ludzi, kilka takich losów przedstawiono. Wśród nich Natasza, która przyjechała z mężem z podkarpackiej wioski i mieszka w Polsce od trzech lat. W domu zostawili dwoje małych dzieci, wychowuje je babcia. Natasza opowiada: *W naszej wiosce w górach zostały już tylko dzieci i starcy. Każdy, kto ma dwie zdrowe ręce, wyruszył do pracy za granicą. [...] Natasza z mężem mają już cel w życiu – chcieliby skoń-*

czyć zaczęta przed laty budowę domu u podnóża Gorganów. – W Polsce nauczyliśmy się wiele o życiu. Przede wszystkim tego, że trzeba liczyć na siebie i nie narzekać na to, co los przynosi. Rodzina się dziwi, dlaczego nie budujemy gospodarstwa, ale my nie chcemy przecież hodować krów, lecz gościć turystów. Na przykład z Polski.

Dlaczego nie?

INTERNET

➤ Grzegorz Polański napisał (7 V 2002):

*Podczas długiego weekendu przeżywa-
liśmy najazd na Lwów. Przyjechały dziesiątki autobusów z Polski. Ceny toalet w śródmieściu, np. w Kniażym Kielichu, z miejsca podskoczyły na 1 UAH [hrywnę] lub złotówkę, do wyboru. Kilka rad dla osób wybierających się do Lwowa: Nie wybierajcie hoteli typu „Lwów” czy „George”, bo ich standard ma się do ceny jak za zaproszeniem pięść do nosa. Osobiście polecam „Anton” (czy „Enton”) przy ul. Szewczenki [Akademickiej] lub też dla oszczędnych motele przed Lwowem: „Galicja”, „Kateryna”.*

Jeśli chodzi o gastronomię, to rewelacyjna jest „Oselia”, „U pani Stefy”. Oszczędnym polecam jadalnię Uniwersytetu, stołówkę Urzędu Skarbowego itp. [...]. Z drogiej ale dobrych restauracji warto odwiedzić „Kupol”, „Niagarę”. Najlepszy kurczak z rożna jest w Grillbarze na Sichowie, choć do tanich nie należy. No i oczywiście, jeśli słodkie, to tylko cukiernia przy Starojewrejskiej [Boimów]. Od radzam wszelkie pizzerie, ale jeśli już ktoś musi, to „Kastellari” jeszcze ujdzie. [...]

Na koniec apel: rodacy, nie rozpuszczajcie taksówkarzy i w ogóle trochę się targujcie. Ja rozumiem, że kiedy jedzie się na kilka dni, to wszystko jest tanie, ale wy wyjedziecie, a zdanie o Polakach jako narodzie miliardów zostanie. Cenę płacą tacy jak ja, którzy mówią po ukraińsku z silnym polskim akcentem. Pozdrawiam.

Tak było przed rokiem, ale pewnie niewiele się zmieniło.

➤ Ten sam G. Polański (10 IX 2002):

[...] trzeba założyć komitet budowy Domu Polaka we Lwowie. Niech na czele stoi kto chce, byle by ten dom powstał. Biblioteka,

hotel, restauracja z naszą kuchnią i miejsce na spotkania polskich dzieci, kółek teatralnych, zespołów etc. Trzeba szukać sponsorów, niech coś da nasz rząd. Niech telewizja zrobi akcje, by każdy Polak na świecie dał przysłowiowego dolara, a zobaczycie jaki będzie efekt. Inaczej ślad po nas we Lwowie nie zostanie.

Nadawca proponuje, by do komitetu organizacyjnego wybrać pana Gienka, tzn. Eugeniusza Flaszkeckiego (znamy go z internetu od dawna) oraz p. Annę Gordyjewską z polskiego Radia Lwów.

Redakcja CL jest za! Będziemy propagować, jeśli ktoś wreszcie się za to weźmie.

➔ S. & J. Szybalscy z USA piszą (5 V 2002):

[...] *Stalin z błogostawieństwem Roosevelta, który niestety za późno wyciągnął nogi,*

oddał Lwów za cenę przystąpienia Stalina do wojny z Japonią, którą potem Truman musiał odrabiać, bo bomba atomowa uczyniła Sowietów nie tylko niepotrzebnymi partnerami, ale i przeszkodą. Co prawda, jakby Roosevelt wyciągnął nogi wcześniej, to by Ameryka miała prezydenta lewicowych, a kilku proponowanych przez niego członków jego gabinetu było sowieckimi agentami, jak się później okazało. Dlatego w ostatnich wyborach Roosevelta Truman, o którym nikt przedtem nie słyszał, został mianowany wiceprezydentem. On ze swoim „chłopskim” rozumem nie oddał komunistom Grecji. Niestety nasza sprawa była przesądzona i jak obecnie się dowiadujemy, Stalin nie upierał się, że chce Lwowa, ale „dobroczyńcy” go oddali.

Marian J. Paluszyński

Listy do redakcji



Sympatyczny list nadesłał nam z Wrocławia p. Wiesław Wertyporoch. Cytujemy kilka fragmentów.

Po otrzymaniu nr 1/03 „Cracovia-Leopolis” postanowiłem skreślić kilka słów niejako w odpowiedzi na „Słowo Redakcji”, umieszczone na s. 2 okładki.

Z prawdziwą przyjemnością czytam od doświadczonego kilku lat „Cracovia–Leopolis”, a już od paru lat prenumeruję ten kwartalnik. Chyba jest to wystarczająca odpowiedź na pytanie o poruszanej tematyce, artykułach. Jeśli ktoś pisze Sz. Redakcji, że ... *nie należy umieszczać zbyt poważnych artykułów*, to albo boi się prawdy, albo chce przeforsować swoje zdanie odmienne często od prawdy historycznej, lub... po prostu jest niechętny do dobrego. Jeśli komuś nie odpowiada taki poziom pisma, to niech sobie sięgnie po inne czasopismo.

Najbardziej mi natomiast odpowiada w „Cracovia–Leopolis” to, że Redakcja ma dość przejrzysty plan pracy i wie, co należy umieścić w danym numerze. Niektóre numery są tematyczne, tak jak ostatni – poświęcony Ziemi Przemyskiej.

Co oznacza, że każdy numer jest przemyślany. [...]

W kwartalniku tym każdy znajdzie coś dla siebie. Poezja. Rozmowy z ciekawymi ludźmi. Ja najbardziej cenię sylwetki postaci, które Redakcja chroni od zapomnienia lub po prostu przedstawia Czytelnikom. Jakże tu zapomnieć o najlepszej może części każdego numeru – słowniku geograficzno-historycznym.

Redakcja pyta o stronę graficzną – powiem krótko: po co zmieniać coś, co jest dobre, co funkcjonuje od lat, co jest wizytówką czasopisma. Okładka o takim samym niebieskim odcieniu od lat, jeśli Redakcja chce zmienić – no cóż, przecież nie przestaniemy czytać czasopisma, które ma inną pierwszą stronę. W końcu my, czytelnicy, kupujemy „Cracovia–Leopolis” dla tych artykułów, co są zaraz za okładką. [...] Co najważniejsze, nie ma błędów w konwersji plików graficznych w programach komputerowych. [...]

Pismo jest bardzo dobre, na bardzo dobrym poziomie edytorskim i pod względem zawartości, odpowiednia jest też szata graficzna i format czasopisma.

Bardzo dziękujemy za te życzliwe słowa. Oczywiście, że nie chcielibyśmy niczego zmieniać, ale zawsze dobrze wiedzieć, co o tym sądzą różni Czytelnicy. Dziękujemy także za nadesłanie ciekawych materiałów z Internetu.

A oto list z Poznania, od p. Andrzeja Konoplickiego:

Całej Redakcji ślę z Poznania najlepsze pozdrowienia i podziękowania za niezmiennie wysoki poziom kolejnych numerów kwartalnika CL. [...] Otrzymałem kolejny, bardzo ciekawy numer (2/03), czytam go z przyjemnością i spodziewam się następných, równie interesujących.

Ale właśnie w tym numerze spostrzegłem błąd, który chcę sprostować. Na s. 14 podpis pod zdjęciem brzmi: Kościół Reformatów we Lwowie przy ul. Kleparowskiej. Kościół Reformatów znajduje się w dzielnicy Kleparów, ale położony jest przy ul. Janowskiej. Jest to szczegół, ale sądzę że istotny i dlatego o tym piszę.

Oczywiście, że istotny! Na szczęście w samym tekście napisano prawidłowo. Chochlik powstał, przy opisywaniu zdjęć. Sprostowanie zamieszczamy w erracie. Bardzo Panu dziękujemy!

Na inny błąd – tym razem nie redakcyjny – zwrócił nam uwagę p. Tadeusz Dietrich z Bielska-Białej. Pisze on:

W ostatnim numerze waszego kwartalnika w artykule pt. *Ze Stanisławowa na Sowiniec* za-

mieszczono mylną informację, jakoby Kopiec Marszałka Piłsudskiego rozpoczęto budować dopiero po Jego śmierci w maju 1935 r. W rzeczywistości budowę kopca rozpoczęto w 1934 r., w związku z dwudziestą rocznicą wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej – jako Kopiec Legionów vel Kopiec Czyny Legionowej. Dopiero po śmierci Marszałka zmieniono nazwę kopca. Budowę ukończono w 1937 r.

Historia Kopca z okresu władzy komunistycznej i wysiłków jego zniszczenia, jak również rekonstrukcji po uszkodzeniach w 1997 r. to temat na odrębny artykuł, może mógłby się ktoś tym zainteresować?

Bardzo dziękujemy za sprostowanie. A co do artykułu, to najbardziej odpowiadałby nam temat: „Dwa kopce” (chodziłoby o te świadomie niszczone, w Krakowie i we Lwowie), podobnie jak drukowaliśmy „Dwa teatry” lub „Dwa ratusze”. Oczekujemy!

Wszystkim Czytelnikom, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne na Boże Narodzenie i na Wielkanoc – serdeczne Bóg zapłać!

Spotkania w Zaułku

Wypada naprawić pewne niedopatrzenie (i to wieloletnie). Mianowicie nie notujemy systematycznie – dla historii – **tematów spotkań** krakowskiego oddziału TMLiKPW, które odbywają się od kilkunastu lat dwa razy na miesiąc: w pierwszy wtorek miesiąca w Klubie „Zaułek” oraz we środę około połowy miesiąca w Kapitułarzu oo. Dominikanów (dawniej w „krypcie”).

Będziemy więc uzupełniać te informacje sukcesywnie – wstecz, bo materiał zebrał się zbyt duży jak na wytrzymałość jednego numeru naszego kwartalnika. Dziś: spotkania w „Zaułku” w sezonie 2002/03:

3 IX 02 Uczczono pamięć zmarłych niedawno: prof. Karoliny Lanckorońskiej, ks. Janusza Popławskiego, ks. Tadeusza Fedorowicza, inż. Michała Lasockiego i p. Krystyny Przybyłowskiej. Dr Romana Machowska opowiadała o Dolinie i ks. Panasowcu, dr Zdzisław Machowski o wycieczce na Howerłę.

4 X 02 Spotkanie z drem Kazimierzem Nahlkiem i promocja jego książki *We Lwowie i na Pokuciu*.

5 XI 02 Prelekcja i film dra Henryka Kotarskiego z Akademii Pedagogicznej o Kamieńcu Podolskim.

3 XII 02 Film inż. Kaczmarczyka o wycieczce w czerwcu 2002 r. z Krakowa do Małopolski Wschodniej.

7 I 03 Inż. Tadeusz Gaydamowicz i doktorantka Karolina Kotulewicz (oboje rodem z Mołdawii) opowiadali o Polakach w Mołdawii.

4 II 03 Inż. Danuta Trylska-Siekańska (rodem z Krzemieńca) i inż. Zbigniew Siekański opowiadali o Krzemieńcu i życiu tamtejszych Polaków.

4 III 03 Doc. dr Leszek Martini mówił o życiu Polaków w Samborze.

1 IV 03 P. Wiesław Krawczyński wspominał pracę w Instytucie Weigla we Lwowie.

6 V 03 Wieczór poświęcony postaci i dziełu śp. dra Jerzego Masiora. Udział wzięła p. Alina Mazer, sekretarz ZO TMLiKPW w Nowym Sączu. Uczczono pamięć zmarłej prof. Zofii Kurzowej.

3 VI 03 Relacje Tadeusza Plichty, Romany Żukowej, Urszuli, Aldony i Mariusza Kokodyńskich na temat: *We Lwowie po II wojnie*.

1 VII 03 Dyskusja o obecnej sytuacji we Lwowie, o proponowanym powołaniu Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Ziemi Wschodnich oraz o potrzebie wszczęcia starań o proces beatyfikacyjny abpa Eugeniusza Baziaka.

UWAGA – OKOLICE BÓBRKI!

APEL

Zwracam się z prośbą o pomoc w odnalezieniu osób, które mogłyby udzielić informacji o rodzinie **C I U N I A K Ó W**, zamieszkałej przed wojną w miejscowości **Nowosielce**, pow. Bóbrka, woj. łwowskie. Moja babcia **Aniela Niedbała** z domu **Ciuniak**, urodzona w miejscowości **Kropki** pow. Nisko, i matka **Stefania**, urodzona w **Nowosielcach** pow. Bóbrka, zostały wywiezione w 1940 r. wraz z innymi na wschód. W 1943 r. znalazły się w **Indiach**, skąd wyjechały do obozu dla uchodźców w miejscowości **Danta Rosa** w Meksyku. Wiem, że z **Nowosielec** zostali również wywiezieni w tym czasie członkowie rodzin **K u r a s i ó w** i **O l c h ó w**.

Maria Dolores Gutierrez Ciuniak
zamieszkała w Meksyku

Wszelkie informacje prosimy kierować na adres:

Ambasada Meksyku, Sekcja Konsularna,
02-516 Warszawa, ul. Starościańska 1B/24,
tel. (22) 949 88 00

INFORMACJA

Zarząd Oddziału **BUCZACZ** Towarzystwa **Miłośników Lwowa i Kresów PW** we Wrocławiu informuje, że w II kwartale br. ukaże się album **Zbigniewa Żyromskiego**:

MIASTO KRESOWE MONASTERZYSKA WCZORAJ I DZIŚ

Album zawiera 200 zdjęć kolorowych i widokówek czarno-białych i kolorowych, o objętości 120 stron.

Koszt bezpośredniego nabycia wynosi 30 zł (plus koszt wysyłki). Zamawiać można pod adresem:

TMLiKPW, Oddział Buczacz,
ul. Pretficza 51/1, 53-403 Wrocław,
tel. (71) 78 390 98

albo u autora:
Zbigniew Żyromski, ul. Sempołowskiej 69/7,
51-661 Wrocław, tel. (71) 34 520 61

UWAGA! BYLI UCZESTNICY TAJNEGO NAUCZANIA W LATACH 1941–1944 WE LWOWIE I MAŁOPOLSCE WSCHODNIEJ!

APEL

Zwracam się z uprzejmą prośbą o kontakt listowny z osobami bądź z rodzinami osób, które w latach 1941–1944 uczęszczały na tajne komplety prowadzone podczas drugiej wojny światowej na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej. Wdzięczna będę za poinformowanie innych osób o mojej prośbie lub wskazanie adresów. Uzyskane dzięki Państwa uprzejmości informacje zostaną wykorzystane w pracy naukowej. Powyższa problematyka stanowi bowiem do dziś białą plamę w historii polskiego szkolnictwa lat II wojny i okupacji, a pokolenie, które pamięta – już odchodzi. Poszukuję również informacji o deportowanych i zamordowanych nauczycielach polskich z ziem południowo-wschodnich II RP w latach 1939–41 i 1944–50 – celem opracowania listy strat.

W załączeniu pozwalam sobie przedłożyć kwestionariusz badawczy: zawiera on pytania, które mogą ułatwić zorientowanie się w interesującej mnie problematyce.

Wyjaśniam, iż jestem asystentem naukowo-dydaktycznym **Wszecznicy Świętokrzyskiej** w Kielcach i równocześnie doktorantką w **Instytucie Socjologii Wydziału Nauk Społecznych KUL**, uczennicą księdza prof. dra **Romana Dzwonkowskiego**.

Agnieszka Grędzik
ul. Bohaterów Warszawy 3/33
25-394 Kielce, tel./fax (41) 34 23 785

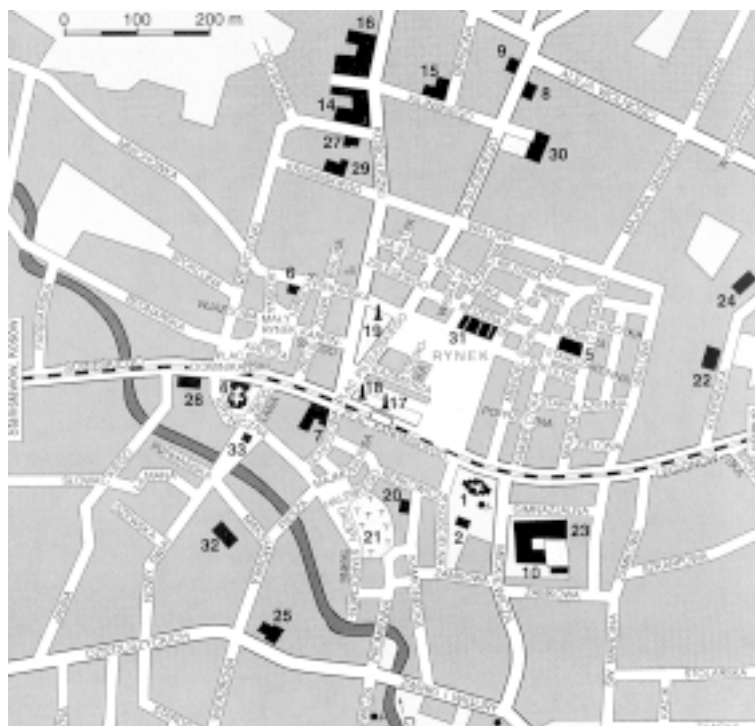
KWESTIONARIUSZ BADAWCZY

1. Proszę podać miejscowość, powiat i województwo, gdzie istniało tajne nauczanie polskie.
2. Jw. – w jakich latach?
3. Proszę o podanie imion i nazwisk nauczycieli, którzy prowadzili tajne nauczanie polskie. Jakie były ich dalsze losy (jeśli są znane)?
4. Z jakich podręczników i pomocy korzystano?
5. Jakie przedmioty były wykładane?
6. Ilu uczniów uczęszczało na tajne komplety? (proszę o podanie przybliżonej liczby).
7. Czy były wydawane zaświadczenia, świadectwa?
8. Czy nauka była odpłatna?

Będę wdzięczna za udostępnienie świadectw, fotografii i innych dokumentów ze wspomnianego okresu.

NASZE MIASTA

Kontynuujemy nasz cykl, w którym prezentujemy plany historycznych miast polskich, opartych od średniowiecza – ustrojowo i urbanistycznie – zawsze na tej samej zasadzie, za pożyczoną z Zachodu, z którym Polska związała się od zarania swej państwowości. Pokazaliśmy już serię miast Polski centralnej, zachodniej i wschodniej (a także z Włoch, Francji i Niemiec), wykazując ich całkowite podobieństwo – różne wielkości wynikają jedynie z zamożności i rangi, jakie posiadały te miasta w okresie swego powstania.



KOŁOMYJA otrzymała lokację na prawie „magdeburgskim” w ramach cywilizowania ziem południowo-wschodnich przez Kazimierza Wielkiego (między 1366 a 1370 r.), w innym miejscu niż obecne **stare miasto**. W dzisiejszym usytuowaniu powstało w XVII w., jednak na zasadzie stosowanej w Polsce od średniowiecza: szachownica ulic, prostokątny rynek (200 × 120 m), w rogu kościół parafialny (oznaczony na planie cyfrą 1, z poł. XVIII w., w miejscu wcześniejszego drewnianego, zniekształcony w latach po II wojnie). Rynek został częściowo zabudowany na przeł. XIX/XX w.

ROHATYN uzyskał prawa miejskie w 1415 r. za czasów Władysława Jagiełły. Na planie z pocz. XX w. czytelna szachownica ulic (zniekształcona półwiejską zabudową). Kościół w stylu gotyckim z XVI w. (w miejscu wcześniejszego drewnianego) z boku prostokątnego rynku (oznaczony cyfrą 1).



Na str. 23 pokazaliśmy zdjęcie rynku w **Stryju**, którego plan znalazł się w CL 1/03.

(dokończenie z II strony okładki)

Ale poważnie: czy nie lepiej, gdy *rozkwitają wszystkie kwiaty*? Czy nie lepiej, gdy w ramach wspólnie przyjętych *pryncypiów* wszyscy mają szansę realizowania własnych koncepcji na swoim terenie, w swojej dziedzinie? W końcu centralizacji mieliśmy (wy i my) aż nadto w ubiegłych kilkudziesięciu latach, ze skutkami fatalnymi. Czy nie lepiej jak w rodzinie: niech starsi i więksi dają p r z y k ł a d i patrzą, czy sami by nie mogli skorzystać na ideach i dokonaniach tych mniejszych i młodszych? A pomagać trzeba wszystkim. Tak, jak i szanować.

Takie to mamy *celowo nieetyczne i sprytnie chwyt*y.

Dla informacji warto dodać, że w RP istnieje wiele towarzystw i organizacji *kresowych*, które działają na rzecz Polaków żyjących na Ziemiach Wschodnich. Jest TMLiKPW, a w jego ramach i poza nimi liczne oddziały i kluby, związane ze Stanisławowem, Tarnopolem, Drohobyczem, Samborem, Stryjem, Kołomyją, Zaleszczykami, Złoczowem, Żółkwią itd. – a te mają jeszcze swoje koła w różnych miastach RP (samo TMLiKPW ma ich ponad siedemdziesiąt). Są ponadto instytucje i inne organizacje, a wszystkie starają się o środki i świadczą na rzecz odłączonych Rodaków. Nikt im niczego nie narzuca (w ramach TMLiKPW stosuje się jedynie koordynację). I wszystkie się szanują, porozumiewają, spotykają. Najlepiej, *gdy rozkwitają wszystkie kwiaty*.

* * *

W tym numerze zamieszczamy kilka tekstów wspomnieniowych – zarówno z czasów przedwojennych, jak i z czasu obecnego. Szczególne wspomnienie poświęcamy Jerzemu Masiorowi – Jego wiersz i Jego opowiadanie. Zależało Mu na tym, by się to ukazało na naszych łamach. Spóźniliśmy się.

* Uwaga! Błąd w numeracji „Gazety Lwowskiej”: powinien to być nr 7. Następny numer z 15 marca otrzymał prawidłowo również cyfrę 8.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa
Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak,
Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka,
Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27
Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, fall@inetia.pl
Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Słowo od Redakcji		Sylwetki	
NIECH ZAKWITNĄ WSZYSTKIE KWIATY II	1	WACŁAW OBUCHOWICZ	32
Felieton		MICHAŁ LASOCKI	33
Barbara Czałczyńska		WSPOMNIENIE O STANISŁAWIE	
O LUDZIACH STAMTĄD III	1	AUGUŚCIKU	34
		SYLWETKI RODZIN	34
Piotr Marek Stański		Z tamtej strony	
DWA MIASTA – DWA RATUSZE	2	NASI ARTYŚCI	35
		WYDARZENIA	36
Adam Trojanowski		Słownik geograficzno-	
MOJA GÓRA ŚW. JACKA	4	-historyczny	
		BATIATYCZE ♦ BRZEŻANY	
Alina Chwalibogowska		♦ KRAKOWIEC ♦ PODBUŻ	
MOJE GIMNAZJUM	8	♦ STEBNIK	37
NA GÓRZE ŚW. JACKA			
Archiwum		Polacy z Polakmi	
JAN ANDRZEJ MORSZTYN	9	Barbara Dudzik	
		KLUB ZŁOZOWSKI	37
Wincenta Wajdowa		APEL	38
ŚWIĘTA ANNA, PROBOSZCZ I JA	11	W MOŚCISKACH	39
		PROŚBA	40
Wiktor Moszczyński			
LONDYŃCZYK WE LWOWIE	15	W Krakowie i dalej	
		POŻEGNALIŚMY JERZEGO	40
Marta Walczewska		Marek Wenecki	
MAJOWY TYDZIEŃ WE LWOWIE	19	KRESY PAMIĘCI	41
		NOTATKI	43
Archiwum		Kultura ♦ Nauka	
CZORKÓW I BUCZACZ...	20	KULTURA I „KULTURA”	44
		KRONIKA	45
Rozmowa		Książki ♦ Czasopisma	
Andrzej Chlipalski		♦ Internet	
ROZMOWA Z TATIANĄ BOJKO	21	Irena Suchanek, Maria K. Bohomolec	
		NOWE KSIĄŻKI	46
Wiersze		Elżbieta Mokrzyńska	
Jerzy Masiór		GŁOS Z LONDYNU (I)	51
GALICJA	25	WERTUJĄC WYDAWNICTWA	53
		Marian J. Paluszyński	
Proza		INTERNET	60
Jerzy Masiór		Naszym zdaniem	
TANCBUDA W DĘBINIE	26	ODDAJCIE ZABRANĄ WŁASNOŚĆ	56
		Listy	61
Ireneusz Kasprzysiak			
CAŁE ŻYCIE POD PRĄD	28	SPOTKANIA W ZAUŁKU	62
		NASZE MIASTA	64
Naszym zdaniem			
Maria Godlovsky			
PROSIMY NIE PRZESADZAĆ	30		
ŚWIĘTY ZIEMI PRZEMYSKIEJ	31		
KUSTOSZ ORMIAŃSKIEJ RELIKWII	31		